ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA HISTORIA

NR 02 (217) LUTY 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

RACIBORSKI SABOTAŻ ATOMOWEGO PROGRAMU HITLERA

> PTASIA TAJEMNICA SZYFRÓW TWIERDZY KOSTRZYN

> PRZEMYŚL. ODKRYCIE „DUŻEGO KALIBRU”

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104

9 771505 610056 02

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

wodoszczelny do 3m ● odporny na warunki atmosferyczne ● do poszukiwania złota

GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com

NOWOŚĆ

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

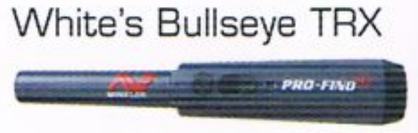
Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

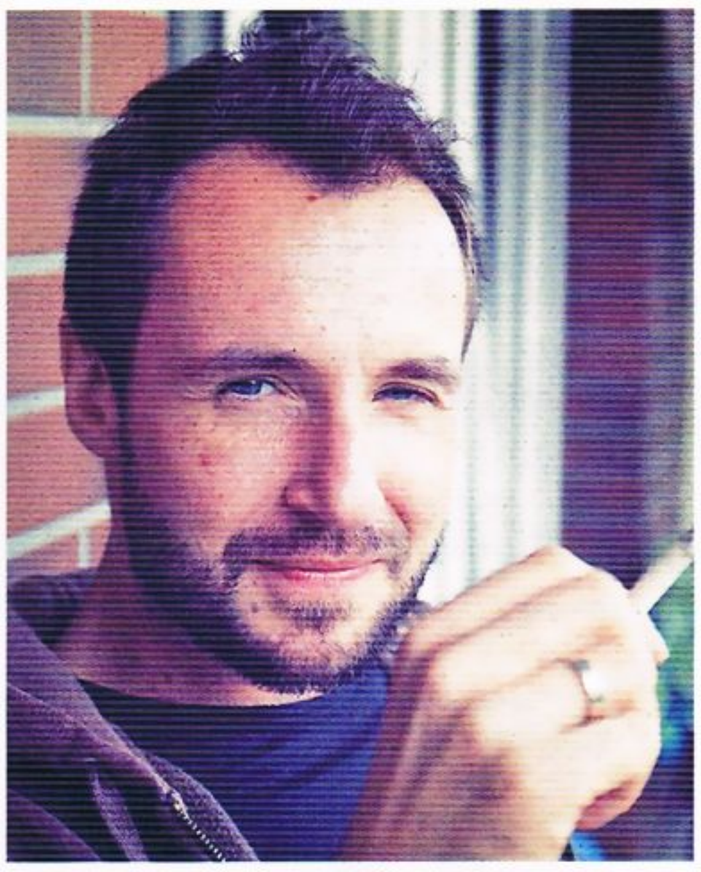

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Sypnęło śniegiem, powiało mrozem, zima w pełni. Mimo jednak niesprzyjającej poszukiwaniom pory roku działania eksploracyjne wciąż się odbywają. Najlepszym na to przykładem jest opisywana w niniejszym numerze historia, związana z wydobyciem w Przemyślu znacznych fragmentów moździerza oblężniczego pochodzącego z I wojny światowej. Ani opady, ani chłód nie przeszkodziły w realizacji profesjonalnej i w pełni legalnej akcji, realizowanej wspólnymi siłami pasjonatów i archeologów przy wsparciu Wojewódzkiego Urzędu Konserwatora Zabytków.

Niezależnie natomiast od pory roku pojawiają się w mediach informacje na temat odnajdywanych kapsuł czasu, czy też wyrzucanych po latach przez morze na brzeg butelkach z zakorkowanymi wewnątrz listami. Tym bardziej intrygująca wydaje się prezentowana kilka stron dalej sprawa, związana z przypadkowo odnalezionym w pobliżu Świebodzina niewielkim, aluminiowym pojemnikiem zawierającym… zaszyfrowaną wiadomość z 1912 roku. Jej tropy prowadzą do Twierdzy Kostrzyn, gdzie ostatecznie trafiła po ponad 100 latach. O szczegółach pisze jej obecny pracownik Jerzy Dreger.

Na koniec nasz okładkowy temat. Program atomowy realizowany podczas II wojny światowej w III Rzeszy do dziś wzbudza liczne kontrowersje. Na ile był zaawansowany i czy miał szanse na powodzenie? Czy Niemcy byli blisko skonstruowania własnej bomby? To pytanie zadają sobie do dziś historycy, zaś miłośnicy tajemnic i sensacji odpowiadając na nie, często popuszczają wodze fantazji. Temat, choć wydaje się obecnie wyeksploatowany, wciąż potrafi zaskakiwać mniej znanymi epizodami. Jeden z nich, za to niezwykle istotny, przypomina Leszek Adamczewski w artykule „Sabotaż inżyniera Schmidta". Co jednak najciekawsze, prezentowana historia związana jest z funkcjonującymi do dziś w Raciborzu, zakładami specjalizującymi się w zastosowaniu przemysłowym… grafitu.

To zaledwie trzy propozycje z kilkunastu fascynujących tekstów, jakie przygotowaliśmy do wydania lutowego. Mam nadzieję, że wypełnią wciąż długie zimowe wieczory emocjonującą lekturą.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: Charles Levy (z bombowca B-29 podczas ataku na Nagasaki, 9 sierpnia 1945 r.)

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAGUJĄCY:
REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło
KONSULTANCI
Michał Banaś
• Geologia.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 KOSTRZYN, SZYFRY I GOŁĘBIE
JERZY DREGER

6 MOŹDZIERZ Z TWIERDZY PRZEMYŚL WYDOBYTY
JACEK DZIK

12 TELEFUNKEN W KLASZTORZE W LUBIĄŻU. CZĘŚĆ 2
ROMUALD OWCZAREK

KULISY HISTORII

18 SABOTAŻ INŻYNIERA SCHMIDTA.
LESZEK ADAMCZEWSKI

26 SZPITAL LEŚNY „665" – LIKWIDACJA. PARTYZANCKIE OBIEKTY PUSZCZY SOLSKIEJ. CZĘŚĆ 3
JANUSZ SKOWROŃSKI

32 BREDA – NAJCIĘŻSZA BROŃ ZRZUCONA DLA AK. CZĘŚĆ 2
MICHAŁ CZACHAROWSKI

36 OFICEROWIE WRZEŚNIA – CO ZABRALI NA WOJNĘ. CZĘŚĆ 2.
JOLANTA ADAMSKA

WĘDRÓWKI ODKRYWCY

44 PODZIEMIA ZAMKNIĘTE DLA TURYSTÓW
TOMASZ RZECZYCKI

KOLEKCJONERSTWO

48 NÓŻ SZTURMOWY WZ.55, CZYLI PRZEDWOJENNA JAKOŚĆ DLA LWP
PIOTR ORMAN

54 KREW NA ŚNIEGU
TOMASZ BIENEK

FORTYFIKACJE

60 RADZIECKA BATERIA NR 456
JACEK JAROSZ

WYWIAD

66 POMIĘDZY FIKCJĄ A FAKTEM. WYWIAD Z JOLANTĄ KALETĄ

FELIETON

70 SZPADEL NIECH BĘDZIE Z WAMI
RADEK BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI LUTEGO

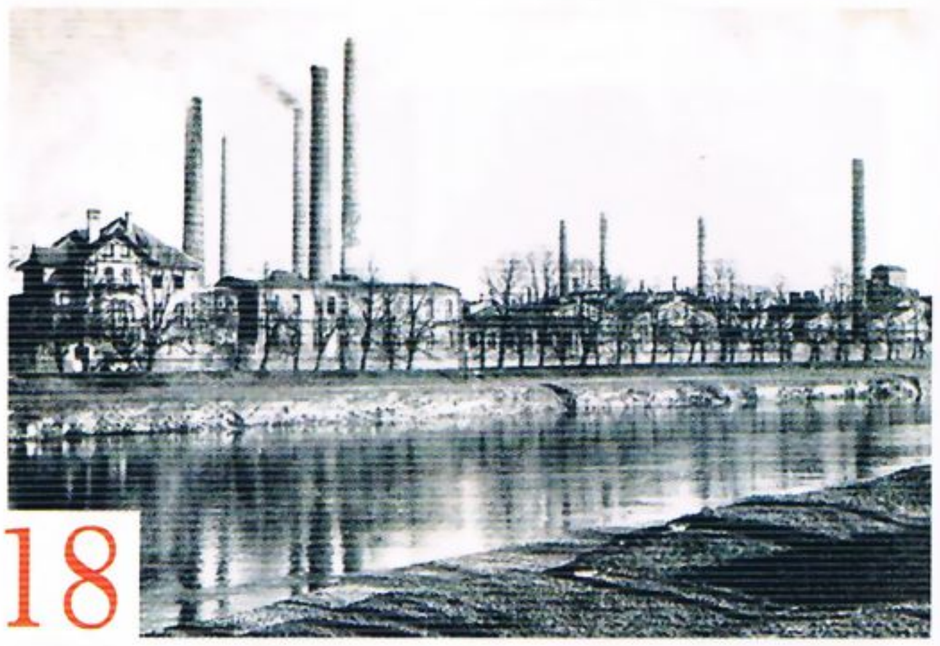

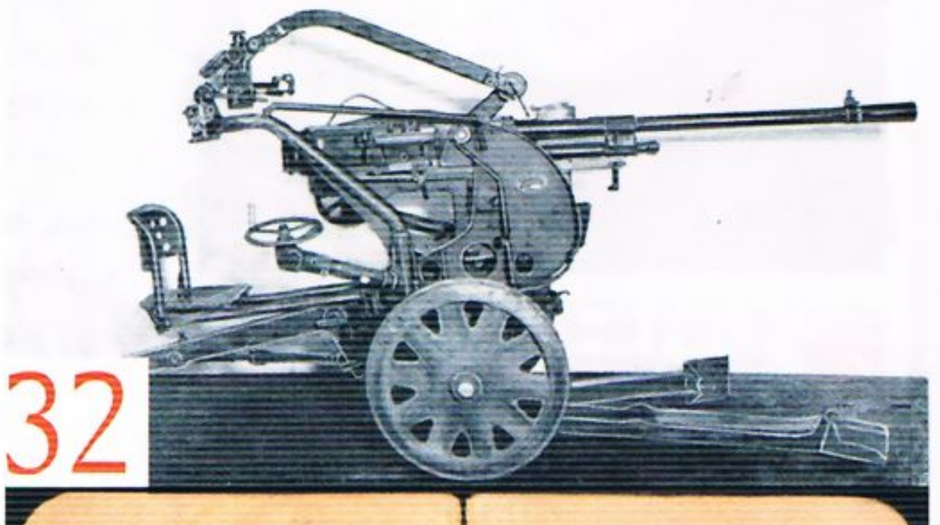

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

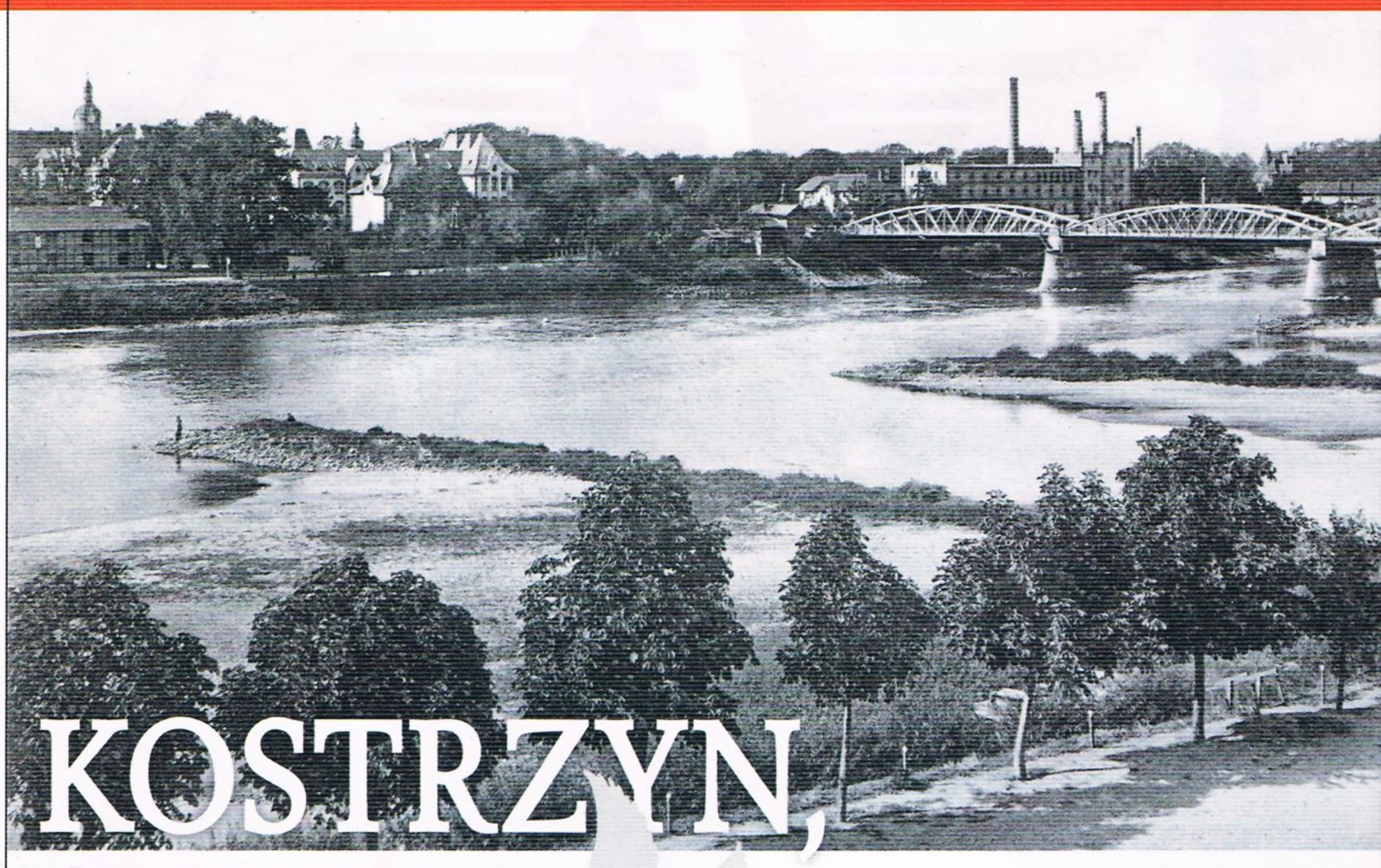

KOSTRZYN, SZYFRY I GOŁĘBIE

JERZY DREGER

Odnaleziono kapsułkę z wiadomością wysłaną w 1912 roku i przymocowaną do nogi gołębia pocztowego.

Widok z wieży zamku w Kostrzynie na Odrę. Po lewej stronie zdjęcia, pod wieżą budynku koszar, widoczna fachwerkowa wozownia. Na jej piętrze znajdowała się Wojskowa Stacja Gołębi Pocztowych.

Wojskowe zastosowanie szyfrów jest tak stare jak same szyfry. Niemalże od czasów pierwszych szyfrowanych wiadomości w starożytności, część z nich dotyczyła tego, co dziś nazwalibyśmy tajemnicą wojskową. Pomimo lat zasada stosowania szyfrowanych wiadomości pozostaje ta sama – trzymanie w ukryciu własnej korespondencji przed wrogiem. Obecnie pojawiło się dodatkowe zastosowanie – ukrycie zmagazynowanych danych pod szyframi komputerowymi.

Wydaje się na pierwszy rzut oka, że szyfry nie mają zastosowania w fortyfikacji. Kiedy jednak lepiej przyjrzeć się temu zagadnieniu, okazuje się, że cała przesyłana korespondencja dotycząca budowy fortyfikacji mogła być szyfrowana. Utajnione mogły być meldunki z placu budowy, przesyłanie zapotrzebowań na materiały itd. A najciekawszym zastosowaniem szyfrów w niemieckiej fortyfikacji z początku XX wieku jest komunikacja między już powstałymi kompleksami. Z jakiegoś nie dającego się wykryć powodu sieć komunikacyjną między twierdzami oparto o dwa środki łączności – radio i... gołębie pocztowe. Zastanawiający jest brak łączności telefonicznej, wówczas sprawdzonej i funkcjonującej. Być może uznano, że jest ona nie dość bezpieczna i możliwa do łatwego podsłuchiwania. Możliwe również, że koszt postawienia osobnej wojskowej linii telefonicznej między wszystkimi twierdzami byłby zbyt wysoki. Stacje radiowe w twierdzach istniały – co wiemy na przykładzie Wrocławia, Poznania i Torunia. Zapewniały one większe bezpieczeństwo przekazywanej informacji. Stacja radiowa mogła również pełnić rolę zagłuszarki radiostacji wroga. Radiostacje były jednak montowane tylko w twierdzach przygranicznych, tam, gdzie szybkość przesłania meldunku była kluczowa. Tam, gdzie łącza miały „niższy priorytet" prędkości przesyłu, pozostano przy łączności gołębiej.

Łączność za pomocą poczty gołębiej była stosowana z kilku względów. Po pierwsze przesyłane wiadomości były bardzo trudne do namierzenia. Po

www.odkrywca.pl

drugie nie generowała bardzo poważnych kosztów. Po trzecie (co równie ważne), wojsko starało się w ten sposób pobudzać lokalny rynek hodowców gołębi pocztowych. Z wojska pochodziła spora część zamówień na te zwierzęta hodowlane. Armia organizowała targi, przeglądy i konkursy tej branży. Tak naprawdę komercyjna działalność hodowców gołębi skierowana była głównie na potrzeby wojska – na potrzeby cywilne taka poczta wyszła z użytku. Dziś wojskowa inicjatywa na tym polu może dziwić, wówczas była logiczną koniecznością[1]. Sieć Wojskowych Stacji Gołębi Pocztowych była rozsiana po całych Niemczech. Każda twierdza musiała posiadać własną, wraz z rezerwą gotowych do użycia gołębi. Można więc sobie uświadomić rozmiary tej sieci oraz ilości regularnie używanych gołębi – do przesyłu każdej wiadomości używano kilku gołębi, by zapewnić maksymalne szanse na dotarcie wiadomości do celu.

W Twierdzy Kostrzyn Wojskowa Stacja Gołębi Pocztowych (z niem. Militär-Brieftaubenstation), znajdowała się na Wyspie Odrzańskiej na piętrze jednej z wozowni Nowomarchijskiego Pułku Artylerii Polowej Nr 54[2]. Niestety, na temat jej działalności wiadomo było stosunkowo niewiele. Dlatego sporym zaskoczeniem i „prezentem" był anonim, który nadszedł do Muzeum 2 marca 2016 roku, podpisany przez „wędkarza ze Świebodzina" . W liście dołączonym do przesyłki poinformował nas, że odnalazł nad jeziorem niedaleko miejscowości Niedźwiady pod Świebodzinem w trakcie wędkowania dziwnie wyglądający aluminiowy przedmiot. Myśląc z początku, że to nic niezwykłego obszedł się ze znaleziskiem nieostrożnie i, niestety, uległo ono częściowemu zniszczeniu. Znaleziskiem była kapsułka z wiadomością przymocowaną do nogi gołębia pocztowego. Z czytelnych fragmentów wiadomości znalazca domyślił się, że pierwotnym adresatem wiadomości była Twierdza Kostrzyn. Odesłał zatem wiadomość do pierwotnego miejsca przeznaczenia – Twierdzy Kostrzyn, dziś reprezentowanej przez Muzeum. Warto tutaj dodać, że znalezisko najprawdopodobniej jest *in situ*. Okolice znalezienia znajdują się niemalże na prostej linii wiodącej z Wrocławia do Kostrzyna (odległość wynosi 233 km). Wygląda więc na to, że gołąb spadł gdzieś w tej okolicy.

Ku naszemu zdziwieniu okazało się, że zachowane dwie wiadomości pochodzą z Komendantury Twierdzy Wrocław i są skierowane do Komendantury Twierdzy Kostrzyn. Pierwsza została wysłana 26 listopada 1912 roku. Druga dzień później. Radość z odkrycia była wielka. Po raz pierwszy ujrzeliśmy bloczki korespondencyjne poczty gołębiej z naszej Twierdzy. Dowiedzieliśmy się jak zorganizowana była wiadomość i ile gołębi ją przenosiło. Uśmiechy jednak nieco przygasły, gdy po odczytaniu całości okazało się, że właściwa treść wiadomości jest zaszyfrowana. Udało się rozpoznać użyty szyfr w obydwu depeszach. Jest to szyfr ÜBCHI – powszechnie stosowany w łączności między niemieckimi Twierdzami i jednostkami. Jego wariacje były używane na froncie I wojny światowej.

Poprosiliśmy o pomoc w odszyfrowaniu wiadomości. Dotarliśmy nawet do Narodowego Centrum Kryptologii. Niestety, odpowiedź za każdym razem była taka sama. Dwie wiadomości to zdecydowanie za mało dla kryptologów, by je odszyfrować. Potrzebne byłoby około dwudziestu meldunków wysłanych w podobnym czasie z tego samego miejsca. Wtedy podany zostałby wystarczających rozmiarów materiał porównawczy, by przeprowadzić matematyczną analizę statystyczna, co pozwoliłoby na odczytanie wiadomości. Przy dwóch wiadomościach ilość możliwych kombinacji jest mierzona w liczbach co najmniej ośmiocyfrowych. Niestety treść pozostanie dla nas przynajmniej na razie zagadką. Mamy nadzieję, że kiedyś uda się ją odszyfrować. Dziękujemy również anonimowemu znalazcy naszych szyfrów ze Świebodzina. <

Drugi znany widok Wojskowej Stacji Gołębi Pocztowych. Na lewo od widocznych murów Bastionu Brandenburgia, po drugiej stronie Odry, widoczny długi budynek wozowni oraz stacji.

Otrzymane depesze oraz resztki kapsuły przyczepianej do nóg gołębia pocztowego.

Jerzy Dreger
Historyk wojskowości, spec. ds. edukacji muzealnej w Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Badacz dziejów fortyfikacji, wojskowości polskiej i powszechnej. Z zamiłowania rekonstruktor II Wojny Światowej i wczesnego średniowiecza, pasjonat fortyfikacji.

PRZYPISY

[1]K. Ru , Reisende Brieftauben, Die Gartenlaube, Heft 6, Ernst Keil's Nachfolger Verlag, Leipzig 1890, str. 188-189.
[2]Garnison Cüstrin, Blatt 13, Lithographie Anstalt von Bogdan Gisevius , Berlin.

MOŹDZIERZ Z TWIERDZY PRZEMYŚL WYDOBYTY!

JACEK DZIK

Skoda m98 kaliber 24 cm została wysadzona przez własną załogę 101 lat temu.

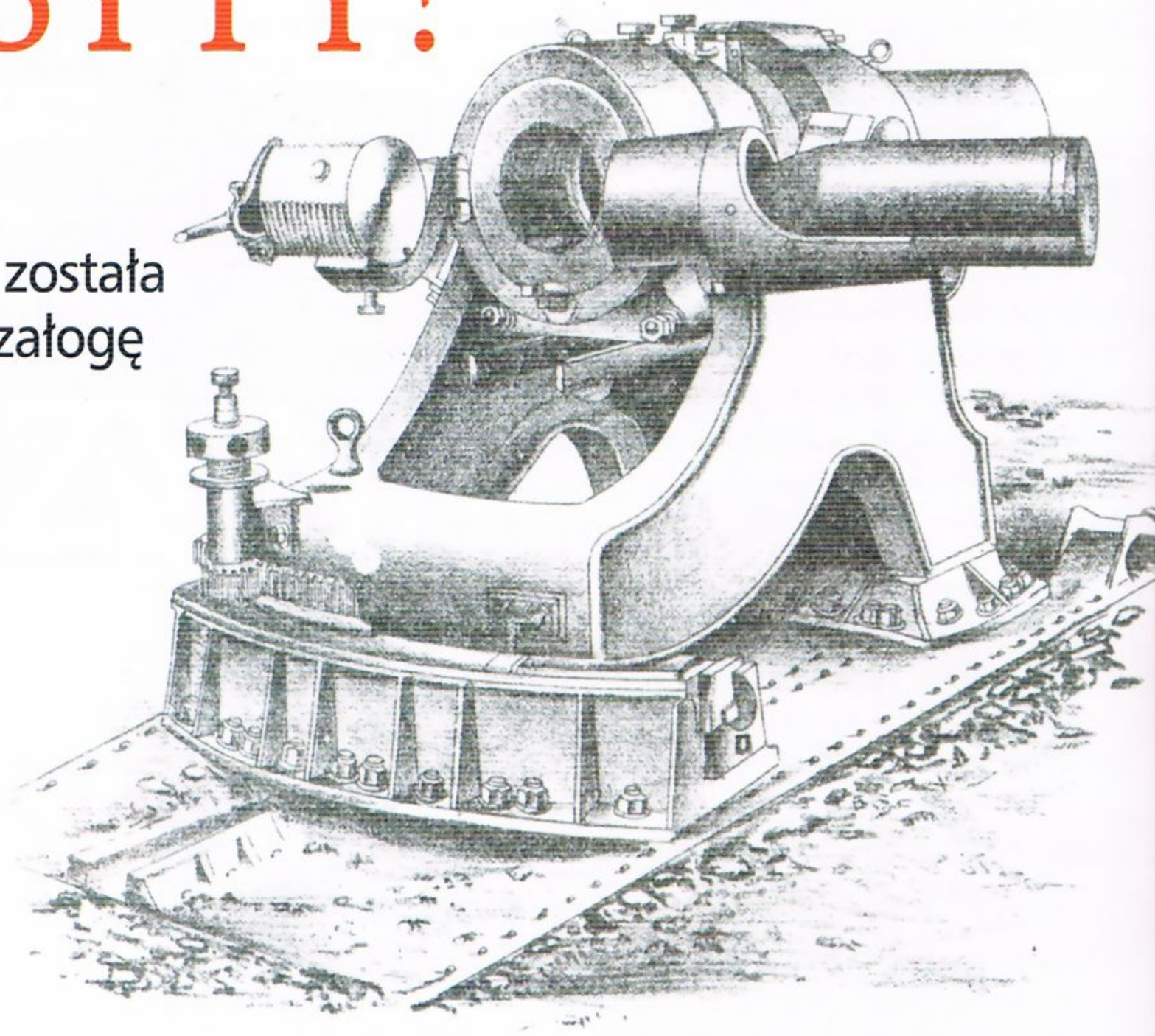

Skoda M98 24 cm – widok od strony komory i zamka.

Skoda m98 kaliber 24 cm była ciężkim moździerzem oblężniczym używanym przez armię austro-węgierską podczas I wojny światowej. Moździerz służył do niszczenia nowoczesnych fortyfikacji. Miał jednak krótki zasięg i nieskuteczną amunicję, w efekcie został zapamiętany głównie jako protoplasta bardziej znanych i skuteczniejszych moździerzy M11 i M16.

Pierwszy raz moździerz ten można było obejrzeć podczas Wystawy Paryskiej w 1900 roku, gdzie wzbudził bardzo duże zainteresowanie. Był to pierwszy model ciężkiego działa produkowany przez zakłady Skoda. Powstawał także dla Wielkiej Brytanii jako 9.45 calowa haubica Mark I. Produkowano dwa rodzaje pocisków o wadze 128 kg i 133 kg. Waga samego działa to 8,6 tony.

Według kilku różnych źródeł w Twierdzy Przemyśl było ich od 4 do 8 z ogólnej liczby 48 sztuk, jakimi dysponowała w trakcie wojny armia austro-węgierska. Podczas pierwszego oblężenia nie oddały ani jednego strzału, z powodu braku amunicji, której nie dostarczono na czas. Podczas drugiego oblężenia oddały strzały, ale było ich niewiele, ponieważ dowieziona w ostatniej chwili amunicja to około 38-40 pocisków na lufę. W ostatniej chwili decyzję o pozostawieniu tych moździerzy w twierdzy podjęto 4 listopada 1914 roku, a transport amunicji do nich dotarł tuż przed zamknięciem linii kolejowej dla ruchu, 5 listopada rano.

Prolog

22 marca 1915 roku o 6 rano Przemyślem wstrząsnął potężny huk. Tak opisał to jeden z żołnierzy, podpułkownik Emil Rottenwald: „...Punkt o 6 przed południem wyleciały w powietrze forty w potężnych słupach kurzu i dymu, składy amunicji wysadzały w górę snopy eksplodujących pocisków, mosty załamały się z hukiem – dumny Przemyśl, co nieugięty urągał przeważającemu liczbą nieprzyjacielowi, był kupą gruzów. Z okolicznych wzgórz, na których rozlokowane były forty Twierdzy Przemyśl oraz baterie artyleryjskie, w niebo wzniosły się rozbłyski wybuchów". Waliły się w gruzy potężne umocnienia, kruszyła się stal potężnych armat zmieniających się w bezużyteczna kupę złomu – wysadzone na rozkaz komendanta Twierdzy przed poddaniem jej w ręce Rosjan. Wtedy też odleciał ostatni samolot z lotniska polowego Twierdzy w Hurku.

fot. zbiory własne autora, Jacek Dzik

www.odkrywca.pl

Poszukiwania

30 czerwca 2016 roku – 101 lat później. Telefon o 10:00 rano odbieram jeszcze zaspany… Z niedowierzaniem słucham tego, co przekazuje mi właściciel pola z miejscowości Grochowce pod Przemyślem. Po chwili mija wściekłość – natychmiast dzwonię do Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków z informacją, że ktoś nielegalnie rozkopał stanowisko artyleryjskie z pozostałościami moździerza austriackiego, na którego odsłonięcie i eksplorację zgodę miałem od września 2015 roku. Z informacji dzwoniącego już wiem, że porozrzucane są i porzucone w okolicznym rzepaku ciężkie elementy stalowe („jakby, panie, z jakiejś maszyny, takie po kilkadziesiąt kilo, prawie kombajn uszkodziłem, kto za to zapłaci? konserwator? tak nie można!" – mówił właściciel pola). Szybko zbieram się i jadę prosto do WKZ. Po krótkiej rozmowie postanawiamy jechać z jednym z pracowników WKZ na miejsce. Po dotarciu na miejsce przywitał się z nami narzekający gospodarz: jacy to poszukiwacze źli, jakie dziury zostawiają, a skoro już wykopali, to dlaczego podrzucają mu to w rzepak? Na nic tłumaczenie, że przecież są tacy, którzy działają legalnie, nie robią bałaganu, oraz tacy którzy, niestety, naszemu środowisku szkodzą. Zaprowadził nas na miejsce – faktycznie zgroza. W zielonej trawie widniał prostokąt rozkopanej ziemi o wymiarach około 4x5 metrów, z którego wystawały mniejsze i większe elementy stalowe pokryte rudą rdzą i gliną. Od razu wychwyciłem wzrokiem elementy mocowania hydrauliki i amortyzowania lufy moździerza, części lawety, masę elementów drobnych i kilka większych. Popękane i rozerwane potężne sprężyny wyzierały wszędzie z ziemi. Pozbieraliśmy wszystko, co widać było gołym okiem w jedno miejsce oraz przynieśliśmy z okolicznego pola rzepaku elementy hydrauliki, siłowników oraz kilka elementów środkowanego płaszcza chroniącego lufę – te elementy do siebie ładnie >>>

1 – mosiężna (lub z brązu – ustalamy) pokrywa sprężyny oporopowrotnika – waga około 30 kg.
2 – mosiężne łożysko systemu podnoszenia lufy w pionie – waga około 20 kg.
3 – oderwany wybuchem element lawety moździerza – waga około 70 kg.

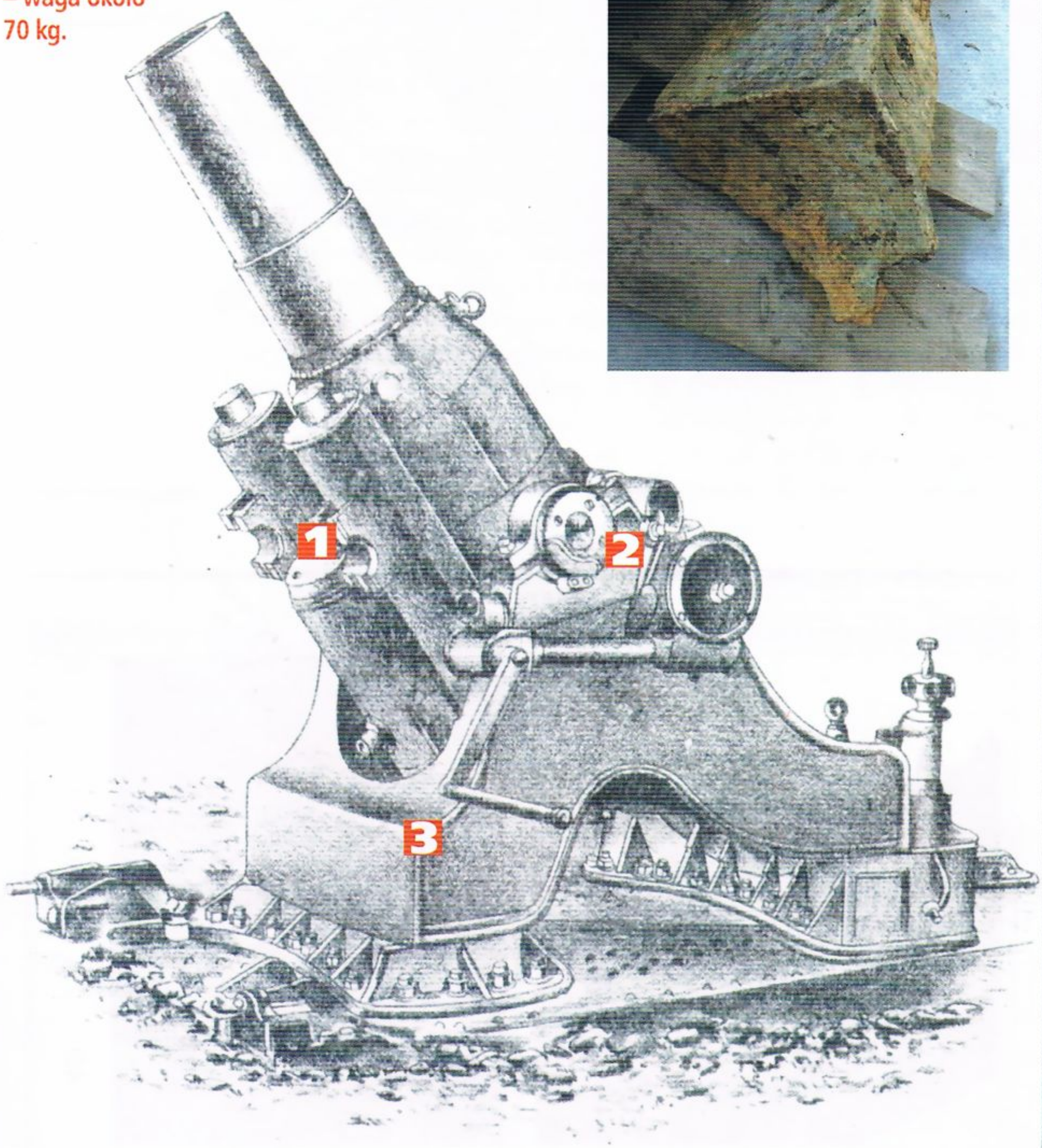

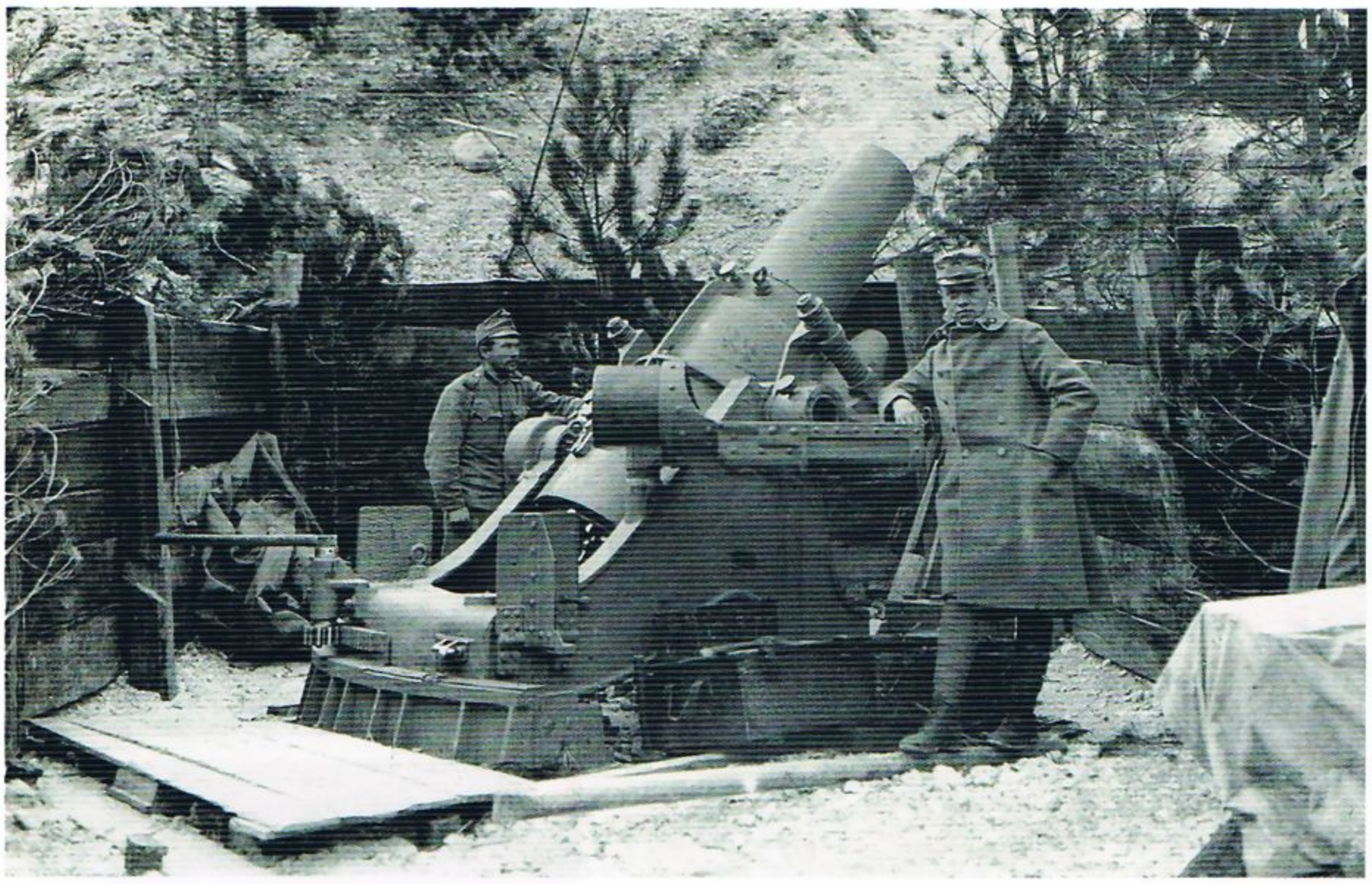

Moździerz Skoda M98 24 cm na stanowisku bojowym.

>>> pasują i po złożeniu prezentują się dobrze jako całość. Aż strach pomyśleć, co zostało stąd wywleczone i wywiezione zanim pseudoposzukiwacze zostali stąd spłoszeni. W okolicznym potoku gospodarz wskazał nam leżące jeszcze elementy oraz dużą część blaszanego okucia podstawy lawety. Już wiedziałem, że osoby tu kopiące dostały się na dno stanowiska – czyli przypuszczalnie na głębokość około 1,5-2 metrów. Ślady zapadniętej ziemi w wykopie świadczyły, że sporo z niego„zniknęło". Miałem nadzieję, że coś zostało w ziemi – tym bardziej, że tak duże i ciężkie części nie jest łatwo z tego terenu wywieźć. Nie pozostało nam nic innego, jak zrobić dokumentację fotograficzną i pozbierać wszystkie fragmenty moździerza i zabrać je ze sobą. Życzliwie gospodarz użyczył traktora i przyczepy – dowiózł nam części znaleziska do drogi głównej, gdzie zaparkowałem swój samochód. Niestety nie wszystkie elementy ze względu na wagę i gabaryty udało się zabrać za pierwszym razem. Pozostały na podwórku – z zapewnieniem, że niedługo po nie wróci-

Wizualizacja odczytów dataloggera Lorenz w wersji 3D i 2D.

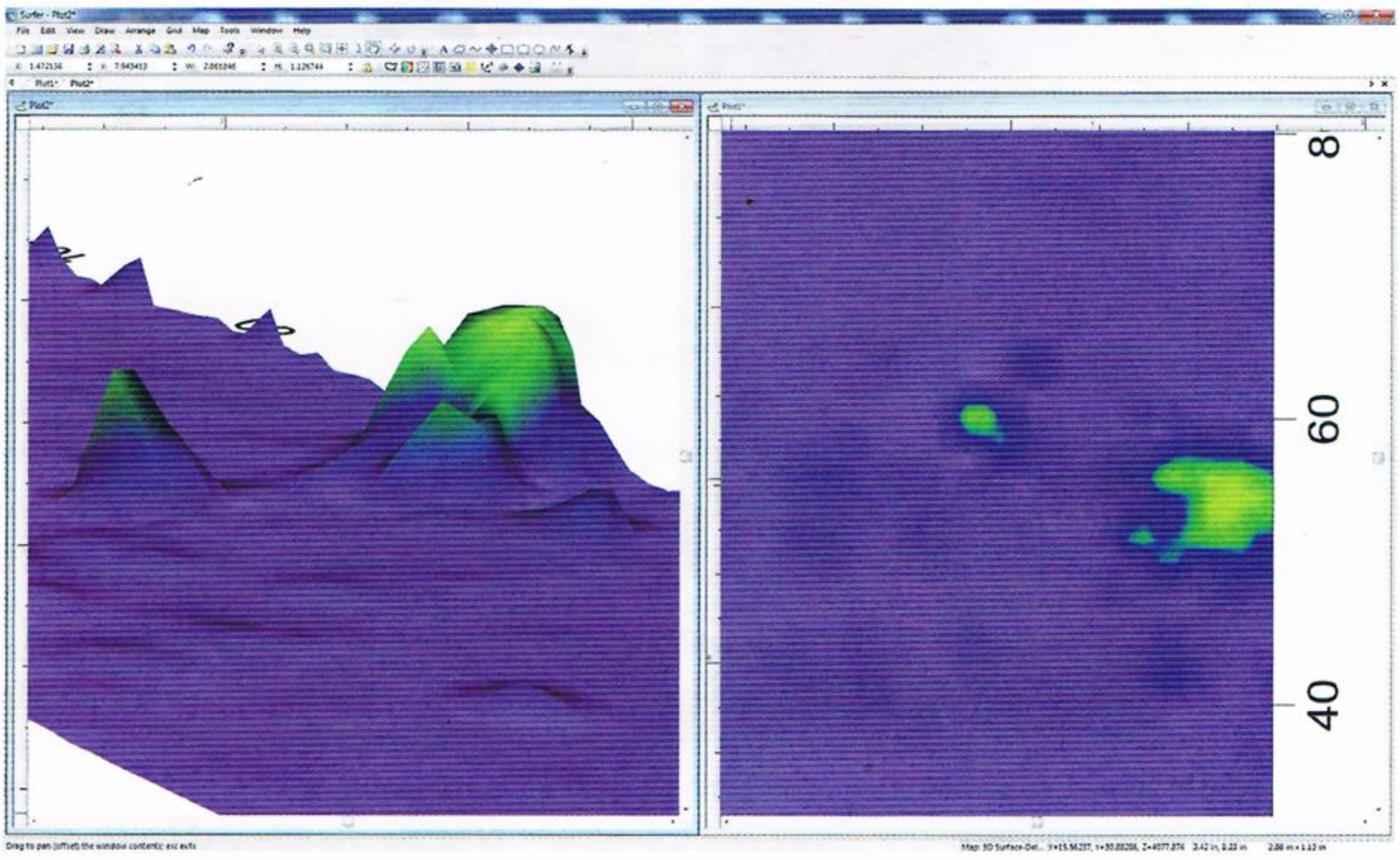

my. Wszystkie większe podzespoły i mniejsze detale wylądowały na palecie i czekały u mnie w depozycie na właściwą akcję ratunkową i wydobywczą, którą planowaliśmy jeszcze w 2016 roku. W międzyczasie powiadomiliśmy policję, która na wniosek prokuratora wszczęła dochodzenie. Sprawę umorzono, bo winnych nie dało się wykryć – nikt nic nie słyszał, nikogo nie widział. W międzyczasie wraz z pracownikami Wojewódzkiego Podkarpackiego Urzędu Ochrony Zabytków z siedzibą w Przemyślu i bezpośrednio z Podkarpackim Konserwatorem Zabytków Panią Beatą Kot rozpoczęliśmy procedurę uzyskania wszelkich niezbędnych zgód oraz pozwoleń. Prace postanowiliśmy podzielić na dwa etapy: pierwszy – skanowanie geofizyczne całego terenu z typowaniem interesujących nas miejsc oprócz samego stanowiska oraz drugi – ostateczna akcja wydobycia tego, co pozostało w stanowisku. Wiadomo, że oprócz samego stanowiska w pobliżu znajdowały się ziemianki dla obsługi, magazyny i tym podobna struktura zaplecza.

Elektronika w akcji

W pierwszym etapie uzyskaliśmy zgody na przeprowadzenie prospekcji terenowej przy użyciu sprzętu elektronicznego. Zdecydowaliśmy się na sprzęt firmy Lorenz. Poprosiliśmy o pomoc Adama Sikorskiego i Roberta Kmiecia – zgodzili się przyjechać. W bardzo mżysty i paskudny dzień rozpoczęliśmy skanowanie z samego rana – teren bardzo rozległy. Cały dzień chodziliśmy po polach i pastwiskach podzielonych na części o szerokości 4 metry. I tak pole za polem. Użyliśmy ramy o wymiarze 2x2 metry i Lorenza Z1. Miejsce poprzedniego wykopu, w którym znajdowało się stanowisko Skody M98 24 cm zapadło się jeszcze bardziej, od czasu jak tu byliśmy na przełomie czerwca i lipca. Teraz miało już około 20-30 cm głębokości. Moje obawy, że sporo zostało wykradzione, sprawdziły się. Jednak nadal byłem dobrej myśli.

fot. zbiory własne autora, Jacek Dzik, Marcin Wachol

www.odkrywca.pl

Informacje uzyskane ze skanowania gotowe były pod koniec dnia. Po załadowaniu danych z dataloggera do komputera i przetworzeniu ich do formy wizualnej, poprawił nam się nastrój. Jest! Tak przynajmniej wynikało ze skanów. Obraz 3D wskazywał na duży obiekt o wymiarach około 3x2 metry, zalegający do około 2 metrów głębokości. Z dobrymi wiadomościami udałem się do WUOZ i Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej. Uzyskałem zgodę na przyjęcie eksponatu przez Muzeum oraz złożyłem komplet niezbędnych dokumentów do uzyskania pozwolenia dla nas na wydobycie tego, co pozostało.

Prezentacja wyników już przetworzonych przez Roberta Kmiecia podczas badań geofizycznych terenu, które odbyły się 10 grudnia 2016 roku.

Wydobycie

Apetyt był spory. Skany wskazały duży przedmiot. Była szansa na podstawę i może części lawety czy elementy lufy. Dzień wydobycia ustaliliśmy na 29 grudnia 2016 roku. Witek, właściciel firmy budowalnej WEIMUR, zapewnił koparkę wraz z operatorem oraz transport na ewentualne znaleziska. Nadzór archeologiczny był, saperski także. Akcja musiała być zakończona z wielu względów w tym roku kalendarzowym. Chodziło o przyszłe zasiewy w tym miejscu, optymalne warunki pogodowe na wjechanie sprzętu ciężkiego – gleba musiała być powierzchniowo zmrożona itp. Adam Sikorski z Robertem Kmieciem i ekipą programu „Było, nie minęło…" pojawili się o 9 rano. Łyżką koparki rozpoczęliśmy żmudne ściąganie ziemi warstwa po warstwie. Przerażające było jak na dużej powierzchni i głębokości widać było ślady wkopów tych, co wbili się w to stanowisko wcześniej. Ziemia była mocno przemieszana, warstwy także. Wszędzie walały się butelki i puszki po piwie oraz po różnych napojach. W całym wykopie poniewierały się różnej wielkości odłamki rozsadzonego moździerza, najczęściej po około 5-10 cm średnicy. Podczas odsłaniania poszczególnych warstw już >>>

Łożysko mosiężne od systemu podnoszenia lufy moździerza w pionie.

Tabliczka informująca o kierunku podnoszenia/opuszczania lufy „senken--heben", mosiężna.

>>> wiedzieliśmy, że złodzieje dotarli do samego dna stanowiska. Na szczęście umknęło im wiele ciekawych rzeczy. Najciekawsze z nich to elementy wykonane z brązu, takie jak mechanizm łożyska opuszczania i podnoszenia lufy, tabliczka informująca, w którą stronę obracać lufę w celu jej opuszczenia lub podniesienia, elementy potężnej sprężyny oporopowrotnika i brązowy element, który początkowo wydawał nam się elementem zamka – a okazał się zatyczką, nakrętką oporopowrotnika.

Mam nadzieję, że po numerach seryjnych uda się ustalić, które z 48 dział wyprodukowanych dla armii austro-węgierskiej tutaj stało. Wiemy, że w pobliżu ulokowano działo o numerze 40 – ale to będzie osobna historia i osobne wydobycie (już wiosną 2017 roku) kolejnych pozostałości zniszczonego w 1915 roku moździerza. Trafił się też potężny odłamek lufy oraz wiele pomniejszych elementów. Wszystkie te elementy wraz z tymi wcześniej pozyskanymi trafią po konserwacji i czyszczeniu do Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej – mamy już wstępny pomysł, jak w ciekawy sposób te pozostałości wyeksponować.

Epilog

Niestety, wyniki badań Lorenzem okazały się nietrafne. Ale nie jest to wina ani sprzętu, ani, moim zdaniem, interpretacji. Każdy, kto ma większe doświadczenie z tego typu elektroniką używaną do poszukiwań wie, że żadne badanie nie może być pewne, szczególnie w już uprzednio rozkopanych miejscach. Należy też zaznaczyć, że pomiędzy naszymi badaniami terenu a akcją wydobywczą ktoś się powtórnie wkopywał w to miejsce. Były świeże miejsca kopania – ale na to rady już nie ma. Efekt widoczny na skanach (obiekt o dużych wymiarach) spowodowały wszystkie odłamki, elementy stalowe i nie tylko, które zostały przemieszane w warstwach podczas pierwszego wykopu – po czym ziemią z dna zasypano wyrobisko wraz z mniejszymi stalowymi odłamkami. Dało to trochę taki efekt, jakby do akwarium wsypać gwoździe i mocno wymieszać – każdy sprzęt pokazałby jeden większy element o dużej masie, a nie wiele małych.

Cała ta akcja dała nam do myślenia – ile mamy jeszcze czasu na przebadanie nieruszonych miejsc, zanim ktoś zniweczy nasze starania o unikalną ekspozycję dla

Część elementów zabezpieczonych podczas akcji ratunkowej w dniu 30 czerwca 2016 roku – wagowo około 300 kg. Widać elementy systemu podnoszenia lufy, poszczególne elementy kołnierza środkowego lufy, części lawety i inne drobniejsze elementy.

Przemyśla. Domyślam się, ile już jest w rękach prywatnych. Niestety, ukrywanie przedmiotów tej „wagi", oderwanych od kontekstu, często po piwnicach i cieszących oczy jedynie ich właścicieli, jest barbarzyństwem. Każdy taki eksponat, jak nasz moździerz, opowiada bowiem swoją własną historię – historię projektantów, którzy skonstruowali tę machinę śmierci, potem robotników, którzy wyprodukowali każdy z tych elementów w fabrykach, następnie żołnierzy, którzy używali jej na polu bitwy – aż po zniszczonie przez własną załogę. My, badając historię Wielkiej Wojny, podążamy śladami tych wszystkich ziemnych sarkofagów, w których spoczywają porozrywane potężną siłą stalowe kolosy – i każde takie miejsce pokazuje nam, ile siły i trudu zadano sobie, żeby armaty te nie trafiły w ręce Rosjan w stanie zdolnym do użycia. Przemyska ziemia skrywa jeszcze wiele takich miejsc – a naszym zadaniem będzie je odnaleźć, wydobyć pozostałości – oraz wyeksponować w ciekawy sposób dla zwiedzających – aby mogły cieszyć oczy wszystkich i aby mogły być świadectwem tego, jak straszne dzieło zniszczenia niesie ze sobą każda wojna.

Składamy podziękowania dla Wojewódzkiego Urzędu Konserwatora Zabytków i wojewódzkiemu konserwatorowi Beacie Kot, pracownikom WUOZ – Małgorzacie Schild i Januszowi Gremskiemu, Dyrektorowi Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej Janowi Jaroszowi, Państwowej Straży Pożarnej w Przemyślu i komendantowi Adamowi Sosnowskiemu, a także Adamowi Sikorskiemu i Robertowi Kmieciowi wraz z ekipą realizującą program „Było, nie minęło..." oraz Grupie Badawczej KAPONIERA.

Jacek Dzik

Prezes Stowarzyszenia Grupa Badawcza KAPONIERA – Eksploracja, Pasja i Historia, autor publikacji o tematyce eksploracyjnej, poszukiwacz z 28-letnim doświadczeniem, pierwszy wykrywacz kupił w 1989 roku, specjalizuje się w eksploracji pierwszowojennych pól bitewnych Karpat Ukraińskich oraz archeologii pola bitwy Twierdzy Przemyśl. Członek wielu ekspedycji badawczo-eksploracyjnych na terenie Polski i Ukrainy. Dyrektor prywatnego Muzeum Archeologii Pól Bitewnych Twierdzy Przemyśl (w organizacji).

LITERATURA

JACEK BŁOŃSKI, **Przemyśl. Twierdza niezdobyta.** Wyd. Winiary 2011

FRANZ STUCKHEIL, **II Oblężenie Twierdzy Przemyśl, Cz. II Czasy upadku,** wyd. Tomasz Idzikowski Fort VIII „Łętownia", Przemyśl 2004

XII KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"

19-21 MAJA 2017 r.

Już po raz dwunasty mamy przyjemność przekazać Państwu informacje o przygotowaniach do naszej kolejnej konferencji. W TYM ROKU SPOTYKAMY SIĘ W SPALE. Współorganizatorem jest Trasa Turystyczna „Bunkier w Konewce".

Miejsce naszej tegorocznej Konferencji, jak i najbliższe okolice, charakteryzują się niezwykłą i bogatą historią. Podążymy jej intrygującymi śladami, począwszy od średniowiecza, aż po czasy najnowsze. W Spale udamy się tropami rosyjskich carów i prezydentów II RP. Zapoznamy się z drugowojennymi tajemnicami związanymi ze stacjonującym tam wówczas dowództwem wojskowym GG, działalnością polskiego wywiadu i partyzantki. Na trasie naszej wyprawy znajdą się z pewnością schrony kolejowe „Anlage Mitte" w Jeleniu i Konewce oraz pełen unikatowych militariów Skansen Rzeki Pilicy. Odwiedzimy także Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim, Groty Nagórzyckie, ruiny zamku Kazimierza Wielkiego w Inowłodzu, a także wyjątkową bazę lotniczą. O szczegółach programu i harmonogramie będziemy systematycznie informować w kolejnych numerach.

Z tegorocznym współorganizatorem konferencji jesteśmy związani wspólnymi przedsięwzięciami i badaniami eksploracyjnymi. Pan JULIUSZ SZYMAŃSKI – szef trasy turystycznej – jest autorem wielu książek i artykułów zamieszczonych m.in. w „Odkrywcy". Obiecał dla Państwa przygotować coś specjalnego...
Zgodnie z naszym wieloletnim i sprawdzonym planem zaczynamy popołudniowymi, piątkowymi prelekcjami. W sobotę wyjeżdżamy w ustalona trasę. Również na niedzielne południe przygotujemy dla Was niezapomniane atrakcje.

UWAGA: KOSZT TEGOROCZNEJ AKREDYTACJI WYNOSI 270,00 ZŁ BRUTTO W TYM 50,49 ZŁ PODATKU VAT (219,51ZŁ NETTO) ZA OSOBĘ.
Koszt akredytacji obejmuje: materiały konferencyjne, w tym płytę CD ze specjalną prezentacją, okolicznościowy znaczek, przejazdy autobusami, wejście do wszystkich zwiedzanych obiektów bez dodatkowych opłat, ubezpieczenie NNW na czas trwania konferencji, piątkową kolację oraz sobotni obiad i kolację.
W następnym numerze „Odkrywcy" przekażemy bardziej szczegółowy program oraz informacje związane z akredytacją i zakwaterowaniem.
Zawsze aktualne informacje będą zamieszczane na naszej stronie www.odkrywca.pl oraz profilu na Facebooku: https://www.facebook.com/Odkrywca

W RAZIE JAKICHKOLWIEK PYTAŃ PISZCIE NA ADRES MAILOWY: KONFERENCJA@ODKRYWCA.PL.
DO WASZEJ DYSPOZYCJI SĄ TAKŻE TELEFONY: 71 329 71 71, 71 328 83 71.

Serdecznie zapraszamy stałych Bywalców, którzy doskonale wiedzą, czego można się spodziewać, a także wszystkich tych, którzy jeszcze nie brali udziału w Konferencjach „Odkrywcy". Z naszej strony gwarantujemy pełną satysfakcję wszystkim Uczestnikom.

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

ROMUALD OWCZAREK

TELEFUNKEN CZĘŚĆ 2

W KLASZTORZE W LUBIĄŻU

Firma ta występowała pod nazwą Schlesische Werkstäten Dr. Fürstenau & Co. G.m.b.H. Leubus oraz kryptonimem: „Heinrich".

W poprzednim numerze „Odkrywcy" autor przedstawił szkic o powstaniu kwatery spółki – córki firmy Telefunken (pod nazwą Śląskie Warsztaty Dr. Fürstenau), która została utworzona w 1943 r. na bazie pawilonów ówczesnego lazaretu. Teraz przenosimy się do klasztoru i obiektów przyklasztornych, w których funkcjonowała część przeniesionego z Berlina ośrodka badawczo-rozwojowego w zakresie techniki radarowej.

Z Berlina do Lubiąża

Pod koniec lutego 1943 r. powołany został zespół roboczy Arbeitsgemeinschaft – Rotterdam (AGR), którego głównym zadaniem było zbudowanie w trybie pilnym nowego niemieckiego systemu radarowego, pracującego na fali o długości 9 cm (w wyniku zestrzelenia koło Rotterdamu brytyjskiego bombowca Niemcy zorientowali się, że Anglicy stosują już fale centymetrowe, gdy ich podstawowe radary Würzburg pracowały na fali o długości 54 cm). Kiedy ledwie AGR określił pierwsze zadania, w tym również do realizacji przez firmę Telefunken, nastąpiło tragiczne zdarzenie. 1 marca podczas nalotu bombowców na Berlin uległa zniszczeniu część największego zakładu Telefunken-Zehlendorf. Zarząd firmy, widząc zagrożenie dla realizacji zadań AGR, postanowił przenieść z Berlina na Dolny Śląsk część swojej produkcji (Legnica, Dzierżoniów, Kowary) oraz niektóre działy laboratoriów badawczo-rozwojowych.

Fasada i wieże klasztoru w Lubiążu.

W pierwszej połowie marca 1943 r. przedstawiciele firmy Telefunken w obecności gauleitera Karla Hankego wizytowali obiekty na Dolnym Śląsku, których lokalizacje zaproponowała Inspekcja Zbrojeniowa, działająca na obszarze Okręgu Wojskowego VIIIa we Wrocławiu. Wkrótce zapadły decyzje, że dla potrzeb prac badawczo-

www.odkrywca.pl

-rozwojowych przydzielony zostanie między innymi klasztor w Lubiążu wraz z budynkami przyklasztornymi.

Klasztor – zabytek

Günther Grundmann – konserwator zabytków sztuki na Dolny Śląsk nie towarzyszył gauleiterowi Hankemu podczas oględzin klasztoru. Pozostała mu więc walka o to, by jak najmniej ucierpiał klasztor podczas adaptacji na obiekt przeznaczony na cele wojenne. Zadbał więc, by w pierwszej kolejności wywiezione zostały z klasztoru najcenniejsze zabytki ruchome, które ostatecznie przetransportowano do kościoła w Lubomierzu. Kierownictwu spółki Śląskie Warsztaty Dr. Fürstenau przekazano wytyczne dotyczące prac adaptacyjnych w klasztorze.

Dr Grundmann zalecił między innymi, by w przypadku wstawiania do pomieszczeń klasztornych różnego rodzaju maszyn, sprawdzona została nośność sklepień. Podobnie należało uczynić podczas montowania urządzeń powodujących wibrację ścian i stropów. Grundmann zgodził się, by nowe ogrzewanie oraz montaż instalacji elektrycznej były wykonane pod warunkiem zachowania szczególnej ostrożności w pomieszczeniach ze stiukami. Akceptował też, by pojedyncze okna zastąpione zostały oknami podwójnymi typu skrzynkowego, lecz należało pozostawić w kilku pomieszczeniach oryginalną stolarkę w stylu barokowym. Jednocześnie zastrzegł sobie prawo konsultowania projektu maskowania obiektu[1].

Adaptacja pomieszczeń

Główne prace przeprowadzone zostały w II kwartale 1943 r. Trudno ocenić skalę zmian w pomieszczeniach klasztornych. 25 stycznia 1945 r. obiekt został zajęty przez Armię Czerwoną i rozpoczęła się jego dewastacja oraz grabież aż do 1948 r. Dzisiaj widoczne są dobrze tylko prace budowlane, jakie wykonano w piwnicach na I i II poziomie. Szczególnie widać to na I poziomie, gdzie pod dawną klasztorną biblioteką powstała rozdzielnia elektryczna i transformatorownia. Niektóre pomieszczenia piwniczne zostały poszerzone w wyniku wyburzenia ścianek działowych. Do dziś można oglądać wiele pozostałości po kablach, rurociągach wodnych. Niezwykle intrygujące jest jedno z pomieszczeń z zamontowanymi nietypowymi niskimi piecami.

Można przyjąć, że w piwnicach zainstalowane były głównie urządzenia niezbędne do zasilania obiektu w energię elektryczną, dostawę wody, ciepła. Są też pomieszczenia przygotowane dla naukowców (zachowały się drzwi z symboliką działów laboratoryjnych (np. EB-2) czy nawet nazwiska, jak np. dr Tuschen.

W budynku klasztornym warsztaty usytuowano tylko na wysokim parterze. Co ciekawe najwięcej maszyn było ustawionych na korytarzach, blisko okien!

Wśród załogi były również kobiety. Zachowały się zdjęcia kobiet pracujących na poddaszu przy nawijaniu drutu.

Najbardziej okazała Sala Książęca została przeznaczona na biuro projektowe. Wstawiono tam kilkadziesiąt desek kreślarskich, przy których powstawały rysunki techniczne dla projektowanych części radaru, zaczynając od lamp, a kończąc na antenach. Zachowało się wiele pozostałości po rysunkach, z których wynika, że znaczna ich część dotyczyła tzw. technologii wykonywania przez pracowników warsztatów różnego rodzaju elementów urządzeń. Co ciekawe rysunki są w skali 1:1 czy nawet 2:1 (powiększone) poszczególnych detali, które nie posiadały nazw – tylko numerację . Dopiero na zbiorczym, jednym rysunku rozpisane były poszczególne części urządzenia z odpowiednim numerem. Pracownik warsztatu, który miał tylko np. coś lutować, dostawał element oraz rysunek z nr elementu, na którym był narysowane, co ma z czym zlutować, jak potem oczyścić miejsce lutowania oraz czym ma posmarować, aby miejsce lutowania było zakonserwowane. Jedna wielka manufaktura. Pracownicy warsztatów nie mogli więc zorientować się, dla potrzeb jakiego urządzenia wykonują jego małe elementy. Same maszyny zamontowane w warsztatach były bardzo proste w obsłudze (tokarki, frezarki, wiertarki itp.).

Inaczej to wyglądało w przypadku przygotowania pomieszczeń do badań naukowych. Tutaj sam widok grubych kabli, serii urządzeń kontrolnych pozwala przyjąć, że prowadzone były poważne prace badawcze. Naukowcy pracowali w białych fartuchach, natomiast pracownicy warsztatów w szarych kitlach. >>>

KALENDARIUM

Koniec lutego 1943 r.
POWOŁANY ZOSTAJE ZESPÓŁ ROBOCZY ARBEITSGEMEINSCHAFT – ROTTERDAM (AGR).

1 marca 1943 r.
PODCZAS NALOTU BOMBOWCÓW NA BERLIN ZNISZCZONA ZOSTAJE CZĘŚĆ NAJWIĘKSZEGO ZAKŁADU TELEFUNKEN-ZEHLENDORF. ZAPADA DECYZJA O PRZENIESIENIU Z BERLINA NA DOLNY ŚLĄSK CZĘŚCI PRODUKCJI (LEGNICA, DZIERŻONIÓW, KOWARY).

Pierwsza połowa marca 1943 r.
PRZEDSTAWICIELE TELEFUNKENA W OBECNOŚCI GAULEITERA KARLA HANKEGO WIZYTUJĄ OBIEKTY NA DOLNYM ŚLĄSKU. WKRÓTCE ZAPADA DECYZJA, ŻE DLA POTRZEB PRAC BADAWCZO-ROZWOJOWYCH PRZYDZIELONY ZOSTANIE MIĘDZY INNYMI KLASZTOR W LUBIĄŻU WRAZ Z BUDYNKAMI PRZYKLASZTORNYMI.

2 czerwca 1943 r.
INSPEKCJA ZBROJENIOWA Z WROCŁAWIA WIZYTUJE OBIEKTY W LUBIĄŻU.

Początek lipca 1943 r
MAJOR SCHULTHEISS WYDAJE OKÓLNIKI ORGANIZACYJNE DLA PRACOWNIKÓW ODDELEGOWANYCH Z BERLINA DO LUBIĄŻA. MOŻNA ZATEM PRZYJĄĆ, ŻE WARSZTATY W LUBIĄŻU FUNKCJONUJĄ OD 1 LIPCA 1943 R.

Połowa listopada 1943 r.
GŁÓWNA NARADA W LUBIĄŻU DOTYCZĄCA M.IN. JEGO MASKOWANIA I OCHRONY.

17 stycznia 1945r.
OSTATNI ZNANY DOKUMENT ARCHIWALNY Z LUBIĄŻA.

20 stycznia 1945 r.
NIEMIECKA EWAKUACJA ZAKOŃCZONA.

25 stycznia 1945 r.
OBIEKT ZOSTAJE ZAJĘTY PRZEZ ARMIĘ CZERWONĄ. ROZPOCZYNA SIĘ JEGO DEWASTACJA TRWAJĄCA DO 1948 R.

fot. arch. red.

www.odkrywca.pl

>>> W jednym z budynków gospodarczych przy klasztorze przygotowano dodatkowe miejsca dla robotników warsztatowych. W boksach ustawiono zostały tokarki, frezarki. Co ciekawe w tym obiekcie mężczyźni pracowali razem z kobietami.

Organizacja ruchu, spedycji przesyłek

Po raz pierwszy spotkałem się z dokumentem-mapką, która dotyczyłaby organizacji ruchu na terenie obiektu związanego z zakładem wojennym (Kriegsbetrieb). Oczywiście zabudowania klasztorne są ogromne (główna fasada ciągnie się na długości 223 mb). Ale bez przesady, są tam drogi dojazdowe, plac główny pamiętający przejażdżki amazonek za czasów, gdy obok klasztoru była stadnina koni. Wydawałoby się, że nie powinno być żadnych problemów z komunikacją. Jednak zachował się dokument, który zdradza wiele ciekawych informacji. Dotyczy on kierunków poruszania się… furmanek i traktorów rolniczych oraz samochodów po terenie klasztoru, gdzie, ogólnie mówiąc, obowiązywał ruch jednokierunkowy.

Na samym planie mamy ponumerowane punkty załadunkowe, do których pojazdy mogły podjeżdżać pod sam klasztor. W samym centrum (dzisiaj zieleniec z pomnikiem) zorganizowano parking dla samochodów. Warto zwrócić uwagę, że do zaznaczonych na mapce magazynów nie zaznaczono punktów załadunkowych. Wskazywać by to mogło, że furmankami i traktorami tylko dowożono coś do klasztoru, np. z pobliskiej stacji kolejowej. Co ciekawe, to właśnie wjazd na teren klasztoru był od strony dzisiejszego parkingu – czyli najbliższej drogi od stacji kolejowej. Wyjazd zaś odbywał się główną bramą klasztorną.

W czasie wojny funkcjonowała w Lubiążu stacja kolejowa. Zachował się plan stacji z 1947 roku, na którym widać wagę towarową. Budzi ona wciąż kontrowersje – do czego ona tak naprawdę służyła. Ale ta skromna i nieczynna dziś stacja kolejowa w czasie wojny pełniła bardzo ważną funkcję. Były młodociany pracownik Telefunkena (później żołnierz Wehrmachtu), wzięty do niewoli na froncie włoskim, zeznał podczas przesłuchania, że na stacji kolejowej wyładowywane były elementy wielu różnych urządzeń radarowych, jak: czasze, konstrukcje szkieletowe czy kabiny dla personelu obsługi radarów. Zeznał też, że gotowe dipole do radarów były przeładowywane z wagonów poza terenem stacji, tuż przy zachodniej stronie mostu nad Odrą[2]. Ale stacja była wykorzystywana głównie do spedycji ulepszonych lub na nowo opracowanych części radarowych, które wysyłano do stacji radarowych na terenie całej Europy. Wśród archiwaliów Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego odnalazłem niezwykle cenny dokument – „Instrukcję organizacji prac spedycyjnych". Okazuje się, że utworzono małe komando (ekipę) do załadunku skrzyń na wagony. W grupie był kierownik, który miał do swojej dyspozycji minimum 4 osoby do pomocy. W przypadku konieczności prac na stacji grupa otrzymywała polecenia zebrania się na placu apelowym na terenie kwatery „Hedwig" (b. obiekty lazaretu do 1943 r.). Tutaj wsiadali do pojazdu i jechali na stację, gdzie całą akcją załadunku kierował Verladekommisar Herr Raum (zastępował go Unser). Na terenie stacji wcześniej zwożone były furmankami, traktorami lub innymi pojazdami różnego rodzaju części, podzespoły do urządzeń radarowych. Z magazynów w klasztorze przewożone były... luzem w pudełkach. Dopiero na stacji komando załadunkowe umieszczało podzespoły w skrzyniach, które dodatkowo wypełniano wełną drzewną, (zmagazynowaną na stacji) celem ich zabezpieczenia na czas transportu. Kiedy skrzynie były już pozbijane, naklejano na stacji etykiety z adresem przeznaczenia! Tak więc osoby pracujące w obiektach klasztornych nie były zorientowane dokąd wysyłane są efekty ich pracy. Jest to bardzo ciekawy przykład sposobu na ochronę informacji.

Maskowanie obiektów

Jak wcześniej wspomniano, Grundmann zastrzegł sobie konsultowanie z nim projektu maskowania klasztoru. Już sam zamysł takiego projektu wywołał zaniepokojenie dolnośląskiego konserwatora zabytków, tym bardziej kiedy dotarła do niego wiadomość, że w pierwszej kolejności władze wojskowe chcą nawet rozebrać hełmy obu wież klasztornych.

Podziemia klasztoru.

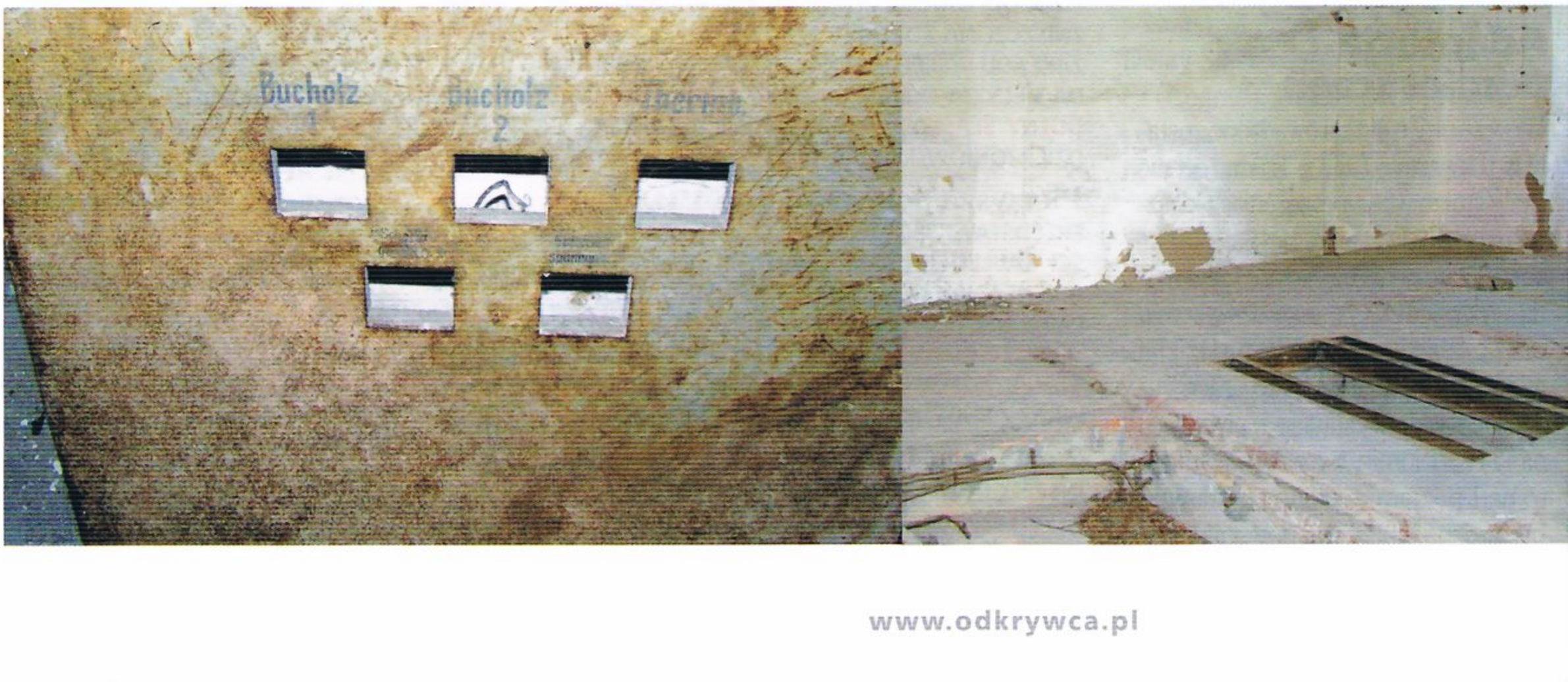

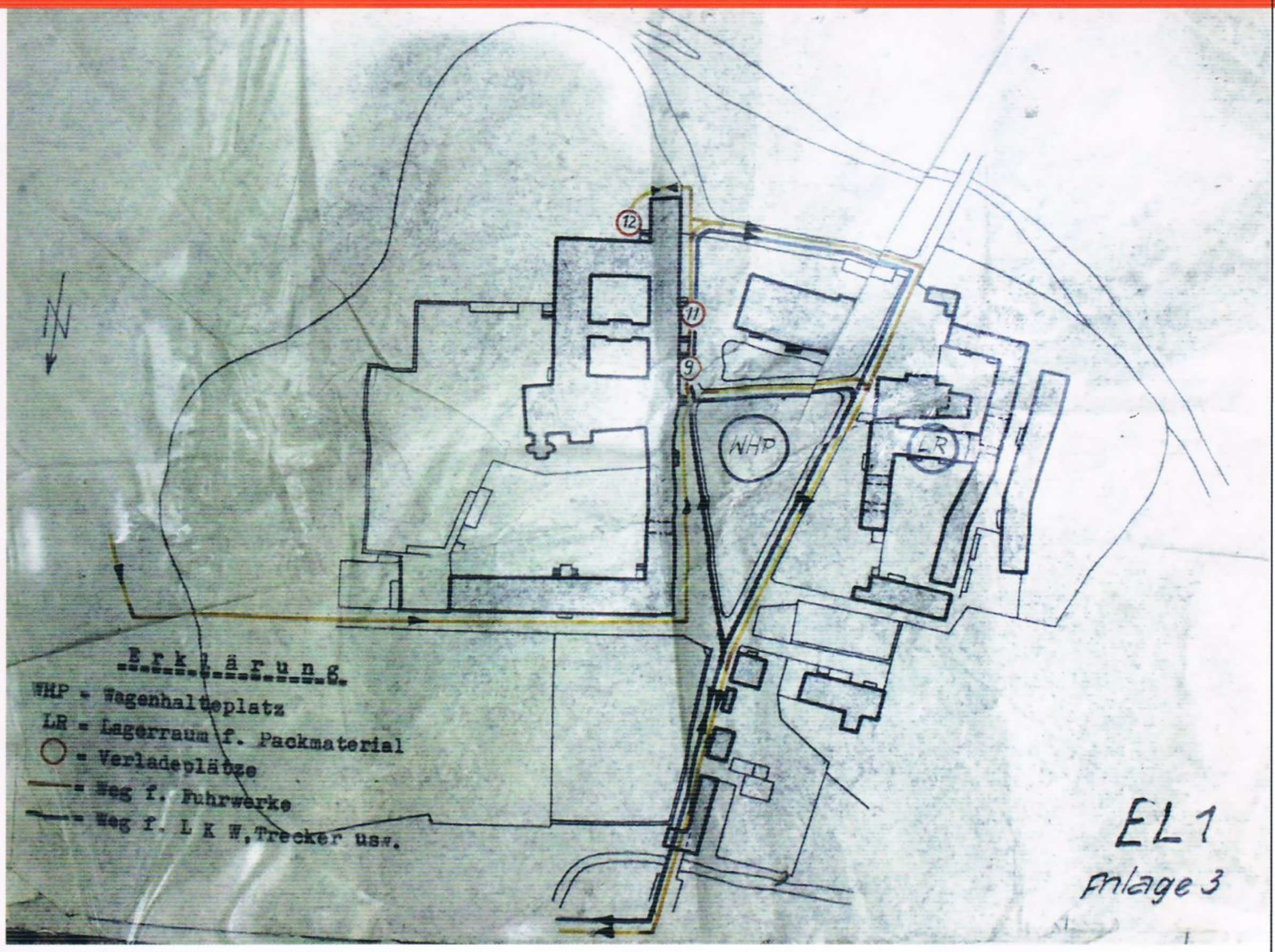

Plan organizacji ruchu na terenie klasztoru.

Szum się zrobił wielki i odbyło się nawet kilka narad. Przede wszystkim przerażała wielkość powierzchni do zamaskowania. Wyliczono, że budynki łącznie liczą ponad 800 mb długości, a niektóre pod względem wysokości liczą nawet 30 metrów. Główna narada odbyła się w połowie listopada 1943 r. w Lubiążu. Przybyli na nią między innymi przedstawiciele władz Rejencji Wrocławskiej, Państwowego Urzędu Budownictwa Naziemnego oraz inż. Werner z Biura ds. obrony przeciwlotniczej zakładów z obszaru Dolnego Śląska. W obecności Grundmanna padały coraz bardziej porażające wielkości. Okazało się, że samej farby maskującej należałoby zakupić w ilości 40-45 ton, a potem jeszcze trzeba byłoby zatrudnić specjalistyczne firmy do jej natryskiwania.

Najgorsze było to, że nikt nie dawał żadnej gwarancji, że zamalowany klasztor będzie dobrze zamaskowany. Zwrócono uwagę, że prawdziwym problemem jest „ukrycie" blisko 900 okien. Sytuacja zrobiła się kłopotliwa, ponieważ obowiązujące przepisy nakazywały jednak maskowanie obiektów przeznaczonych na cele wojenne. Z początku zaproponowano, by wykonać kilka lotów rozpoznawczych nad klasztorem, ale Grundmann zaproponował inne rozwiązanie. Uznał, że należy skorzystać z propozycji znanego mu malarza Paula Mayera-Speera, który uważał, że jedynie malowanie w kilku różnych kolorach, w połączeniu z zawieszeniem plandek maskujących i zmianą skupisk drzew pozwoli osiągnąć w miarę dobrą formę kamuflażu klasztoru. Ale tutaj niezbędne były duże ilości deficytowych farb i cała sprawa po raz kolejny zawisła w próżni. Dzisiaj zwiedzając klasztor, nie widać wykonanego „makijażu" fasad. Pozostała za to legenda, że któregoś dnia klasztor zniknął we mgle. Mogłoby to dowodzić, że ostatecznie zdecydowano się na „ukrywanie" klasztoru za pomocą agregatów dymotwórczych, które uruchamiane były po ogłoszeniu alarmu lotniczego dla obszaru wokół Lubiąża i Brzeg Dolnego. Za sprawy te odpowiadał m.in. Golzinger, pracujący w grupie ochrony przeciwlotniczej Lubiąża.

Nie za wiele wiemy, czy dla ochrony klasztoru były w okolicy stanowiska działek przeciwlotniczych. Wprawdzie w publikacjach prezentowane jest zdjęcie lotnicze z 1947 roku z zaznaczonymi stanowiskami pomiędzy ulicami F. Chopina i Świętej Jadwigi, to sprawa ta wymaga jeszcze dalszego rozpoznania.

Zarząd spółki

Dla ukrycia filii zakładów przemysłowych pod macierzystą nazwą, w III Rzeszy stosowano zasadę tworzenia terenowych oddziałów jako nowych spółek (zwane często spółki córki). Dotyczyło to szczególnie ważnych gałęzi produkcji zbrojeniowej czy laboratoriów naukowych. Tak też było i w przypadku firmy Telefun- >>>

fot. R. Owczarek, rys. DH

www.odkrywca.pl

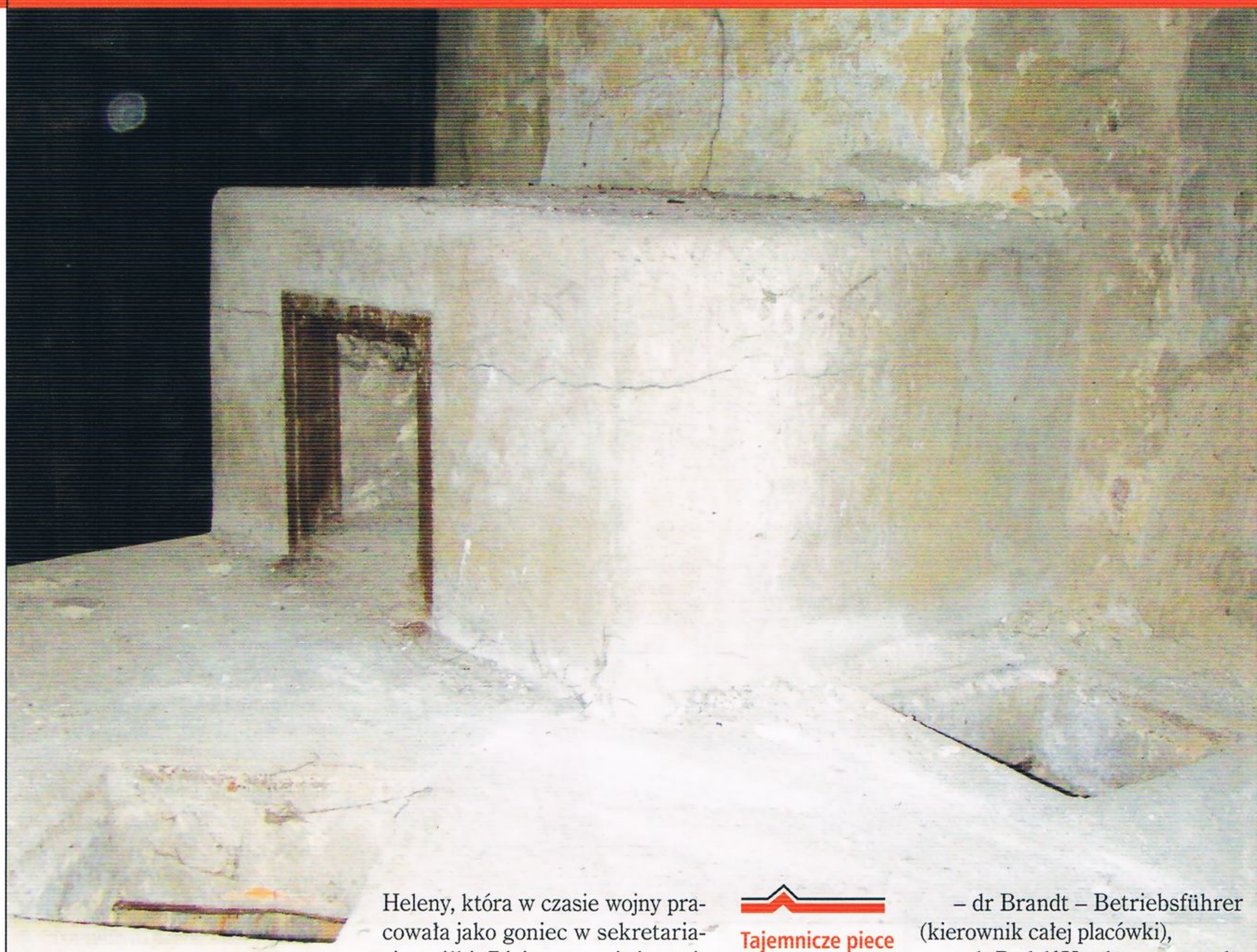

Tajemnicze piece w podziemiach klasztoru.

>>> ken, która stosowało jeszcze dodatkowy kamuflaż w korespondencji wewnętrznej. O ile w korespondencji zewnętrznej obowiązywała nazwa Schlesiche Werkstätten Dr. Fürstenau & Co. G.m.b.H. Leubus, to na dokumentach będących w wewnętrznym obiegu korespondencji nie podawano nazwy spółki i Leubus, tylko kod: „Heinrich". Z początku „Heinrich" wpisywano jedynie w miejscu podawania miejscowości, ale z biegiem czasu przyjęła się ta nazwa dla całej spółki.

Bardzo rzadko wspomina się osobę dr. Fürstenaua, którego odnajdujemy w nazwie spółki. Niewiele wiemy o tej osobie. Jeden ze śladów prowadzi do filmu dokumentalnego „Wojenne tajemnice Lubiąża", zrealizowanego w 1990 r. przez TVP (dostępny na YouTube). W tym filmie przedstawiona jest relacja Pani Heleny, która w czasie wojny pracowała jako goniec w sekretariacie spółki. Z jej wspomnień wynika, że dr Fürstenau był eleganckim i miłym panem, ubranym w garnitur (nie pamięta, by nosił mundur). W archiwach zachowały się dokumenty, szczególnie dotyczące umów dzierżawy (tereny rolne pod budowę radarów w Glinianach i Zagórzycach, piekarni w Lubiążu, magazynu w Malczycach), na których widnieją podpisy dr. Fürstenaua.

Niewiele więcej wiemy o innych członkach kierownictwa spółki, tym bardziej że nie do końca znana jest podległość kwatery Telefunkena „Hedwig" w obiektach byłego szpitala w Lubiążu. Nieliczne zachowane dokumenty z narad roboczych dotyczą spraw aprowizacji i trudno dziś dokładnie określić, kto reprezentował interesy „Hedwig", a kto „Heinricha".

Niemniej jednak lista najważniejszych osób związanych z ośrodkiem badawczo-rozwojowym w Lubiążu jest znana:

– dr Brandt – Betriebsführer (kierownik całej placówki),
– dr Rudolf Urtel – zastępca dr. Brandta,
– dr Fürstenau,
– dr Failer i dr. Bausenhart ,
– dr Rothe,
– major Schultheiß,
– Wilsch,
oraz Denks, Pfeiffer, Herde.

Kierownictwo naukowe

W dniu 2 czerwca 1943 r. Inspekcja Zbrojeniowa z Wrocławia wizytowała obiekty w Lubiążu. Wówczas stwierdzono, że adaptacja obiektów klasztornych przebiega zgodnie z planem i maszyny oraz niezbędne urządzenia są już w dużej części zamontowane.

Na początku lipca major Schultheiß wydał kilka okólników organizacyjnych dla pracowników oddelegowanych z Berlina do Lubiąża. Można zatem przyjąć, że warsztaty w Lubiążu funkcjonowały od 1 lipca

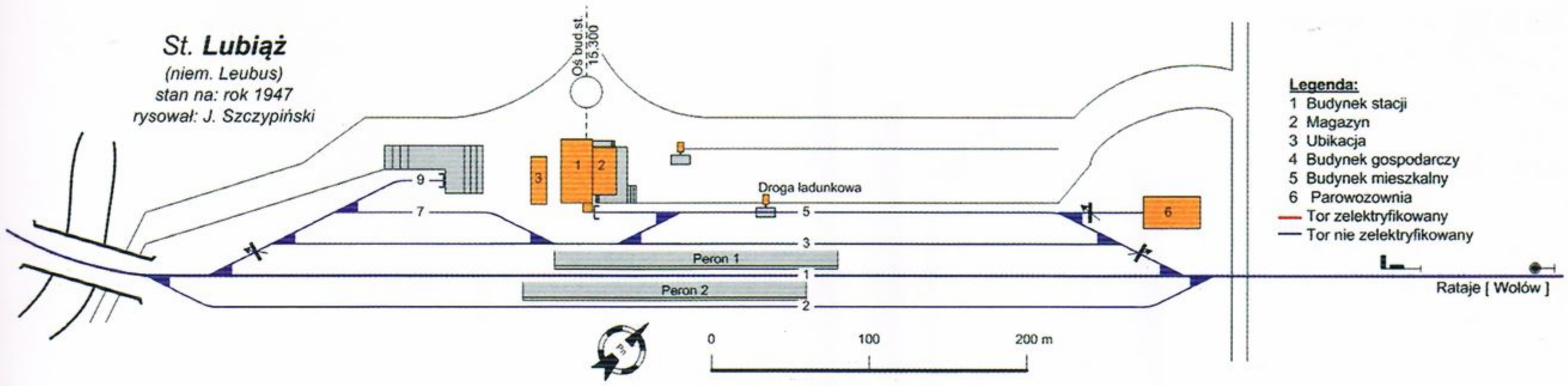

Szkic stacji kolejowej w Lubiążu, rok 1947.

1943 r. Sami naukowcy przyjechali jednak o wiele wcześniej.

W tym samym czasie w firmie Telefunken obowiązywał następujący schemat organizacyjny:

I. Wydział LH (wysokie częstotliwości fal radiowych 3-30MHz), posiadający 4 oddziały: LH1, LH2, LH3 i LH4. Wydziałem kierował dr Horst Rothe.

II. Wydział LN (niskie częstotliwości 30- 300 KHz), którym kierował dr Hugo Lichte.

III. Wydział F (telewizja), którym kierował Prof. dr Fritz Schröter.

IV. Wydział Lamp Elektronowych, którym kierował dr Karl Steimel[3].

Funkcjonowały też specjalistyczne laboratoria.

Na podstawie dostępnych dokumentów archiwalnych, szczególnie odnalezionych po wojnie na terenie klasztoru w Lubiążu można przyjąć, że przeniesiono tutaj z Berlina część pracowników wydziału wysokich częstotliwości LH, Laboratorium Antenowego EB oraz wydziałów EC i FM (wstępne prace nad nowymi urządzeniami).

Kierownikiem całej placówki w Lubiążu został dr Leo Brandt, zaś ze strony zarządu firmy Telefunken nadzór pełnił dyrektor dr Karl Rottgardt[4]. Należy pamiętać, że dr Leo Brandt był jednocześnie szefem zespołu roboczego „Rotterdam". Może to dowodzić, że w Lubiążu realizowano wiele ważnych programów dotyczących techniki radarowej.

Ewakuacja z Lubiąża

To najbardziej tajemnicza część losów klasztornych laboratoriów. Pod koniec grudnia 1944 r. naukowcy w Lubiążu otrzymali dyspozycję rozpoczęcia przygotowań do opuszczenia klasztoru. Ostatni znany dokument archiwalny z Lubiąża nosi datę 17 stycznia 1945 r. Armia Czerwona zbliżała się coraz bardziej w kierunku Wrocławia, więc zarząd firmy Telefunken nakazał w trybie pilnym ostateczną ewakuację. Postanowiono całość ośrodka badawczo-rozwojowego przenieść do Turyngii i tam na nowo zorganizować jego siedzibę. Maszyny, urządzenia naukowe, najważniejsze dokumenty załadowano na wagony i wywieziono do miejscowości Böhlen koło Großbreitenbach, na południe od Erfurtu (Las Turyndzki). Na miejsce nowego laboratorium wybrano tamtejszą fabrykę termometró Thermometerfabrik „A.Goelitz" KG[5]. Nie udało się uruchomić nowej placówki, bowiem prace adaptacyjne zostały przerwane w wyniku zajęcia miasteczka przez wojska amerykańskie.

Ewakuację przeprowadzono etapami, co najmniej do 20 stycznia 1945 r. (zachował się dokument z menu na okres 15-20.01.1945 r.). Potem Sowieci w dniu 25 stycznia zajęli Lubiąż.

Póki co nie ma śladów działania tutaj „trofiejnych brygad". Uważam, że ze względu na niezwykle ważną rolę laboratoriów Telefunkena, jaką odegrały w pracach nad najbardziej tajnymi projektami badawczymi w zakresie nowych systemów radarowych pracujących na falach o długości 3 i 9 cm, Niemcy nie pozostawili tu nic wartościowego, nie licząc radarów stacjonarnych na betonowych podstawach.

Ciekawostką jest natomiast fakt, że po wojnie w klasztornych zakamarkach odnaleziono wiele pozostałości po dokumentacji dotyczącej działalności spółki Dr. Fürstenaua, dzięki którym można było wreszcie poznać prawdę o wojennych losach klasztoru w Lubiążu, ale o tym już w następnym artykule.

40-45 ton

FARBY MASKUJĄCEJ – ILOŚĆ POTRZEBNA DO ZAMASKOWANIA KLASZTORU

Autor składa gorące podziękowania Józefowi Szczypińskiemu oraz Kolegom z Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego za pomoc okazaną w badaniach terenowych oraz udostępnienie dokumentów archiwalnych.

Romuald Owczarek

PRZYPISY

[1]Grzegorz Grajewski „Między sztuką, nauką a polityką. Ochrona zabytków na Dolnym Śląsku w czasach III Rzeszy", str. 317.
[2]Marek Michalski „Lubiąż mniej nieznany?", Odkrywca 12/(215) 2016, str. 24.
[3]Iris Runge „Mathematics at Osram and Telefunken", str. 176.
[4]Archiwum Muzeum Techniki SDTB Berlin sygn. akt I.2.060 C -05747, str. 52.
[5]Kai Christian Handel „Anfänge der Halbleiterforschung und -entwicklung", str. 74.

SABOTAŻ INŻYNIERA

LESZEK ADAMCZEWSKI

Wielkoniemiecka Rzesza Adolfa Hitlera wojnę przegrała już w 1940 roku, gdy skromnego technologa raciborskiej fabryki Siemensa zdziwiło nietypowe zamówienie Wehrmachtu...

Musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego, bo niespodziewanie dla dziesięciu internowanych naukowców, sprawujący nad nimi nadzór brytyjski major Terence H. Rittner tuż przed kolacją, którą spożywano o 18:00, zaprosił na rozmowę profesora Ottona Hahna. Kilka godzin wcześniej specjalny kurier przywiózł majorowi z Londynu rozkaz na piśmie, by Rittner i Hahn wspólnie wysłuchali dziennika BBC, a po kolacji wszyscy internowani o 21:00 zgromadzili się przy radioodbiorniku podczas emisji kolejnego dziennika BBC. Jednocześnie przełożeni majora zwrócili mu uwagę, by tego wieczoru żadne słowo przebywających w rezydencji

www.odkrywca.pl

fot. Leszek Adamczewski , arch. autora

SCHMIDTA

Farm Hall uczonych niemieckich nie umknęło uwadze podsłuchujących. A podsłuchiwać było czym, bo rezydencja została naszpikowana dobrze ukrytymi mikrofonami.

Był poniedziałek, 6 sierpnia 1945 roku. Dzień, który na zawsze zapisał się w historii świata.

Siedząc w fotelach Hahn i Rittner wysłuchali tej oto krótkiej wiadomości: „Prezydent Truman poinformował o wielkim sukcesie alianckich naukowców, którzy zdołali wyprodukować pierwszą bombę atomową. Została ona zrzucona na japońską bazę wojskową, a jej eksplozja miała siłę równą dwu tysiącom wielkich bomb 10-tonowych".

Major Rittner wiedział już o tym zdarzeniu i patrzył, jak zareaguje nań Otto Hahn. Uczony był roztrzęsiony i nie chciał uwierzyć w zrzucenie bomby atomowej na japońską bazę, jak w dzienniku BBC nazwano Hiroszimę. Rittner zapewnił go, że nie jest to żadna kaczka dziennikarska, lecz oficjalne oświadczenie prezydenta USA. „Znaczną ilością alkoholu zdołałem uspokoić Hahna, po czym zeszliśmy na dół na kolację, gdzie przekazał tę nowinę pozostałym gościom" – napisał major w raporcie.

„To nie może być prawda – powiedział profesor Werner Heisenberg po wysłuchaniu Hahna i zapytał go, czy w informacji radiowej padło słowo »uran«.

– Nie.

– A więc to nie ma nic wspólnego z atomem – mówił dalej laureat Nagrody Nobla z 1932 roku. – Może to była bomba nadciśnieniowa, ale nie wierzę, że ma to cokolwiek wspólnego z uranem. To musi być wynalazek chemiczny ogromnie wzmagający siłę wybuchu".

Nie tylko Werner Heisenberg, ale także inni „goście" Farm Hall nie mogli uwierzyć, że Amerykanie wyprzedzili Niemców w badaniach nuklearnych. Do tego tragicznego dla świata dnia zrzucenia pierwszej bomby atomowej na praktycznie bezbronne miasto niemieccy uczeni byli przekonani, że to oni ciągle dzierżą w tym wyścigu palmę pierwszeństwa.

Zakład Siemens-Plania-Werke AG für Kohlefabrikate w Ratibor na przedwojennym zdjęciu.

Grafit czy ciężka woda?

Profesor Paul Harteck z Uniwersytetu w Hamburgu był tym, który wraz ze swym asystentem Wilhelmem Grothem pierwszy zwrócił uwagę wojskowych niemieckich na tezy zawarte w dwóch artykułach, opublikowanych w pierwszych tygodniach 1939 roku w czasopismach naukowych „Die Naturwissenschaften" i „Nature".

W pierwszym z nich niemiecki profesor Otto Hahn opisał doświadczenia przeprowadzone ze swym asystentem Fritzem Strassmannem. W 1938 roku dokonali oni w Berlinie pierwszego rozszczepienia jądra atomu uranu, chociaż nie od razu zorientowali się w istocie tego epokowego odkrycia naukowego. Natomiast paryski fizyk profesor Frederic Joliot-Curie, mąż Ireny Curie – córki Marii Skłodowskiej-Curie, na łamach „Nature" opisał powtórzone przez siebie doświadczenie Hahna i Strassmanna, zwracając uwagę na to, co w swej interpretacji pominęli jego niemieccy koledzy, a mianowicie na możliwość wywołania reakcji łańcuchowej, która wyzwoli gigantyczną energię.

I właśnie o tym wszystkim pisali Harteck i Groth w liście do Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Informowali oni kierowany przez generała Wilhelma Keitla najwyższy urząd wojskowy o możliwościach, które stwarza fizyka jądrowa. Nie kryli, że jej osiągnięcia będzie można wkrótce wykorzystać do skonstruowania ładunków wybuchowych o niewyobrażalnej wręcz sile rażenia. „Kraj, który jako pierw- >>>

PROJEKT MANHATTAN

125
TYSIĘCY PRACOWNIKÓW

2
MILIARDY DOLARÓW

www.odkrywca.pl

Oto czwórka z dziesiątki internowanych w Farm Hall niemieckich uczonych atomistów: Werner Heisenberg, Carl Friedrich von Weizsäcker, Otto Hahn i Kurt Diebner.

>>> szy zrobi użytek [z rozszczepienia jądra atomu uranu – przyp. autora] uzyska trudną do nadrobienia przewagę nad innymi krajami" – pisali hamburscy naukowcy.

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu list obu naukowców skierowało do Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych. Można sobie wyobrazić, że z wypiekami na twarzy czytał go major doktor Kurt Diebner, zdolny organizator i nieźle wykształcony fizyk zatrudniony w tej naukowo-badawczej placówce wojskowej. Nie był on może wybitnym uczonym, ale w lot pojął przesłanie Hartecka i Grotha oraz skłonił swoich przełożonych do zainteresowania się tym problemem.

W sobotę, 16 września 1939 roku, w berlińskiej siedzibie Dowództwa Wojsk Lądowych spotkali się najwybitniejsi niemieccy fizycy i chemicy, którzy podjęli decyzję o rozpoczęciu badań nad militarnym wykorzystaniem odkrycia Hahna, którego zresztą ostro skrytykowano za opublikowanie artykułu w „Die Naturwissenschaften", a wszelkie prace badawcze objęto najściślejszą tajemnicą państwową Rzeszy. Dziesięć dni później odbyła się kolejna konferencja uczonych, na której utworzono Towarzystwo Uranowe (Uranverein) – organizację naukową skupiającą naukowców pracujących nad bronią jądrową, a wiodącą placówką badawczą stał się Instytut Fizyki Towarzystwa Cesarza Wilhelma w Berlinie-Dahlem.

Profesor Werner Heisenberg, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 1932 roku, wraz ze współpracującymi z nimi naukowcami zajął się budową reaktora jądrowego, który wówczas nazywano maszyną uranowa lub stosem atomowym. W swoim raporcie do Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych z 6 grudnia 1939 roku Heisenberg poruszył kilka ważnych spraw, w tym zasygnalizował problem, który sprowadzał się do odpowiedzi na pytanie: grafit czy ciężka woda?

Pacyfista Erwin Schmidt

Wśród setek kwestii, które w latach 1940-1941 musiał rozwiązać zespół Heisenberga, była bowiem sprawa moderatora, czyli spowalniacza neutronów. O paliwo reaktorowe uczeni niemieccy nie musieli się zbytnio martwić. Kilkanaście tysięcy ton rudy uranu Niemcy znaleźli w okupowanej przez nich od wiosny 1940 roku Belgii. Pochodziła ona z bogatych złóż w jednej z afrykańskich kolonii, a mianowicie z Konga. Poza tym geolodzy niemieccy prowadzili poszukiwania rudy uranowej w Sudetach, znajdując jej złoża między innymi w rejonie miasteczka Schmiedeberg (Kowary) niedaleko Hirschbergu (Jeleniej Góry) oraz na terenie Protektoratu Czech i Moraw.

Według ówczesnej wiedzy za znakomity moderator uchodził tlenek deuteru, czyli tak zwana cięż-

Wystawiony 4 stycznia 1944 roku przez Centralne Laboratorium zakładów Leuna Weke dokument wymienia nazwiska kilku znanych atomistów niemieckich. Obok doktora Kurta Diebnera i profesora Paula Hartecka widnieje nazwisko docenta Hansa Eduarda Suessa, zwolennika ciężkiej wody.

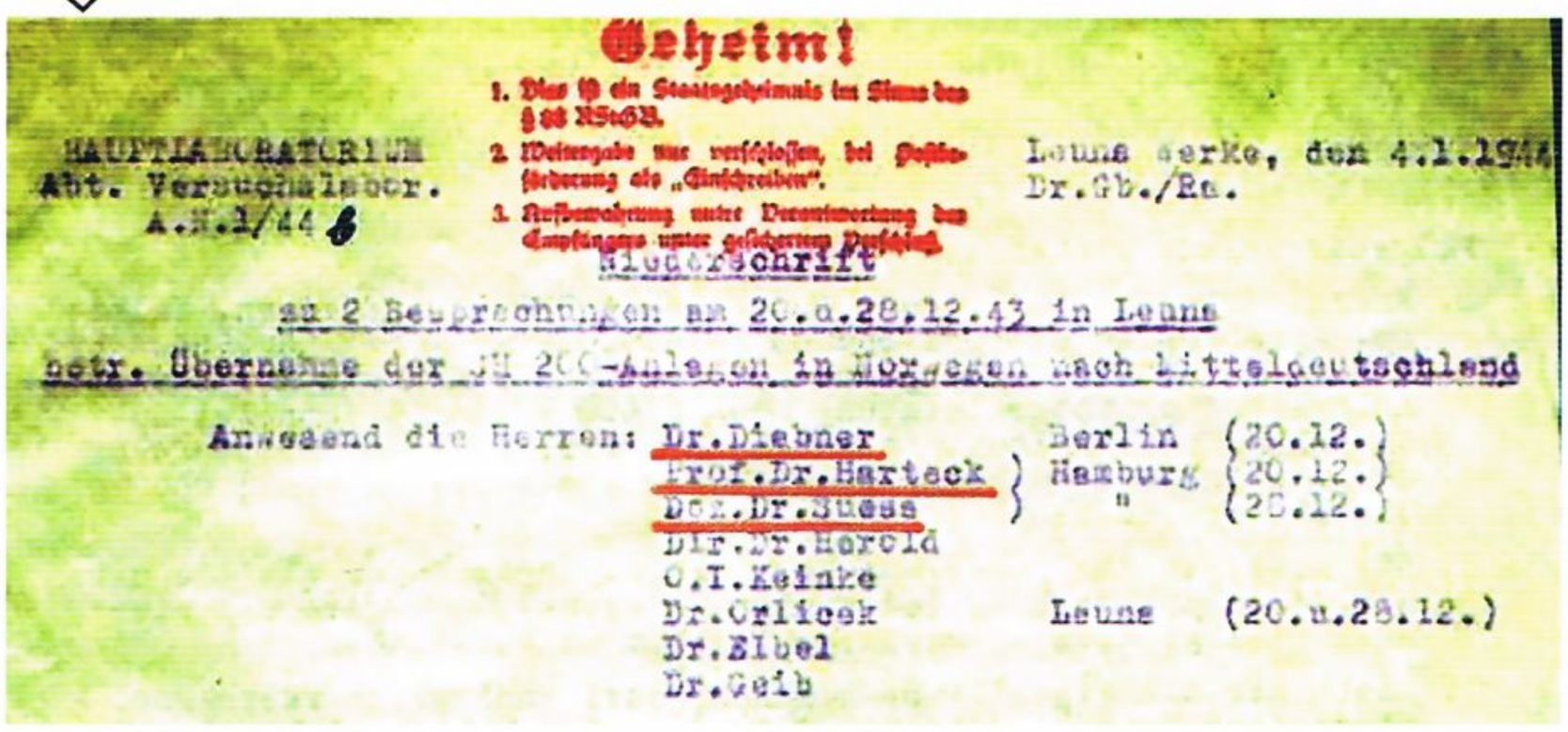

Geheim!

1. Dies ist ein Staatsgeheimnis im Sinne des § 88 RStGB.
2. Weitergabe nur verschlossen, bei Gefährdung als „Einschreiben".
3. Aufbewahrung unter Verantwortung des Empfängers unter gesichertem Verschluß.

HAUPTLABORATORIUM
Abt. Versuchslaboratorium
A.V.1/44 G

Leuna Werke, den 4.1.1944
Dr.Gb./Ra.

Niederschrift

über 2 Besprechungen am 20.u.28.12.43 in Leuna

betr. Übernahme der JG 200-Anlagen in Norwegen nach Mitteldeutschland

Anwesend die Herren:

Dr.Diebner	Berlin	(20.12.)
Prof.Dr.Harteck	Hamburg	(20.12.)
Doz.Dr.Suess	"	(28.12.)
Dir.Dr.Herold		
O.I.Heinke		
Dr.Orlicek	Leuna	(20.u.28.12.)
Dr.Elbel		
Dr.Geib		

www.odkrywca.pl

ka woda. Na skalę przemysłową, zresztą tylko jako produkt uboczny przy wytwarzaniu wodoru metodą elektrolityczną, produkował ją tylko jeden zakład na świecie – firma Norsk Hydro w Vemork, w pobliżu Rjukanu w norweskich górach Telemark, gdzie znajdowała się gigantyczna hydroelektrownia, a zakład elektrolizy był jej częścią. Sympatyzujący z Francuzami Norwegowie z Vemork nie palili się do współpracy z Niemcami, ale gdy wiosną 1940 roku Wehrmacht zajął Norwegię, zakład elektrolizy mógł pracować już tylko na potrzeby niemieckiego programu uranowego.

Na początku wojny Niemcy wiedzieli, że równie dobrym moderatorem co ciężka woda może być grafit o bardzo wysokim stopniu czystości. Nadszedł więc czas, by wybrać ten najbardziej właściwy. I to zadanie otrzymał do wykonania zespół profesora Paula Hartecka. Działający w jego zespole doktor Hans Eduard Suess (niemiecki dokument z 4 stycznia 1944 roku tytułuje go docentem) przeprowadził obliczenia, które wykazały, że znacznie lepszym od grafitu moderatorem będzie jednak tlenek deuteru. W swych obliczeniach Suess popełnił drobny błąd, którego nie wychwycił weryfikujący całość jego ustaleń profesor Walter Bothe z Heidelbergu.

W tej sytuacji uczonym niemieckim pozostała już tylko ciężka woda. Bothe, wiedząc jednak o trudnościach z jej produkcją, postanowił zdobyć ultraczysty grafit. A z jego produkcją – rozumowali on i jego koledzy – nie powinno być w Niemczech problemów. Wszak czołowym producentem grafitu w Europie był wówczas zakład Siemens-Plania-Werke AG für Kohlefabrikate w Ratibor, czyli w dzisiejszym Raciborzu na Śląsku.

Ten działający od 1895 roku zakład koncernu Siemensa w przemyśle zbrojeniowym Trzeciej Rzeszy odgrywał bardzo ważną rolę. Wytwarzano tu elementy niezbędne w zakładach lotniczych i przemyśle stoczniowym przy produkcji myśliwców, bombowców i okrętów >>>

EWOLUCJA KONCEPCJI BOMBY ATOMOWEJ

1933
IRENE (CÓRKA MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE) I FRÉDÉRIC JOLIOT-CURIE ODKRYWAJĄ SZTUCZNĄ PROMIENIOTWÓRCZOŚĆ.

Jesień 1933
ERNEST RUTHERFORD NA ZJEŹDZIE BRITISH ASSOCIATION STWIERDZA, ŻE LUDZIE KTÓRZY SPODZIEWAJĄ SIĘ WYZWOLENIA ENERGII ATOMOWEJ TO FANTAŚCI.

1934
ENRICO FERMI I JEGO ZESPÓŁ TWORZĄ PROMIENIOTWÓRCZY URAN (NAPROMIENIOWUJĄC GO NEUTRONAMI), POWSTAJE HIPOTEZA O PIERWIASTKACH TRANSURANOWYCH.

1938
UKAZUJE SIĘ PRACA IRENE JOLIOT-CURIE I PAVLA SAVICA O TRANSURANOWCACH. OTTO HAHN LEKCEWAŻY WYNIKI.

22.XII.1938
OTTO HAHN I FRITZ STRASSMAN PUBLIKUJĄ ARTYKUŁ W CZASOPIŚMIE „NATURWISSENSCHAFTEN", KTÓRY STWIERDZA, ŻE JĄDRO URANU „PĘKŁO NA KAWAŁKI", CO WG NICH BYŁO SPRZECZNE Z CAŁYM ÓWCZESNYM DOROBKIEM FIZYKI JĄDROWEJ.

1939
NIELS BOHR W ROZMOWIE Z EUGENEM WIGNEREM PRZYTACZA SZEREG ARGUMENTÓW PRZECIWKO MOŻLIWOŚCI WYKORZYSTANIA ENERGII ATOMOWEJ.

4.I.1939
LEO SZILARD PISZE DO FRÉDÉRICA JOLIOT-CURIE, ŻE DOSTRZEGA MOŻLIWOŚĆ ZAISTNIENIA REAKCJI ŁAŃCUCHOWEJ, KTÓRĄ MOŻNA BY WYKORZYSTAĆ PRZY PRODUKCJI BARDZO NIEBEZPIECZNYCH BOMB.

7.IV.1939
FRÉDÉRIC JOLIOT-CURIE WRAZ Z HANSEM VAN HALBANEM I LWEM KOWARSKIM POTWIERDZAJĄ MOŻLIWOŚĆ REAKCJI ŁAŃCUCHOWEJ.

2.VIII.1939
ALBERT EINSTEIN PISZE LIST DO PREZYDENTA FRANKLINA ROOSEVELTA, W KTÓRYM STWIERDZA, ŻE URAN MOŻE STAĆ SIĘ NOWYM WAŻNYM ŹRÓDŁEM ENERGII, JAK RÓWNIEŻ MATERIAŁEM DO PRODUKCJI BOMB O POTĘŻNEJ SILE RAŻENIA.

16.IX.1939
W BERLIŃSKIEJ SIEDZIBIE DOWÓDZTWA WOJSK LĄDOWYCH SPOTKALI SIĘ NAJWYBITNIEJSI NIEMIECCY FIZYCY I CHEMICY, KTÓRZY PODJĘLI DECYZJĘ O ROZPOCZĘCIU BADAŃ NAD MILITARNYM WYKORZYSTANIEM ODKRYCIA HAHNA. WYNIKI PRAC ZOSTAJĄ UTAJNIONE.

26.IX.1939
POWSTAJE TOWARZYSTWO URANOWE (URANVEREIN) – ORGANIZACJA NAUKOWA SKUPIAJĄCA NAUKOWCÓW PRACUJĄCYCH NAD BRONIĄ JĄDROWĄ, A WIODĄCĄ PLACÓWKĄ BADAWCZĄ STAJE SIĘ INSTYTUT FIZYKI TOWARZYSTWA CESARZA WILHELMA W BERLINIE-DAHLEM.

21.X.1939
POWOŁANO KOMITET DS. ENERGII ATOMOWEJ W USA Z NAD WYRAZ SKROMNYMI ŚRODKAMI – 6 TYS. DOLARÓW.

6.XII.1939
WERNER HEISENBERG ZASTANAWIA SIĘ: GRAFIT CZY CIĘŻKA WODA?

1940
NIEMCY POZYSKUJĄ Z BELGII ZNACZNĄ ILOŚĆ URANU (Z BOGATYCH ZŁÓŻ Z KONGA).

1940
DR HANS EDUARD SUESS WSKAZUJE NA CIĘŻKĄ WODĘ.

1940
INŻ. ERWIN SCHMIDT Z SIEMENS-PLANIA-WERKE AG FÜR KOHLEFABRIKATE W RATIBOR SABOTUJE PRODUKCJĘ PRĘTÓW GRAFITOWYCH.

1940-41
W TESTACH GRAFIT OKAZUJE SIĘ ZŁYM MODERATOREM.

8.III.1940
ALBERT EINSTEIN PISZE DRUGI LIST DO PREZYDENTA ROOSEVELTA, W KTÓRYM ALARMUJE, ŻE TEMPO PRAC NIEMIECKICH NAUKOWCÓW JEST DUŻE.

6.XII.1941
PREZYDENT ROOSEVELT ZATWIERDZA PLAN SKONSTRUOWANIA BOMBY ATOMOWEJ I PRZEZNACZA NA NIEGO POCZĄTKOWO NIEWIELKIE ŚRODKI.

13.VIII.1942-46
PROJEKT MANHATTAN POD KIEROWNICTWEM ROBERTA OPPENHEIMERA, ZAKROJONY NA OGROMNĄ SKALĘ PLAN PRAC BADAWCZYCH NAD SKONSTRUOWANIEM BOMBY ATOMOWEJ.

16.VII.1945
PIERWSZY ZAKOŃCZONY SUKCESEM WYBUCH JĄDROWY W AMERYKAŃSKIM STANIE NOWY MEKSYK.

8.VII.1945
POWSTAJE RAPORT Z PRAC NIEMIECKICH ATOMISTÓW NAZWANY MEMORANDUM.

www.odkrywca.pl

>>> podwodnych. Na mocno uprzemysłowionym Górnym Śląsku fabryka Siemensa w Ratibor znajdowała się w grupie zakładów zakwalifikowanych do pierwszej klasy obiektów wymagających ochrony przed nalotami, chociaż południowo-wschodnia część prowincji śląskiej, a później górnośląskiej, długo znajdowała się na granicy zasięgu bombowców alianckich.

I właśnie do takich zakładów Siemensa już wczesną wiosną 1940 roku trafiło zamówienie Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych zredagowane przez Waltera Bothego. Współodpowiedzialnym za realizację tego zamówienia został główny technolog zakładów inżynier Erwin Schmidt. Po co armii tak czysty grafit? – zastanawiał się, po raz kolejny czytając wojskowy dokument. Jak powiedział po wojnie, nie wiedział on, do jakiego konkretnie celu specjalistom z Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych potrzebny jest grafit, ale zastanowiły go choćby wyśrubowane normy technologiczne oraz ilość i rozmiary grafitowych bloków o wymiarach aż 3x0,6 metrów. Intuicyjnie czuł, że wojskowi szykują coś złego...

Erwin Schmidt nie był zwolennikiem Adolfa Hitlera i jego nazistów, ale – jak tysiące jemu podobnych – przed kolegami z pracy, a nawet rodziną się z tym nie afiszował, ukrywając swe prawdziwe poglądy. Już na progu wojny, której nienawidził, los zesłał mu możliwość działania. Postanowił więc, że do zleceniodawcy trafi grafit zanieczyszczony pirytem oraz związkami wapnia i siarki. Nie było to jakieś znaczne zanieczyszczenie, które wykryłaby każda kontrola techniczna, ale raczej zbliżone do śladowego, to jednak i taki grafit nie odpowiadał normom określonym przez Bothego. I między czerwcem 1940 a styczniem 1941 roku sto sztuk wielkich bloków grafitowych sukcesywnie wysyłano do Berlina, gdzie podczas kolejnych pomiarów Bothe utwierdzał się w przekonaniu, że grafit nie jest właściwym moderatorem, a przynajmniej taki grafit, jaki naukowcom dostarczył niemiecki przemysł.

Tymczasem tenże przemysł, a w szczególności zakład Siemens-Plania-Werke AG w Ratibor był w stanie to zrobić. W liście do profesora Wernera Heisenberga z 9 września 1947 roku Erich Höhne, były dyrektor raciborskiego zakładu Siemensa, pisał między innymi: „Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że w każdej chwili mogliśmy wyprodukować i dostarczyć elektrografit o wyższym stopniu czystości niż jest to zwykle wymagane do celów technicznych".

Magiczne słowo „uran"

Wróćmy do tamtego sierpniowego poniedziałku 1945 roku, gdy po kolacji grupa internowanych w Farm Hall atomistów niemieckich usiadła wokół radioodbiornika. O 21:00 spiker przeczytał kolejną informację: „Podajemy wiadomości. Głównym tematem dnia jest dziś wspaniałe dokonanie alianckich naukowców, a mianowicie skonstruowanie bomby atomowej. Jedna z takich bomb została zrzucona na japońską bazę wojskową. Samoloty zwiadowcze nie zdołały niczego zaobserwować, mimo upływu kilku godzin ze względu na ogromną chmurę pyłu i dymu, która wciąż jeszcze spowija miasto niegdyś liczące ponad 300 000 mieszkańców".

Otto Hahn siedział ze spuszczoną głową słuchał dziennika. On już wiedział, że to, co wydarzyło się w Japonii, miało swój początek w epokowym odkryciu jego i Fritza Strassmanna. Jego koledzy się jeszcze łudzili, że to słowo nie padnie i dalej słuchali dziennika BBC. Dowiedzieli się, że alianccy projekt konstrukcji bomby atomowej kosztował 500 000 funtów szterlingów (ok. 2 miliardy dolarów), a na jego rzecz pracowało okresowo nawet 125 000 ludzi. I wreszcie, niczym rażenie pioruna, padło to słowo. Do produkcji tej bomby został użyty uran! Uran właśnie. A więc nie bomba nadciśnieniowa, ale prawdziwa bomba atomowa spadła na japońskie miasto.

Późnym wieczorem wśród niemieckich atomistów wywiązała się

Członkowie misji ALSOS, szukający śladów prac nad bombą atomową Hitlera, badają reaktor Heisenberga w Haigerloch.

Historia bomby atomowej: Stany Zjednoczone, Rzesza Niemiecka, Związek Radziecki. Jerzy Kubowski.
Fragmenty stricte specjalistyczne i dokumentalne przeplatają się w niej z biograficznymi wstawkami i relacjami zgoła sensacyjnymi. Po przeczytaniu książki Czytelnik sam będzie mógł się ustosunkować do kwestii, na ile uzasadniony był strach aliantów przed atomowym zagrożeniem hitlerowskich Niemiec.
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

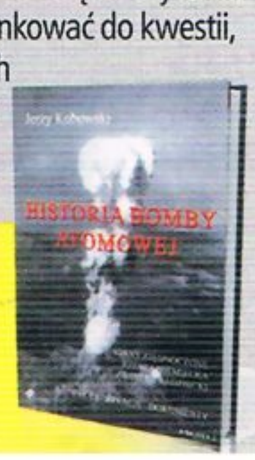

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

ożywiona dyskusja, z której tylko fragmenty zostały przez Brytyjczyków ujawnione. Hahn uznał, że aliantom udało się oddzielić izotopy uranu, dzięki czemu uzyskali czysty uran 235, którego użyto do skonstruowania bomby. Paul Harteck przypomniał kolegom, że w reaktorze jądrowym można wytwarzać także inny materiał rozszczepialny, a mianowicie transuranowy pierwiastek 93, zwany neptunem. Wszyscy internowani wiedzieli, że neptun szybko przekształca się w stabilny pierwiastek 94, czyli w pluton, ale nigdy nie udało się im otrzymać plutonu.

„W przypadku 94 musieliby posiadać pracującą przez długi czas maszynę [uranową, czyli reaktor jądrowy – przyp. autora] – powiedział Hahn i rozdrażniony dodał: – Jeśli Amerykanie mieli bombę uranową, to wy wszyscy jesteście drugorzędni. Biedny, stary Heisenberg".

Po chwili Hahn powtórzył tę myśl: „Heisenberg, jesteś drugorzędny i mógłbyś spakować walizki".

„Zupełnie się zgadzam" – skwitował wypowiedź swego kolegi Heisenberg.

Już wówczas zaczął przewijać się wątek, że niektórzy atomiści niemieccy sabotowali prace nad bombą atomową.

„Kiedy wrócimy do Niemiec, dadzą nam do wiwatu. Będziemy uznawani za tych, którzy wszyst- >>>

www.odkrywca.pl

>>> ko sabotowali. Pozabijają nas tam" – w pewnym momencie powiedział Walther Gerlach, który w latach 1944-1945 był pełnomocnikiem przewodniczącego Rady Badań Naukowych Rzeszy Hermanna Göringa do spraw badań jądrowych.

„Czy jest pan tak zdenerwowany, ponieważ nie skonstruowaliśmy takiej bomby? Ja na klęczkach dziękuję Bogu, że nie wyprodukowaliśmy bomby uranowej. Martwi pana, że udało się to Amerykanom? – zapytał Gerlacha Otto Hahn.

– Tak.

– Gdybyśmy chcieli skonstruować taką bombę, powinniśmy bardziej skupić się na izotopach, a mniej na ciężkiej wodzie – stwierdził Carl Friedrich von Weizsäcker. I dodał: – Gdybyśmy zajęli się tą sprawą wystarczająco wcześnie, moglibyśmy do czegoś dojść. Skoro Amerykanie zdołali zakończyć prace do lata 1945 roku, nam mogło się udać przeprowadzenie jej eksplozji zimą 1944/1945.

– Rezultat byłby taki, że unicestwilibyśmy Londyn, ale i tak nie podbilibyśmy świata. Co wtedy stałoby się z nami? – retorycznie zapytał Karl Wirtz".

Tamtej sierpniowej nocy kolegów Hahna zaniepokoił stan uczonego. Informacje z Hiroszimy wywołały u niego wstrząs psychiczny. Gdy około 3:00 nad ranem internowani udali się wreszcie do łóżek, Maks von Laue i Erich Bagge czuwali pod drzwiami pokoju Hahna, czekając aż ten zaśnie. Obawiali się bowiem, by nie targnął się na życie.

Dwa dni później major Rittner odciągnął Hahna na bok i zaproponował mu, by namówił kolegów na napisanie raportu na temat działalności niemieckich atomistów podczas drugiej wojny światowej. I raport taki, zwany memorandum z 8 sierpnia 1945 roku, powstał. Internowani podkreślali w nim, że – jak cytował jego fragmenty Klaus Hoffmann w książce „Wina i odpowiedzialność" – „nie istniały warunki do wyprodukowania bomby w ramach tych możliwości technicznych, którymi dysponowały Niemcy. Dalsze prace koncentrowały się zatem na problemie maszyny. (...) Pod koniec wojny prace były na tyle zaawansowane, że do zbudowania aparatury dostarczającej energii potrzeba już było zapewne tylko niewiele czasu".

Człowiek, który uratował świat

Jeśli – według autorów memorandum – prace niemieckich atomistów koncentrowały się na problematyce maszyny uranowej, czyli na reaktorze, to internowanych powinien interesować wybór moderatora przez naukowców z Los Alamos. Amerykanie i Brytyjczycy wybrali grafit, stosując go od początku prac badawczych nad bombą atomową. Z podsłuchanych w Farm Hall rozmów wynika jednoznacznie, że zaskoczyło to niemieckich atomistów. Wszak oni grafit zdyskwalifikowali.

Wprawdzie w latach 1943-1944 grafit pojawiał się w budowanych w Niemczech maszynach uranowych, ale

Zakłady SGL Carbon Group Polska w Raciborzu kontynuują tradycje Siemens-Plania-Werke AG w dawnym Ratibor i powojennych Zakładów Elektrod Węglowych.

Dawne wejście z portiernią do fabryki Siemens-Plania-Werke AG w Raciborzu.

Do widocznego na zdjęciu budynku dyrekcji raciborskiej fabryki trafiły zamówienia uczonych niemieckich na bloki ultraczystego grafitu.

www.odkrywca.pl

NIEKTÓRE MIEJSCA W EUROPIE ZWIĄZANE Z PRACAMI NAD BOMBĄ ATOMOWĄ

1 FARM HALL, GODMANCHESTER, HUNTINGDON – miejsce internowania niemieckich atomistów.

2 INSTYTUT FIZYKI TOWARZYSTWA CESARZA WILHELMA W BERLIN-DAHLEM.

3 KOWARY – kopalnia uranu.

4 NORSK HYDRO W VEMORK, hydroelektrownia, zakład elektrolizy produkujący ciężką wodę.

5 SIEMENS-PLANIA-WERKE AG FÜR KOHLEFABRIKATE W RATIBOR, czyli w dzisiejszym Raciborzu na Śląsku.

było go za mało i nie tyle zastępował ciężką wodę, co spełniał funkcje pomocnicze. W ostatniej próbie reaktorowej, przeprowadzonej w marcu 1945 roku w podziemnej składnicy win w miasteczku Haigerloch, grafitu było już sporo, ale nie oznacza to wcale, że uczeni niemieccy zrehabilitowali ten rodzaj moderatora. Wszak po zapoznaniu się z oficjalną publikacją, w której przedstawiono szczegóły amerykańsko-brytyjskiego programu atomowego, bardzo gwałtownie zareagował Heisenberg. Dowiedziawszy się, że od samego początku badań nad bombą amerykańską stosowano grafit, laureat Nagrody Nobla uczynił Bothego winnym niepowodzenia niemieckiego programu uranowego, co może świadczyć, że do końca wojny nie wykryto wspomnianego błędu w obliczeniach Suessa i Bothego.

Naziści nigdy nie nabrali żadnych podejrzeń w stosunku do skromnego technologa zakładu Siemens-Plania-Werke AG für Kohlefabrikate. Sprawę ujawniono dopiero po wojnie, a amerykańscy publicyści okrzyknęli inżyniera Erwina Schmidta człowiekiem, dzięki któremu Trzecia Rzesza przegrała wojnę.

W Polsce jest to postać praktycznie nieznana, chociaż w 2009 roku w katowickim oddziale Telewizji Polskiej SA Aleksandra Fudała i Kamil Niesłony zrealizowali według scenariusza Grzegorza Wawocznego filmowy reportaż dokumentalny „Cudowna broń Hitlera" poświęcony Erwinowi Schmidtowi. Jego emisja w TVP Historia przeszła bez echa, a poznawczą rangę filmu obniżyło powtarzanie legendy o podziemnych fabrykach broni V w rejonie Wałbrzycha. Obecnie zaś obowiązująca w Polsce polityka historyczna nie akceptuje afirmacji roli Niemca w zapobieżeniu europejskiej apokalipsie, do której doprowadziłaby bomba atomowa Hitlera. Inżynier Schmidt z Raciborza bohaterem więc nie zostanie... <

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W czerwcu 2016 roku ukazała się „Klęska gauleitera. Sensacje z Kraju Warty". Wkrótce ukaże się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

www.odkrywca.pl

PARTYZANCKIE OBIEKTY PUSZCZY SOLSKIEJ CZ. 3

SZPITAL LEŚNY „665”
LIKWIDACJA

JANUSZ SKOWROŃSKI

– 22 czerwca opuszczamy nasz leśny szpital, wycofując się przed akcją pacyfikacyjną wraz z rannymi na placówkę „Wira” – wspomniała przełożona sanitariuszek „Nina”.

Raz jeszcze zajrzyjmy do albumu Edwarda Buczka w poszukiwaniu zdjęć ze szpitala „665”. Dwa z nich ukazują jego frontową ścianę. Solidną, drewnianą konstrukcję z łatwo dających się łączyć paneli zwieńcza szeroki dach. Pod jego szczytem wisi biała flaga z czerwonym krzyżem. Międzynarodowy znak, że tu się nie walczy. Pod nim małe okno. Boczne, które ma otwieraną drewnianą okiennicę. Przed wejściem uchwyceni obiektywem w rozmowie komendanci szpitala leśnego. Na innym – trzej młodzi ludzie. To drużyna osłonowa szpitala. Dowodzona przez kaprala Władysława Drygasia „Żbika” składała się z absolwentów pierwszego turnusu szkoły Młodszych Dowódców Piechoty „Wira”. W fotograficznym kadrze, wśród jodeł i sosen, dumnie powiewa biało-czerwona flaga, wisząca tu od pamiętnej mszy św. z 29 maja 1944 roku, dnia poświęcenia szpitala. Władysław Drygaś „Żbik” i Jan Kołtun „Pniaczek” z drużyny osłonowej szpitala, niespełna miesiąc po jego otwarciu, zginęli w bitwie pod Osuchami. Poległy trzy szpitalne sanitariuszki Irka Piskorska, Stefcia Mazurówna i Aniela Kukiełka.

Opisy szpitala

Sanitariuszka „Sarna” (Stefania Nowak) opisała rozmieszczenie pomieszczeń baraku szpitala „665”. Siódma z dwudziestu czterech stron ręcznych jej zapisków ma treść:

„Wybrano piękne miejsce; las stary, jodłowy przepyszny. Barak ten można było śmiało nazwać szpitalem. Był obszerny, widny i czysty. Posiadał trzy sale: jedna duża i dwie mniejsze. Na dużej sali było 7 łóżek i 4 okien. Druga sala przeznaczona była na skład lekarstw, narzędzi chirurgicznych i wszelkich materiałów opatrunkowych. Okien było 2. Po jednym z nich stał stół, na którym stało radio i podręczne leki. Na środku tej sali stał oryginalny stół operacyjny. Jednym słowem był to skarb nieoceniony. Choć trochę za ciasno. Ale jak na warunki wojenne było aż za dobrze. Sala trzecia przeznaczona była dla lekarzy. Była to salka mała, mieściły się w niej tylko 2 łóżka. Okien było 2. Na sali chorych jak i na sali lekarzy, na każdym łóżku był nowy, wypchany słomą siennik. Koce były wojskowe z powłoczką białą, ze spadochronu uszytą. Poduszki były wypchane sianem i na niej czysta poszewka, nie pomijając przy tym i prześcieradła. Wszystko to było uszyte z płótna spadochronowego. Chorzy też mieli bieliznę osobistą tego samego pochodzenia co bielizna pościelowa. Szyły to wszystko dziewczynki na Trzepietniaku. Naprawdę, nie spodziewałam się takiego bogactwa w lesie”.

Sanitariuszka zapamiętała 7 łóżek, bo z taką ilością szpital rozpoczynał działalność. Komendant „Radwan” (Lucjan Kopeć) wspominał już o 14 łóżkach w „665” (pisaliśmy o tym w poprzednim odcinku). „Korab” (Zbigniew Krynicki), zastępca komendanta szpitala, zapamiętał trzy izby – dwie dla chorych, jedną – na salę operacyjną oraz przygoto-

29 maja 1944. Otwarcie szpitala „665”. Od prawej w rozmowie: Lucjan Kopeć „Radwan”, komendant szpitala, Stanisław Kowalski „Huk”, szef grupy sapersko-minerskiej (z fajką), Zbigniew Krynicki „Korab” (nieco zasłonięty). Tyłem Józef Strzałka „Zagłoba” w rozmowie ze swoim zastępcą, por. Józefem Wójcikiem ps. „Mały” (zasłonięty).

fot.2x fot. E. Buczek (ze zb. M. Skrzyńskiego)

www.odkrywca.pl

Drużynę osłonową szpitala „665" stanowili (od lewej): Kazimierz Bernacki „Kruk", Adam Droździel „Boks", Zygmunt Wolski „Wolak", Michał Maśko „Szron", Cyprian Łyś „Bocian", Jan Kołtun „Pniaczek", Franciszek Kozłowski „Zając", Władysław Drygaś „Żbik" oraz (brak na fotografii) Tadeusz Studnicki „Czapla", Marian Witkowski „Witek", Czesław Mazur „Czajka", Franciszek Kierepka i Jan Podolak „Skowronek". W trakcie bitwy pod Osuchami do ochrony rannych dołączyli jeszcze sierż. Czesław Skrzyński „Magik" (na zdj. z prawej) i plut. Ignacy Pyter „Murzyn" (na zdj. z lewej).

wanie szpitala na 10-15 łóżek. Jednak w warunkach bojowych liczba łóżek miała się zwiększyć.

Okrążenie

Major „Kalina" (Edward Markiewicz), szef Inspektoratu AK Zamość, tuż przed rozpoczęciem niemieckiej akcji „Sturmwind II", osaczającej partyzantów w potężnym kotle, zjawił się w szpitalu „665". „W nocy z niedzieli na poniedziałek [18/19.06.1944 – przyp. autora] wpadł do szpitala, w przejeździe z odprawy w Bondyrzu do oddziału „Woyny" inspektor „Kalina". Od niego dowiedzieliśmy się, że postanowił nie opuszczać zagrożonego pacyfikacją terenu, a ze względu na możliwość zwiększenia liczby rannych polecił pomyśleć o rozbudowaniu szpitala do 40 łóżek (...) W każdej chwili oczekiwaliśmy rozpoczęcia akcji. Zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z zaistniałej sytuacji. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że Niemcy mogą użyć do walki tak znaczne siły" – wspominał lekarz „Korab". Rozkaz inspektora „Kaliny" jednoznacznie ucinał pomysły niektórych dowódców oddziałów „przeskoczenia" w spacyfikowane wcześniej w ramach operacji „Sturmwind I" Lasy Janowskie. Plan ewakuowania szpitala i przeniesienia go w bezpieczniejsze miejsce miał także komendant „Radwan". Niestety, było już za późno. Od strony Biłgoraja dochodziły niebezpieczne odgłosy walk. Pierwszymi, którzy w Puszczy Solskiej zetknęli się w potyczkach z Niemcami 21 czerwca, byli partyzanci por. „Corda" (Józefa Steglińskiego). Kolejno pod Brodziakami, Wolaninami oraz w rejonie gajówki Smolnik. Oddział „Corda" wycofał się bagnistą drogą w kierunku Margoli, gdzie stoczył kolejną potyczkę z Niemcami, a następnie dotarł w miejsce koncentracji oddziałów partyzanckich, wyznaczonym przy obozie „Wira" [opisywanym w nr 12/2016 „Odkrywcy" – przyp. red.]. W utworzonym, liczącym początkowo 90 kilometrów i stale zmniejszającym się pierścieniu okrążenia, znalazły się oddziały partyzanckie AK i BCh, w tym „Corda", „Rysia", „Topoli", „Wira", „Woyny", „Jaskółki", „Antona" oraz leśny szpital „665". Było to przeszło 800 ludzi oraz nieznana liczba oddziałów partyzantki radzieckiej i Armii Ludowej. >>>

www.odkrywca.pl

Stacja kolejowa, za nią tartak w Długim Kącie koło Józefowa. To stąd partyzanci oddziału „Wira" zabrali Niemcom drewniany barak, który w Puszczy Solskiej posłużył za szpital leśny.

>>> Ewakuacja szpitala

W nocy 21/22 czerwca przyszedł zdecydowany rozkaz ewakuacji szpitala „665". Zaplanowano go świtem następnego dnia. Janina Roguska „Nina" już w 1941 roku została zaprzysiężona w ZWZ na warszawskim Mokotowie. W 1943 roku ukończyła w stolicy 2-letnią szkołę pielęgniarską. Cały czas działała w grupach małego sabotażu. W marcu 1944 roku została skierowana do Inspektoratu Zamojskiego AK. Jako dyplomowana pielęgniarka szkoliła kadry i prowadziła opiekę pielęgniarską dla partyzantów z oddziałów „Wira", „Corda" i „Woyny". Z chwilą organizacji szpitala leśnego „665", „Nina" została przydzielona tam na stanowisko przełożonej pielęgniarek i sanitariuszek. Tak zapamiętała ewakuację leśnego szpitala:

„Calutką noc gorączkowo pakujemy i zakopujemy nieomal całe nasze gospodarstwo. Długie, żelazne zasobniki zrzutowe jeden za drugim pogrążają się w ziemię. Ze sobą zabieramy tylko trochę żywności, niezbędne narzędzia i lekarstwa – nie można przeciążać taboru, najwięcej miejsca muszą mieć ranni (...) Z ciężkim sercem plączemy się po pustych salkach baraczku szpitalnego. Powstawał na naszych oczach. Każdy nowy sprzęt, każda innowacja tu wprowadzona była źródłem naszej radości. Wahamy się chwilę, co zrobić z Orłem Polskim wiszącym w salce operacyjnej. Decydujemy się zostawić go na miejscu. Przecież niedługo powrócimy tu, a jeśli nie, to niech świadczy o tym, że ten las do nas należy. Wreszcie nadchodzi decydująca chwila. Dnia 22 czerwca opuszczamy nasz leśny szpital, wycofując się przed mającą nastąpić akcją pacyfikacyjną wraz z rannymi na placówkę »Wira«. W drodze słyszymy odgłosy walki toczącej się w oddalonym o półtora kilometra obozie »Woyny«".

Zanim nastąpiło ostateczne opuszczenie szpitala, jego komendant widział przechodzące obok i wycofujące się oddziały „Rysia" (Stanisława Basaja, który znalazł się poza okrążeniem a oddziałem dowodził Antoni Warchał „Szczerba"), „Topoli" (Jana Kryka) i na końcu samego „Woyny" (Adama Haniewicza), powstrzymującego w potyczkach nacierających Niemców. W oddziale znalazło się kilku rannych, którym personel szpitala założył opatrunki. „Na końcu oddziału »Woyny«

Osuchy, największy partyzancki cmentarz w Polsce. Na tablicach umieszczono nazwiska poległych, w tym ze szpitala leśnego, niestety z błędami. Obok pokwitowanie odbioru zasiłku przez Marię Drygaś po poległym bracie kapralu „Żbiku".

Szpital leśny „665"

Drygas Władysław „Żbik", l.23, kapral, z Długiego Kątu
Kołtun Jan „Pniaczek", l.20, szeregowiec, z Długiego Kątu
Pastuszek Stefania, lat 19, sanitariuszka, z Aleksandrowa
Pisklak Magdalena, l.22, szeregowiec, sanitariuszka, z Aleksandrowa

www.odkrywca.pl

idzie sztab Inspektoratu z majorem »Kaliną« i rotmistrzem »Mieczem«. Czas więc i na nas. Z żalem zostawiamy pusty już barak z powiewającym znakiem Czerwonego Krzyża. Niestety nie uratowało go to. Niemcy spalili wszystko doszczętnie. Szpital na wozach jest stale przy oddziałach walczących" – zapamiętał ppor. „Radwan".

Rannych nie można było zostawiać we wsiach, bo groziło to wydaniem w ręce Niemców. Po kolejnej potyczce pod Karczmiskami (23 VI), przy wciąż zacieśniającym się pierścieniu niemieckiego okrążenia, przybyło kolejnych rannych. Sytuacja partyzantów oraz będącego już na furmankach ewakuowanego szpitala „665" pogarszała się z każdą godziną. „Dowództwo postanawia jeszcze przed ostateczną rozprawą spróbować zapaść w bagna. Tabor ulega likwidacji, zostają tylko wozy z najciężej rannymi. Niestety i te nie mogą przejechać bagnistymi ścieżkami, po których teraz się posuwamy. Robimy więc nosze i układamy na nich rannych, którzy wracają do swoich macierzystych oddziałów. Niosą ich koledzy partyzanci. Pozostały materiał opatrunkowy zostaje rozdzielony między pielęgniarki i żołnierzy. Moment przejęcia rannych (dnia 24 czerwca o godz. 14-tej) przez oddziały macierzyste należy uważać za koniec dziejów szpitala leśnego 665" – takimi słowami opisał faktyczną likwidację tego największego partyzanckiego szpitala jego komendant, Lucjan Kopeć.

Dalszą pomoc niosą pielęgniarki i lekarze rannym partyzantom, rozlokowanym już w oddziałach. Komendant „Radwan" został następnego dnia, 25 czerwca 1944 roku, sam ciężko ranny w bitwie pod Osuchami. Strzaskany lewy łokieć i kość ramieniowa. Przeżył dzięki blisko trzydniowemu, skutecznemu ukryciu w lesie wraz z innymi rannymi (m.in. „Irką" Marianem Gołębiewskim i „Szumem" Tadeuszem Szanajcą) oraz opiece siostry „Niny", która pozostała z rannymi. Za ten czyn Janinę Roguską (w 1945 została żoną „Wira" – Konrada Bartoszewskiego) odznaczono Krzyżem Walecznych. Kiedy wysłana przez „Wira" z pomocą rannym partyzantom grupa poszukiwawcza odnajduje ich ukrytych w lesie, wśród poszukujących znajdują się „Korab" (Zbigniew Krynicki), zastępca „Radwana", „Magik" (Czesław Skrzyński) i „Murzyn" (Ignacy Pyter). Ich powrót do Brodziaków i dalej w kierunku Biłgoraja odbywa się znanymi partyzanckimi ścieżkami. Wieczorem, 29 czerwca obaj lekarze, ratujący i uratowany, mijają w lesie miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu pracowali. Widzą jedynie spalone zgliszcza po szpitalu „665".

Roguska - Bartoszewska
janina ps. Nina

Janina Roguska „Nina" była szefową pielęgniarek i sanitariuszek szpitala leśnego „665". Pracowały z nią Halina Wójcik „Halina", Danuta Wójcik „Danka", Stanisława Podolak „Palma", Anna Sobczak „Hanka"/ „Brzoza", Maria Drygaś „Malwa", Stefania Nowak „Sarna". Pod Osuchami zginęły Stefania Pastuszek i Magdalena Pisklak.

Było – nie minęło. Poszukiwania

Z Andrzejem Sokalem z GRH „Wir" po ósmej rano docieramy z Biłgoraja pod Trzepietniak do schronu „Wira". To kilkanaście kilometrów dobrej jazdy samochodem. A oni, „Radwan" i „Korab" lekarze z Biłgoraja, czym tu jeździli? Rowerem albo furmanką. Dla nich musiała być to prawdziwa wyprawa do lasu. Zanim zostali w lesie na stałe, bywało, że tego samego dnia lub nawet nocy, należało powrócić do Biłgoraja. Na miejscu mam okazję ujrzeć wykonany w ciągu dwóch miesięcy schron „Wira". Zrekonstruowany robi wrażenie. Obok ziemianki dwie tablice informacyjne, które Andrzej Sokal i dwaj jego koledzy z GRH postawili tej nocy. Przydał się agregat prądotwórczy i dwa przenośne reflektory. Rankiem jest dosyć zimno, ściął pierwszy przymrozek, a wszyscy czekają na ekipę telewizyjną programu „Było – nie minęło", która miała być o dziewiątej. Spóźnia się. Poznaję Antoniego Cielicę, do którego należy skrawek lasu, na którym stał szpital „665". – Ta działka z lasem należała do mojego ojca – mówi Cielica. – I do jeszcze jednego. Będzie tu dziś Wiśniewski, jego zięć. Nasz las był piękny, a jakie jodły i świerki rosły! Duże, ładne. Dlatego wybrali to miejsce na szpital". Barak przywieziono z Długiego Kąta, i tu go partyzanci zestawili. Antoni Cielica baraku nie widział. W 1944 roku był dzieckiem, a tam partyzanci dzieci nie wpuszczali. Ale był w tym miejscu później, po spaleniu baraku przez Niemców. Obok rósł potężny świerk. Na nim był wbity >>>

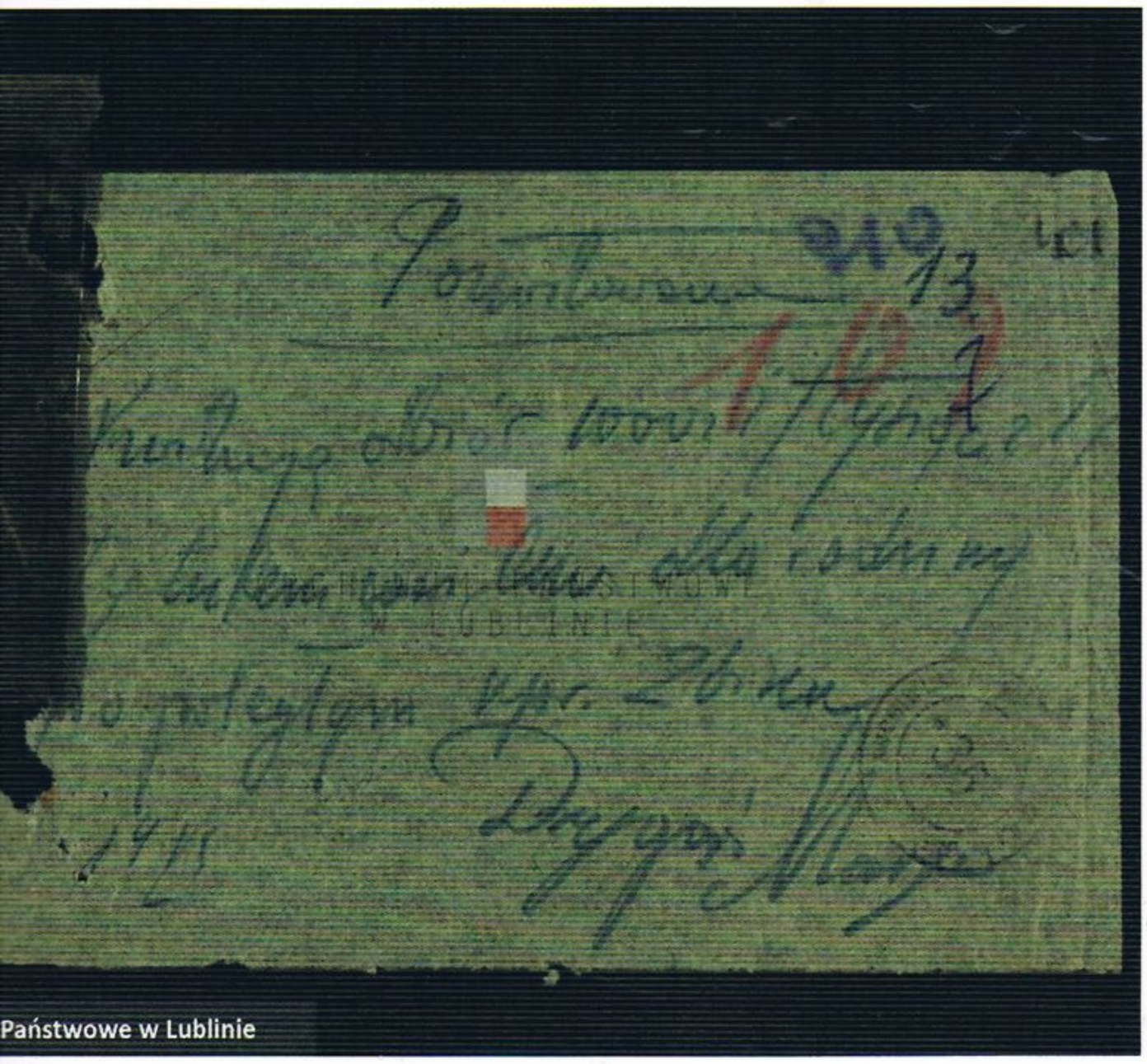
Państwowe w Lublinie

www.odkrywca.pl

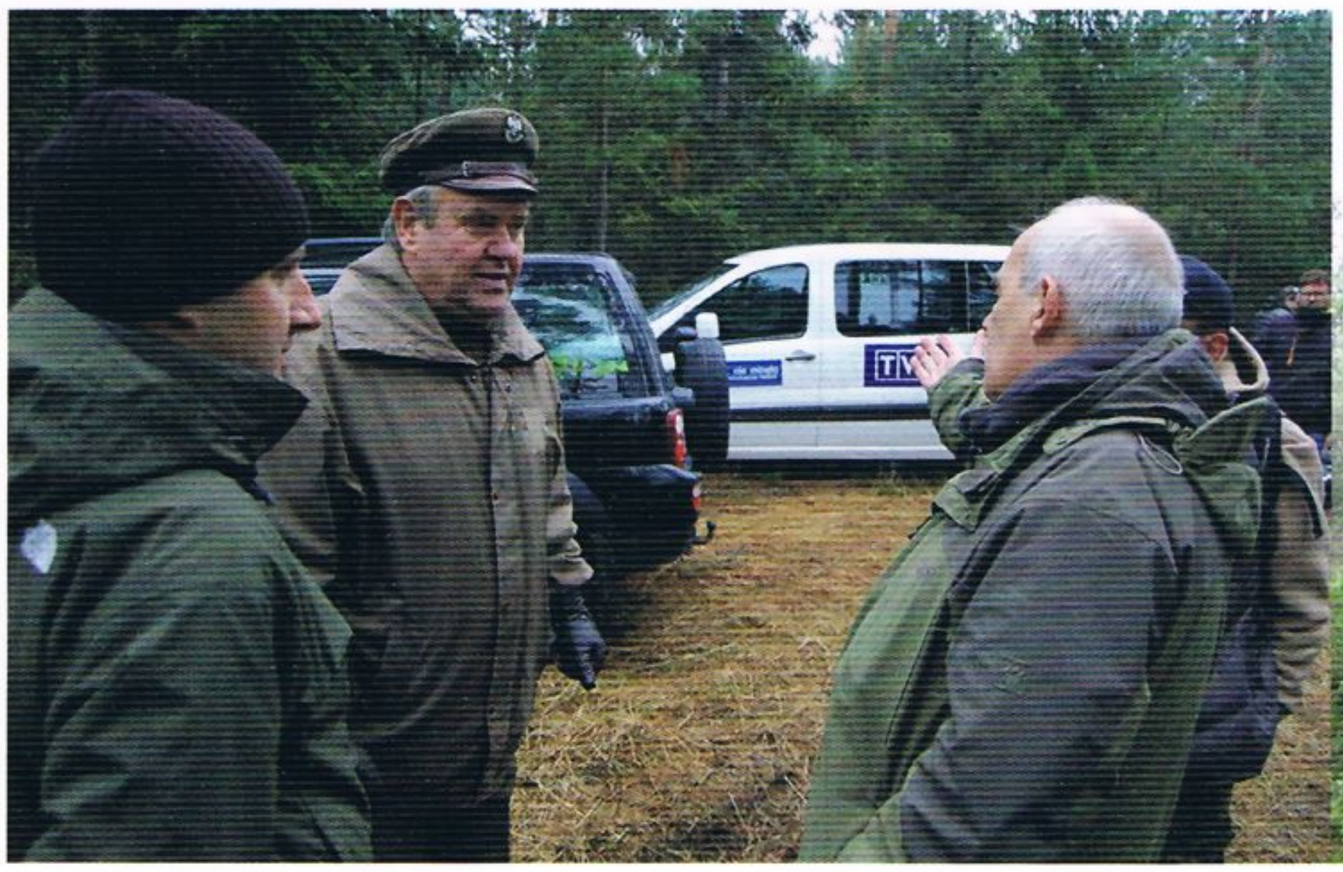

Kapliczna Góra nad obozem „Wira" w Puszczy Solskiej. Krótka rozmowa przed wymarszem w kierunku szpitala „665" – od prawej: red. Adam Sikorski, Tadeusz Startek, leśniczy z Kukiełek, i Andrzej Wojtyło, szef ŚZŻAK z Józefowa i wicedyrektor Roztoczańskiego Parku Narodowego.

>>> potężny gwóźdź, czterokantowy. Taki na 20-30 centymetrów, wbity na skos. A pod spodem, pod tym gwoździem, było wyryte na drzewie: RADWAN.

Zjawiają się Lucyna i Henryk Zugajowie. Pani Lucyna jest córką sanitariuszki „Sarny" z leśnego szpitala. Pokazuje 24 strony notatek o szpitalu, zachowanych wspomnień mamy. Po chwili z drugiej strony ziemianki „Wira" nadjeżdża telewizyjny mikrobus. Charakterystyczny głos redaktora Sikorskiego słychać z daleka. Z nim Robert Kmieć ze swoim georadarem, dźwiękowiec i kamerzysta. Witają się ze wszystkimi. Po krótkiej rozmowie pierwsze ujęcia do programu. Wokół schronu „Wira" oprowadza Andrzej Sokal. Po kilku scenach wszyscy udajemy się w kierunku szpitala „665". Po drodze jeszcze wizyta na pobliskiej Kaplicznej Górze, gdzie koledzy z GRH „Wir" umieszczają przydrożną kapliczkę.

Od pewnego miejsca bagno jest tak duże, że trzeba je omijać, wchodząc głęboko do lasu. Na zamówioną furmankę wkładany jest georadar, wsiada ekipa telewizyjna i kilka osób. Reszta dziarsko idzie pieszo. Na czele redaktor Sikorski ze mną i jeszcze ze dwie osoby. Konwersujemy, zapominając o bożym świecie. Po dobrej chwili spostrzegamy, że reszty grupy nie widać. Widocznie skręcili w inną przecinkę. Wracamy kilkaset metrów. Wtedy dostrzegamy drogowskaz, że źle skręciliśmy. To ludzie z GRH „Wir", którzy szli za nami, przykręcili tabliczkę do drzewa. Idąc z przodu nie mogliśmy jej widzieć, bo oznakowania po prostu nie było. Po chwili – ku ogólnej uciesze – dołączamy do głównej grupy. Jeszcze parę set metrów i docieramy na miejsce. Byłem tu trzy miesiące temu. Biały kamień z 1995 roku przypomina, że stał tu szpital leśny. Ekipa telewizyjna rozkłada sprzęt, ustalany jest plan wycinki samosiejek, które przeszkadzają georadarowi. W ruch idzie piła spalinowa. Tymczasem Antoni Cielica odciąga mnie kilkadziesiąt metrów na bok. Pokazuje na pień po sporych rozmiarów świerku, na której widział wyryty napis „Radwan".

Ekipa telewizyjna posiłkuje się tabletem, w którym ma zaledwie cztery zdjęcia ze szpitalem „665". Pochodzą z wydanego albumu Edwarda Buczka i są z tego samego ujęcia. Innych zdjęć szpitala nie mają. Robert Kmieć przejeżdża kilkakrotnie georadarem po leśnym terenie. Urządzenie pokazuje ciekawe wyniki, które interpretuje Robert. Rzeczywiście, leśny grunt, pozornie jednorodny, jest zagęszczony w kilku regularnych odstępach. Co trzy metry licząc od fotografowanej przez Buczka ściany fasadowej i patrząc w głąb

fot. J. Skowroński

Do Antoniego Cielicy należy ta część lasu, na której stał szpital „665". Pan Antoni pamięta świerk z wyrytym na niej pseudonimem komendanta szpitala.

baraku. Co oznacza, że był tu ciągły nacisk na grunt, najprawdopodobniej ścian nośnych i wewnętrznych. Albo udeptaną ziemię śladami chodzących po określonych przestrzeniach (może wokół baraku?). Ta regularność nacisku wyraźnie kończy się poza pewnym polem.

Czy po ilości okien: czterech z jednej strony i czterech (dwa plus dwa) z drugiej uda się ustalić rozmiary całego baraku? Przy założeniu, że na każdej z jego bocznych ścian były po cztery okna. Zaledwie fragment jednego z nich uchwycił w kadrze Edward Buczek. Zachowała się ważna relacja partyzanta „Karasia" (Bronisława Barczyńskiego) z oddziału „Woyny": „Szpital to jakiś kilometr od obozu był. Tam też mieli barak. Przez środek szedł wąski korytarz a po bokach sale dla rannych i chorych były". Słowo „też" ma znaczenie, bo obóz „Woyny" składał się z podobnych baraków [o czym w kolejnym odcinku – przyp. autora]. Tak jak i szpitalny, baraki zostały wzięte z tartaku przy stacji kolejowej w Długim Kącie. Tartak, w którym pracowała cała drużyna osłonowa szpitala, zarządzany przez Niemców, a wcześniej własność Ordynacji Zamoyskich, zajmował powierzchnię około 6 hektarów i produkował elementy, z których składano taki barak. Jaki? – to opisywał niemiecki katalog tzw. FOKORAD-u.

Duński patent

Już podczas I wojny światowej baraki wg duńskiego patentu Doeckera używała Reichswehra do zakwaterowania oddziałów wojskowych i na lazarety, które były przenoszone wraz z linią frontu. W nazistowskich Niemczech firma Christoph&Unmack w Niesky wsparła w 1933 roku założenie państwowego biura projektowego pod nazwą FOKORAD (**For**schungs-und **Ko**nstruktionsgemeinschaft der Reichsleitung des **R**eichs**ar**beits**d**ienstes und der Deutschen Holzbau-Konvention, Towarzystwa Badawczo-Projektowego przy Głównym Urzędzie Służb Pracy Rzeszy oraz Niemieckim Stowarzyszeniu Budownictwa Drewnianego). To na biurze FOKORAD-u spoczęło unormowanie produkcji baraków dla państwa niemieckiego. Początkowo baraki znalazły zastosowanie w obozach RAD-u (Reichsarbeitsdienstu, Służby Pracy Rzeszy). Do końca II wojny światowej wydawano katalogi wzorów i planów, według których setki zakładów budownictwa drewnianego produkowało baraki. A III Rzesza kwaterowała w nich żołnierzy, jeńców wojennych, przymusowych robotników, deportowanych Żydów i więźniów obozów koncentracyjnych. Na Zamojszczyźnie stawiano drewniane baraki w 1941 roku, tuż przed planowanym uderzeniem Niemiec na Związek Radziecki. Służyły m.in. jeńcom wojennym i wysiedlanej stąd ludności. Zanim przybyłem na terenowe badania szpitala „665", odszukałem w Niemczech właściwy katalog FOKORAD-u.

– Jaka była szerokość baraku, którą znasz z niemieckiego katalogu? – pytanie Andrzeja Sokala zaskakuje wszystkich. – Ponad osiem metrów – odpowiadam. – Dokładnie 8,14.

Ekipa telewizyjna robi duże oczy, więc wyjaśniam, że katalog wojennych baraków FOKORAD-u charakteryzował się pewną typizacją i modułową budową poszczególnych konstrukcji. Na większości z nich typowa szerokość to właśnie 8,14 m, zamykająca się czterema bądź ośmioma pionowymi ściennymi panelami. Tu ośmioma, co dokładnie potwierdzają wojenne zdjęcia Buczka.

Georadar wyznacza przypuszczalną oś baraku. W każdą ze stron odliczane są po cztery metry. Andrzej Sokal wbija w leśną ziemię drewniane paliki. Posłużą do wyznaczenia rozmiaru i położenia ściany fasadowej szpitala. Zostanie ona zrekonstruowana. Obok niej umieszczone będą tablice informacyjne, podobne do tych, jakie stoją już przy schronie „Wira". Poprzez leśne błota wracamy do schronu „Wira". Furmanką jedzie zapakowany georadar, któremu wystają koła, co nawet śmiesznie wygląda. Nikomu jednak nie jest do śmiechu, bo wszyscy czujemy, że oto w Puszczy Solskiej rozpoczął się kolejny etap przywracania partyzanckiej pamięci.

Robert Kmieć w akcji. Za chwilę czas na interpretację wskazań georadaru.

W następnym numerze – Partyzanckie obiekty Puszczy Solskiej (cz. 4). Obozy „Corda" i „Woyny".

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor kilku książek i licznych artykułów o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. W latach 1986-87 jego przełożonym był opisywany w tekście „Radwan" (Lucjan Kopeć).
Kontakt loginfo@go2.pl

Konstrukcja Bredy a transport

Przydatna byłaby tu szczegółowa wiedza z zakresu budowy działka i możliwości jego rozłożenia na części pierwsze. Pewnym tropem jest wzmiankowana informacja, mówiąca o możliwości demontażu i podziału części Bredy na 4 skrzynie transportowe, z których każda miała ciężar umożliwiający niesienie jej przez żołnierza. Najprawdopodobniej takiego sposobu przenoszenia działka w trudnodostępne wyższe partie gór używały elitarne włoskie oddziały górskie „Alpini" Mało prawdopodobne, lecz nie niemożliwe jest to, że działko wraz z podstawą i trójnogiem mogło zmieścić się w największym z możliwych kontenerów zrzutowych Typu C o długości 178 cm i maksymalnej ładowności 160 kg. Nawet jeśli, to mógł tego nie wytrzymać spadochron. Doczepiane do zasobników spadochrony Typu „R" o największej nośności pozwalały na zrzut ładunku do 226 kg przy prędkości samolotu 332 km/h. Hipotezą autora jest to, że elementy Bredy zrzucono w więcej niż jednym zasobniku bądź paczce. Konstrukcja trójnogu z pewnością umożliwiała jego szybki demontaż, można więc teoretycznie założyć, że wąsy zmieściły się razem z działkiem w jednym zasobniku. Natomiast masywna podstawa, przynajmniej orientacyjnie, mogła zmieścić się do zrzutowej paczki. Z braku źródeł ikonograficznych nie wiemy też, czy zrzutowe działko posiadało wszystkie elementy wersji podstawowej, takie jak ramię z celownikiem optycznym i siedzisko celowniczego. Brak wymienionych wyżej kół był poważnym utrudnieniem w użytkowaniu działka przez oddział partyzancki, który ze względu na rodzaj prowadzonych działań musiał być zawsze mobilny. Według zebranych przez Henryka Myślińskiego relacji, jakie przekazał mu celowniczy działka: „Przez pierwszych kilka dni wożono je w taborze konnym. Dla nauki obsługi (działoczynów) i próbnego strzelania kilku żołnierzy przenosiło je na stanowisko ogniowe na specjalnie przygotowanym nosidle. Dopiero

BREDA CZĘŚĆ 2 – NAJCIĘŻSZA BROŃ ZRZUCONA DLA AK

MICHAŁ CZACHAROWSKI

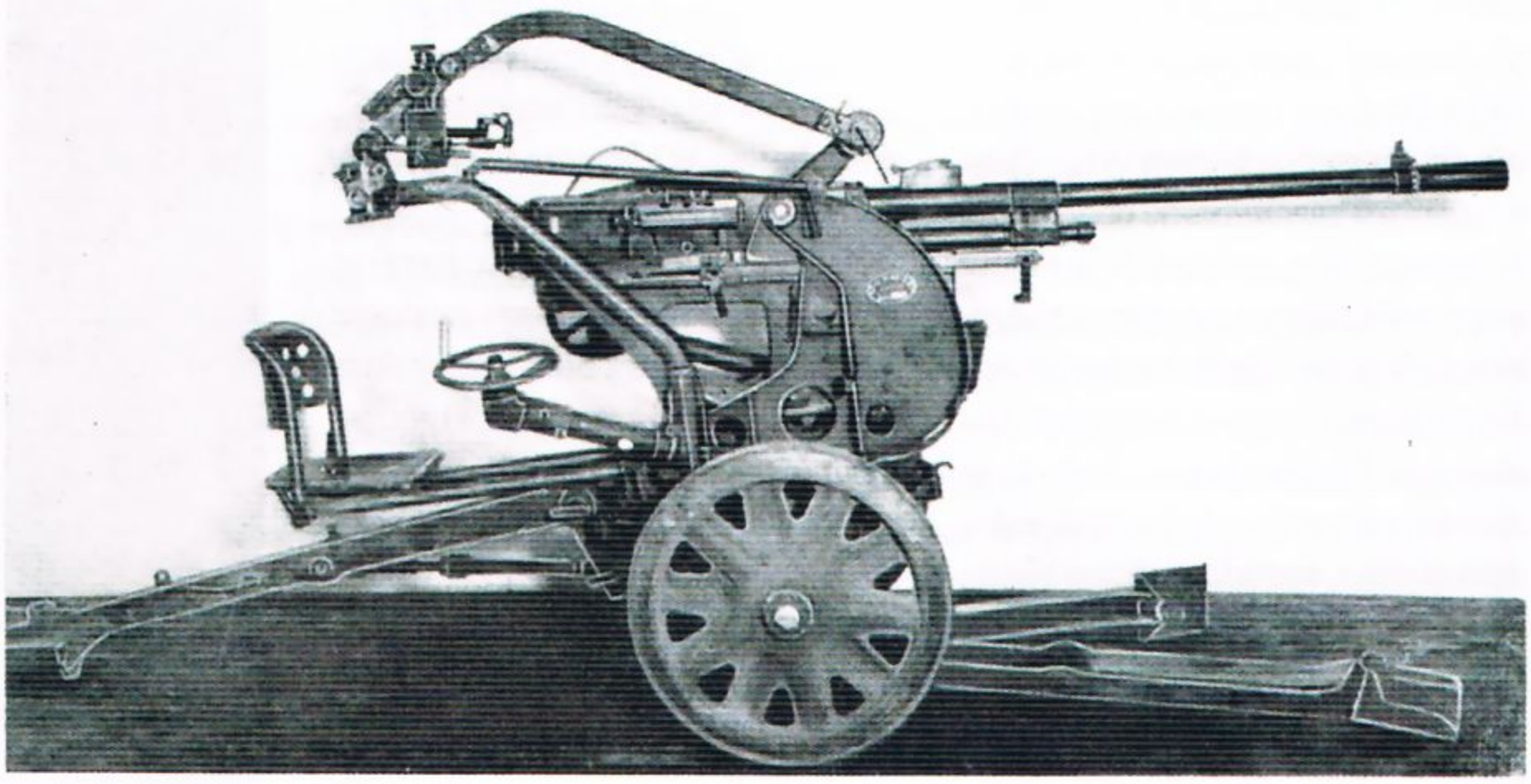

Część pierwszą zakończyliśmy pytaniem: jak sprzęt tego wagomiaru mógł zmieścić się w standardowych zasobnikach bądź paczkach zrzucanych dla AK (których gabaryty można było jedynie w niewielkim zakresie zmieniać)?

podczas jednego z dłuższych postojów we wsi u kowala, zrobił on podwozie do niego, wykonane na osi chłopskiego wozu z gumowymi kołami, z małą wózkową lawetą, na której zamocowano skrzynki na amunicję i siedzenie dla woźnicy". To prowizoryczne rozwiązanie było zapewne nie gorsze niż fabryczne. Szybkie poradzenie sobie z tą niedogodnością miało ważne znaczenie, ponieważ lada dzień rozpocząć się miała najważniejsza dla AK operacja – „Burza".

Wykorzystanie bojowe

Mimo że informacje potwierdzają fakt zrzutu tylko jednej Bredy, to jej użycie bojowe na szczęście jest udokumentowane parokrotnie. Po raz pierwszy działka tego użyto

www.odkrywca.pl

31 lipca 1944 r, a więc dziesięć dni po jego zrzucie na placówce „Goździk" i niecały tydzień po ostatnim odnotowanym użyciu Solothurnów na Roztoczu. Miało to miejsce ponad 100 km dalej na zachód (niemal w linii prostej) u podnóża Gór Świętokrzyskich. Tego dnia w liczącej kilka domów wiosce Bukowiany przytulonej do porośniętego buczyną wschodniego skraju pasma Jeleniowskiego stacjonował oddział por. Kazimierza Olchowika „Zawiszy". Oddział ten rozpoczął właśnie koncentrację w ramach pogotowia do akcji „Burza", powiększając swój stan o członków z placówek terenowych i ochotników. W ramach Planu Odtwarzania Sił Zbrojnych jednostka ta w czasie „Burzy" miał wejść w struktury formującego się 2 Pułku Piechoty Legionów AK jako jej 5 kompania 2 batalionu. Miejsce koncentracji, mimo bliskości lasu, nie było najbezpieczniejsze. Na głównych drogach na północ i południe od wioski panował wzmożony ruch. Ze wschodu na zachód cofały się rozbite jednostki Grupy Armii „Północna Ukraina", w tym przede wszystkim 4 Armia Pancernej. Natomiast na wschód poruszały się zdolne do walki oddziały, których celem była likwidacja przyczółku sandomierskiego. Jeden z takich oddziałów poruszających się drogą Kielce – Opatów, w miejscowości Gołoszyce skręcił w lewo, chcąc najwyraźniej skrócić sobie drogę i dotrzeć do równoległego traktu na zachód. Licząca kilkanaście samochodów, w tym kilka amfibii, kolumna przejechała przez lipową aleję prowadzącą przez pola, po czym wjechała w las i minęła cmentarz z I wojny światowej. Sądząc po składzie można wywnioskować, że była to część oddziału rozpoznawczego (Aufklärungs-Abteilung) jednej z dywizji. Był to chyba najgorszy moment przez cały okres okupacji na przejazd przez polski las bez wcześniejszego rozpoznania. Niemieckie pojazdy wjechały prosto na ubezpieczenie bądź w zasadzkę, która osłaniała koncentrację oddziału w Bukowianach. Na nieszczęście dla Niemców miała tam stanowisko również obsługa Bredy dowodzona przez celowniczego kpr. Edmunda Szabana „Szatana", która skutecznie wykorzystała atuty swej broni. W wyniku ognia działka zniszczone zostały 2 samochody pancerne. Nie uszło z życiem również 4 członków ich załóg, którzy pod celnym ogniem Bredy próbowali opuścić płonące pojazdy. Zdobyto również broń i jedną z amfibii. Według innej relacji na temat zrzutowego działka, raczej mocno przesadzonej, lecz wartej przytoczenia kpr. „Szatan": „użył go w Bukowianach koło Gołoszyc. Wystrzelone wówczas cztery pociski zmiotły z szosy cztery samochody niemieckie, wywołując popłoch i zamieszanie wśród Niemców".

Częściowo rozłożony trójnóg pozwalał na prowadzenie w miarę skutecznego ognia, przy jednoczesnej możliwości szybkiej zmiany stanowiska.

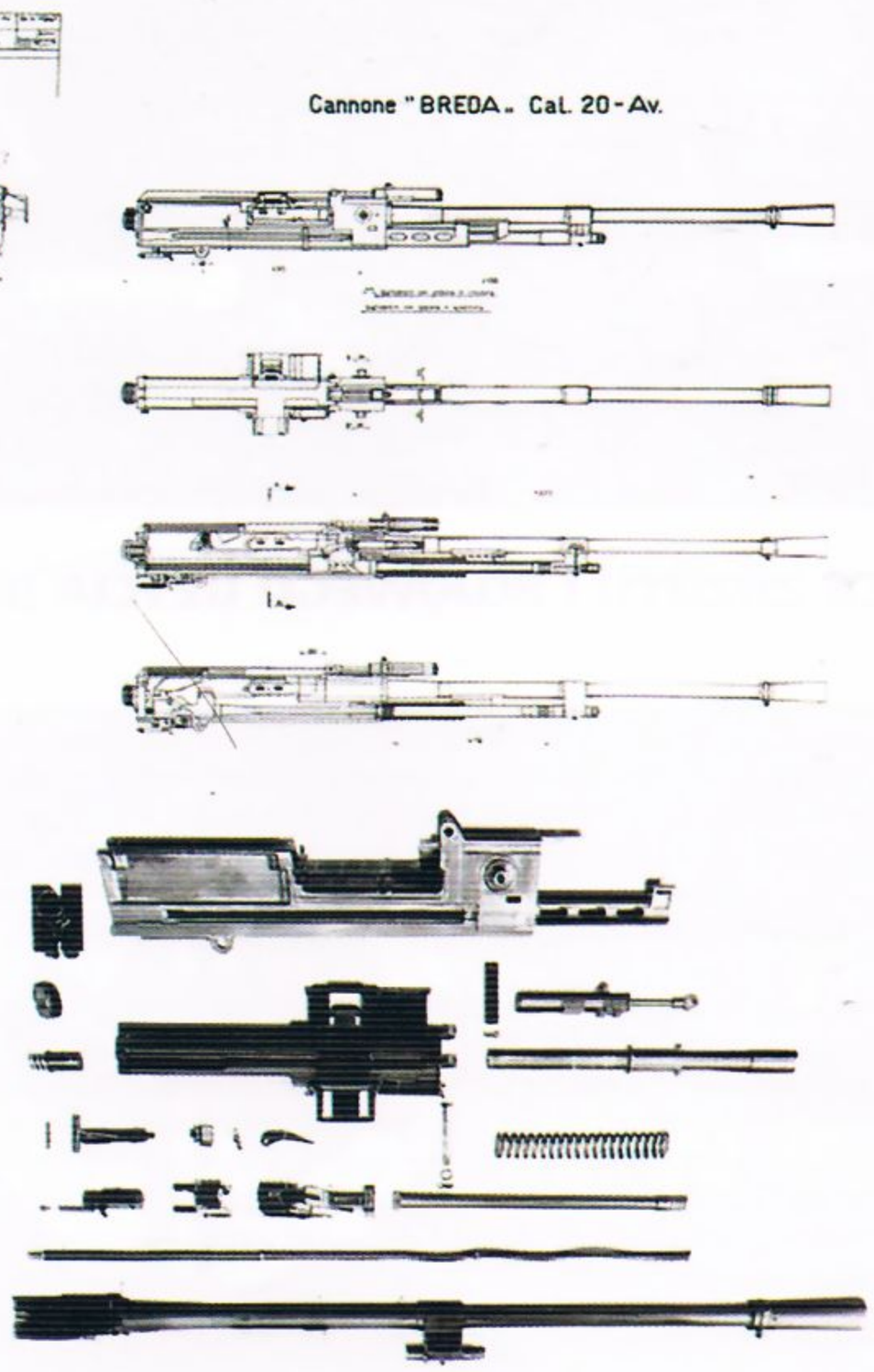

Niewielka masa oraz nieskomplikowana konstrukcja zamka oraz lufy były jednym z wielu atutów Bredy.

Kolejnym miejscem użycia Bredy był dwudniowy (2-3 września 1944 r.) zwycięski bój o miasto Radoszyce (obecnie gmina wiejska). Do miejscowości tej 3 września wjechał na 30 ciężarówkach i 2 samochodach pancernych silny niemiecki oddział ekspedycyjny złożony z ok. 800 żołnierzy. Celem Niemców była pacyfikacja miasteczka. Swe działania w Radoszycach rozpoczęli od podpalania budynków i spędzenia wszystkich mieszkańców na rynek. Eksterminacji ludności i dalszemu niszczeniu miejscowości przeszkodził atak 2 i 3 pp. Leg. AK. Jako pierwsi z okolic cmentarza zaatakowali żołnierze 5 kompanii por. Kazimierza Olchowika „Zawiszy", po czym kolejno wchodziły do akcji kolejne kompanie, dławiąc systematycznie niemiecki opór. Po wywalczeniu sobie drogi do rynku partyzanci zgromadzoną tam ludność skierowali w bezpieczne miejsce. Atakujących wspierały zrzutowe „maszyny do szycia" MG-42 oraz obsługa Bredy, której głównym celem było zabezpieczenie wylotu drogi na Końskie, skąd spodziewano się ewentualnej odsieczy wspartej czołgami.

Dalszy los Bredy jest nieznany. Faktem jest, że wspomniany zapas 48 czy nawet 200 szt. amunicji nie mógł wystarczyć na długotrwałe >>>

www.odkrywca.pl

PLACÓWKA ZRZUTOWA „GOŹDZIK", gdzie Breda została zrzucona

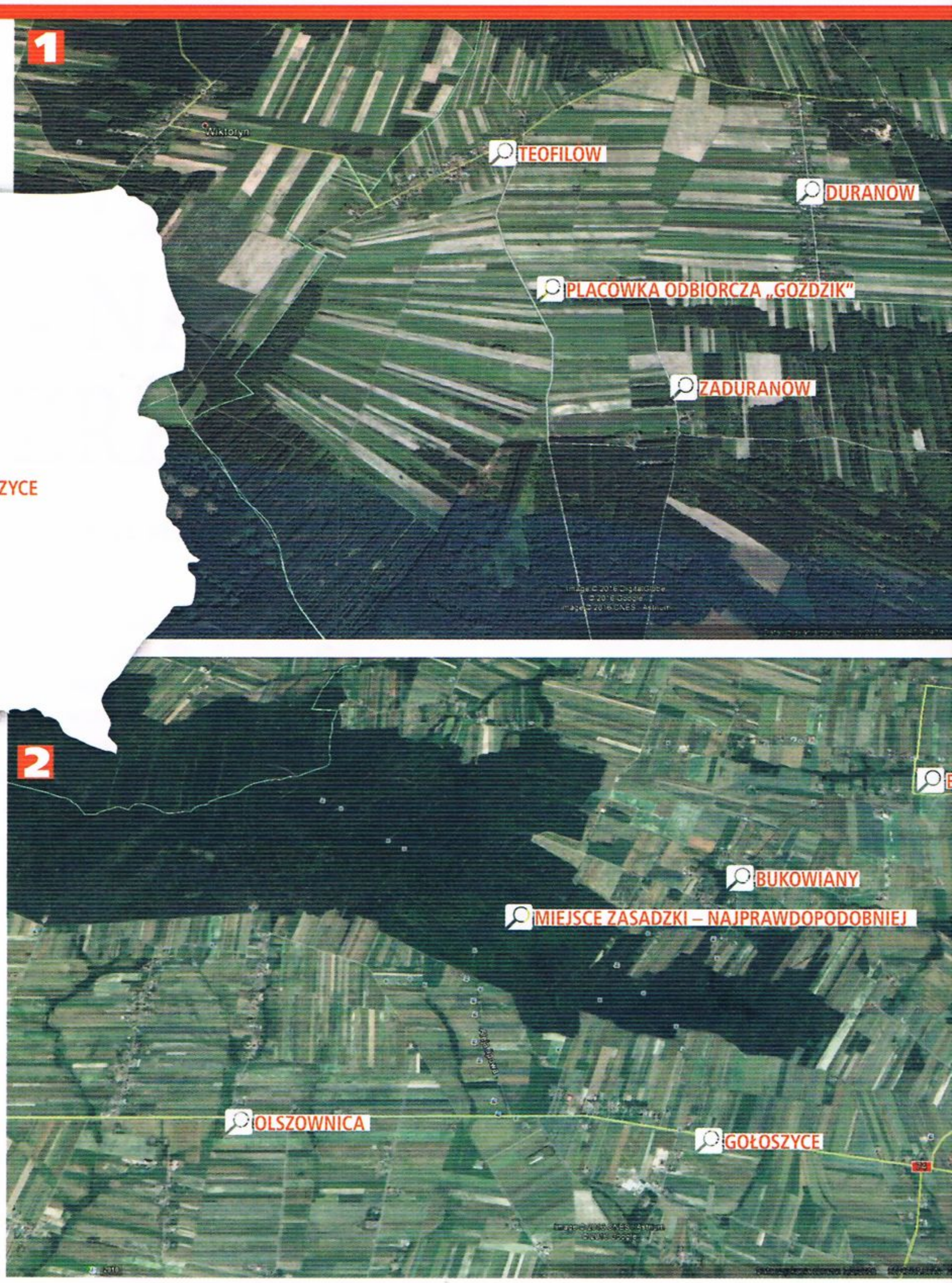

MIEJSCE ZRZUTU I BOJOWEGO UŻYCIA BREDY

1 Miejsce zrzutu Bredy – placówka „Goździk".

2 Niemieckie pojazdy wjechały prosto na ubezpieczenie bądź w zasadzkę, która osłaniała koncentrację oddziału W BUKOWIANACH. Na nieszczęście dla Niemców miała tam stanowisko również obsługa Bredy dowodzona przez celowniczego kpr. Edmunda Szabana „Szatana", która skutecznie wykorzystała atuty swej broni. W wyniku ognia działka zniszczone zostały 2 samochody pancerne. Nie uszło z życiem również 4 członków ich załóg, którzy pod celnym ogniem Bredy próbowali opuścić płonące pojazdy.

3 2-3 WRZEŚNIA, próba pacyfikacji RADOSZYC przez Niemców. Eksterminacji ludności i dalszemu niszczeniu miejscowości przeszkodził atak 2 i 3 pp. Leg. AK. Jako pierwsi z okolic cmentarza zaatakowali żołnierze 5 kompanii por. Kazimierza Olchowika „Zawiszy", po czym kolejno wchodziły do akcji kolejne kompanie Po wywalczeniu sobie drogi do rynku partyzanci zgromadzoną tam ludność skierowali w bezpieczne miejsce. Atakujących wspierały zrzutowe „maszyny do szycia" MG-42 oraz obsługa Bredy, której głównym celem było zabezpieczenie wylotu drogi na Końskie, skąd spodziewano się ewentualnej odsieczy wspartej czołgami. Dalszy los Bredy jest nieznany.

>>> wykorzystanie. Co nie zmienia faktu, że amunicja mogła znajdować się w kolejnych zrzutach lub zostać zdobyta na Niemcach, do czego okazji nie brakowało.

Tylko jedna Breda?

Zebrane w artykule informacje wskazują o zrzucie dla AK tylko jednej Bredy, co nie oznacza, że nie było ich więcej. Istnieje również pewna analogia dotycząca zaopatrzenia (przez SOE i OSS) w działka tego typu również partyzantów jugosłowiańskich. Wskazują na to przesłanki informujące o tym, że alianci po zajęciu południowych Włoch przejęli 210 szt. 20 mm Bred w celu dostarczania ich partyzantom Tity. Nie wiadomo jednak czy dotarły tam podobnie jak Breda z placówki „Goździk". Alianci bowiem zaopatrywali bałkańskich partyzantów zarówno drogą morską, jak i i lotniczą, za pośrednictwem lą-

www.odkrywca.pl

dujących samolotów czy w formie masowych zrzutów spadochronowych. Nie mamy za to żadnej informacji wskazującej na dostarczenie jakiejkolwiek innej formacji niż AK przeciwpancernych Solothurnów. Zachowała się również ciekawa informacja, która może wskazywać, że nie wszystkie odebrane zasobniki P-PANC-N zawierały Solothurny, lecz właśnie Bredy. Mianowicie w niemieckim raporcie końcowym z operacji „Sturmwind II" informowano o zdobyciu 7 dział i działek, które sklasyfikowano jak Flak i Pak i inne. Mimo że jest to tylko hipoteza, świadczyć to może o pewnym podziale partyzanckiej broni na przeciwpancerną: Piaty i Solothurny, jak i na przeciwlotniczą, którą mogły być Bredy. Sprawę komplikuje jednak fakt, że w okrążeniu znaleźli się również partyzanci radzieccy oraz oddziały AL, które również mogły po sobie zostawić „coś", co Niemcy określili jako Flak.

Dlaczego dostaliśmy Bredy?

Podsumowując zagadnienie zapomnianej broni przeciwpancernej AK, nasuwa się po raz kolejny pytanie, czym kierowano się w Londynie i Brindisi, zrzucając Solothurny i Bredę? Być może starano się wynagrodzić szczupłą ilość zrzutów bronią sprawdzoną skuteczną i uniwersalną. Obok znaczących atutów tej broni nie bez znaczenia była dostępność amunicji, która można było zdobyć na okupancie. O ile w przypadku Piatów można liczyć było jedynie na zrzuty, o tyle amunicja 20 mm używana przez Niemców była kompatybilna do obu działek. W planach powstania powszechnego, których koncepcje w większości zawarto w założeniach planu „Burza", broń ciężka piechoty taka jak Solothurny czy Bredy miała dwie funkcje do spełnienia. Po pierwsze miała służyć zarówno w obronie i w ataku oddziałom partyzanckim. Po drugie miała być użyta do zdobycia i obrony ważnych punktów strategicznych takich jak lotniska, węzły komunikacyjne i przede wszystkim przeprawy mostowe na największych rzekach, aż do dotarcia własnych sił głównych bądź sił „sojuszniczych". W przypadku Lubelszczyzny i Świętokrzyskiego były to przeprawy na Bugu, Sanie, Wiśle. Dla przypomnienia Bredę zrzucono właśnie kilkanaście km od Wisły.
Jak wiadomo AK otrzymała od aliantów szczątkową ilość uzbrojenia w porównaniu z innymi partyzantkami europejskimi. Uzależnione było to od planów strategicznych, w których terenem głównej ofensywy była Europa Zachodnia, a Polska tym samym znalazła się na peryferiach tych działań i to do tego w sowieckiej strefie wpływów. Z tego powodu ilość zrzutów lotniczych miał charakter symboliczny. W planach brytyjskich, zwłaszcza w koncepcji SOE, AK miała służyć jako partyzantka prowadząca działania typowo dywersyjne i sabotażowe, do czego ciężka broń nie był konieczna. Natomiast w polskich planach powstania broń ciężka była niezbędna. Wydaje się więc, że ilość i rodzaj zrzuconej broni ciężkiej takiej jak Solothurny i Bredy jest wynikiem pewnego kompromisu, do jakiego musiało dojść miedzy SOE a Oddziałem VI Sztabu Głównego Naczelnego Wodza w Londynie odpowiedzialnym za całość spraw związanych z lotniczym wsparciem Armii Krajowej.

W tym miejscu kończy się wiedza autora na temat zapomnianej zrzutowej broni przeciwpancernej. Temat w zasadzie jest dopiero otwarty, a sama Breda jest świetną zapowiedzią tego, co może nas jeszcze zaskoczyć. Niewątpliwie konieczna jest dalsza kwerenda w Archiwum Studium Polski Podziemnej w Londynie. Napawa też optymizmem duży obszar badawczy, jakim jest regionalna kombatancka literatura wspomnieniowa, z której na pewno można jeszcze coś „wyłuskać".

Ten czteroczęściowy artykuł absolutnie nie pretenduje do miana całościowego opracowania zagadnienia. Jest jedynie próbą uporządkowania i zebrania niezwykle rzadkich, częstokroć fragmentarycznych informacji z bardzo wielu źródeł. Może też dzięki temu artykułowi Solothurny i Breda znajdą swoje miejsce w świadomości historycznej obok zrzutowych Piatów czy Gamonów. <

Michał Czacharowski
Absolwent historii KUL, regionalista Puszczy Solskiej i Roztocza, turysta i biegacz.

REKLAMA

OFICEROWIE WRZEŚNIA

JOLANTA ADAMSKA

W książeczkach stanu służby oficerskiej i w legitymacjach osobistych M.S.Wojsk. znajdowały się czasami niezwykle ciekawe adnotacje z września 1939 r.

DOKUMENTY WOJSKOWE

Na wstępie chciałabym zaznaczyć, że niniejszy przegląd dokumentów, wziętych na wojnę przez oficerów Września, a dokonany na podstawie materiałów z ekshumacji w Katyniu w 1943 r., jedynie orientacyjnie oddaje stan ich posiadania w chwili wymarszu, zważywszy, jak wspomniałam poprzednio, kilkakrotne rewizje, jakie przechodzili. Dotyczy to także podawanych tu liczb. Druga konieczna uwaga, to mało precyzyjne nieraz określenia dokumentów na listach ekshumacyjnych oraz niewłaściwe ich rozpoznanie przez Niemców. Przykładowo książeczki i legitymacje wojskowe zapisywali – albo jako Soldbuch (książeczki żołdu), albo Offiziersausweis (legitymacje oficerskie) czy Res.--Offz.-Ausweis, bez sprecyzowania, o jakie chodzi. Również na listach PCK powtarzają się skrótowe określenia „książeczka oficerska" czy „książeczka wojskowa" – i na legitymacje osobiste Ministerstwa Spraw Wojskowych, i na książeczki stanu służby oficerskiej.

Właściwe rozpoznanie i opis dokumentów znajdujemy jedynie w protokołach z badań przeprowadzonych w latach 1943-44 przez Zespół dr. Robla. Niestety, dotyczy to zaledwie około 300 kopert katyńskich.

Generalnie rzecz biorąc, oficerowie polscy, idąc w 1939 r. na wojnę, zabrali ze sobą – rzecz jasna – najważniejsze dokumenty wojskowe i cywilne; prócz tego sporo ważnych, lecz w ówczesnych okolicznościach zupełnie nieprzydatnych, i mało istotne „papiery".

www.odkrywca.pl

– CO ZABRALI NA WOJNĘ?

CZĘŚĆ 2

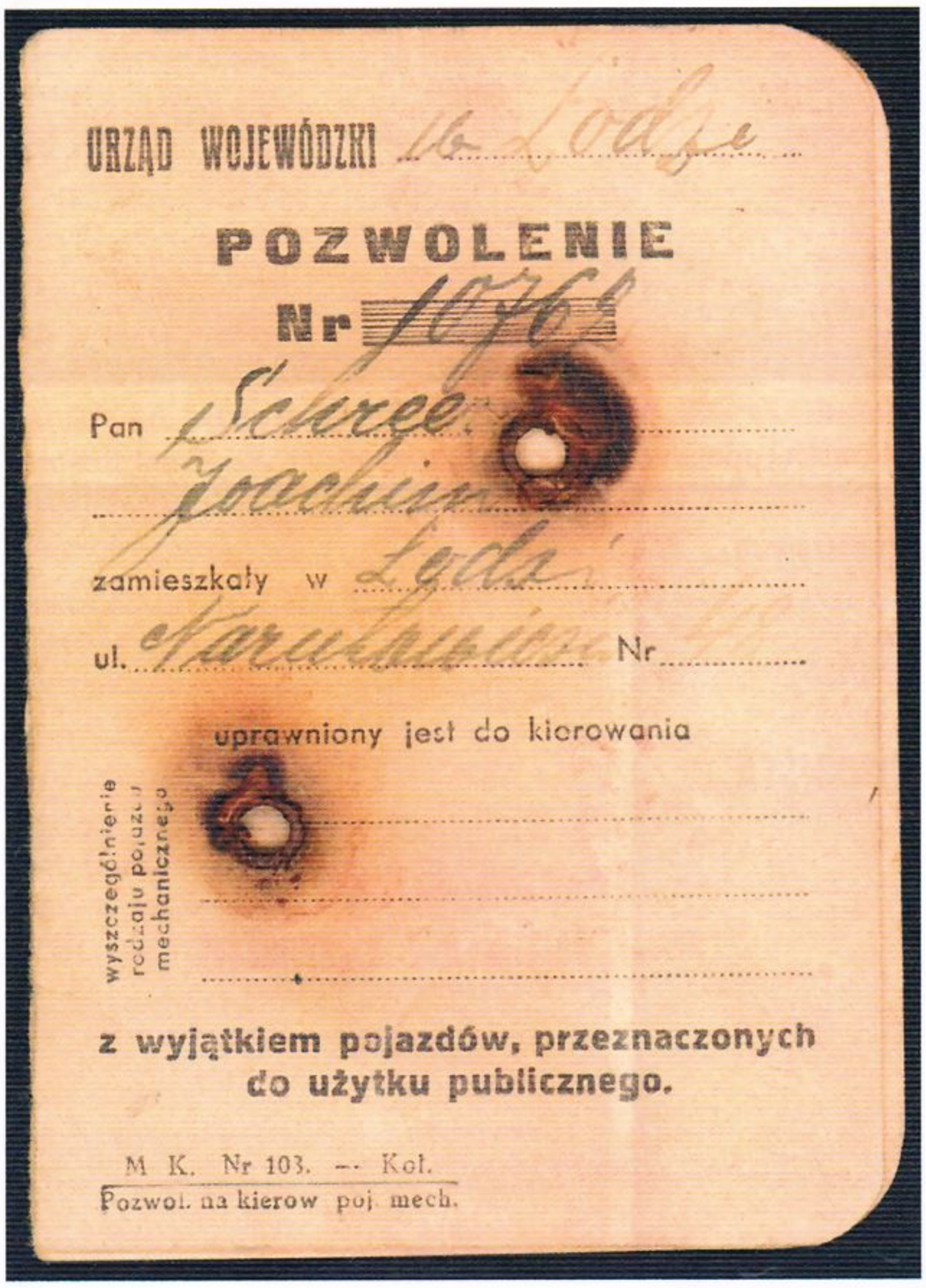
URZĄD WOJEWÓDZKI w Łodzi

POZWOLENIE

Nr 10962

Pan Schreer

Joachim

zamieszkały w Łodzi

ul. Narutowicza Nr

uprawniony jest do kierowania

wyszczególnienie rodzaju pojazdu mechanicznego

z wyjątkiem pojazdów, przeznaczonych do użytku publicznego.

M. K. Nr 103. — Kol.

Pozwol. na kierow. poj. mech.

Prawo jazdy ppor. Schreera, piłkarza Widzewa-Łódź.

Dokumenty podstawowe

Zacznijmy od tych zasadniczych, wymienionych m.in. w rozkazie o mobilizacji, tj. książeczce wojskowej, książeczce stanu służby oficerskiej i legitymacji osobistej M.S.Wojsk. [Skrót od Ministerstwa Spraw Wojskowych – przyp. red]. Oczywiście, wiemy to z pamiętników znalezionych w Katyniu oraz relacji jeńców ocalałych – to one w pierwszym rzędzie odbierane były podczas rewizji i przesłuchań. Być może jednak niektórzy zdołali je ukryć lub też zostały im potem zwrócone, gdyż przy 264 oficerach (przypomnijmy: ekshumowano ogółem zwłoki 4243 oficerów, z tego około 1500 żadnych dokumentów nie miało) znaleziono legitymacje osobiste M.S.Wojsk. (dla oficerów w służbie czynnej i oficerów rezerwy). Książeczki stanu służby oficerskiej miało z kolei 42 oficerów; przy nazwiskach 315 oficerów figurują na listach „książeczki oficerskie", przy 132 zaś – „książeczki wojskowe". Przy 52 oficerach zapisano ogólnie: legitymacje oficerskie lub wojskowe.

DOKUMENTY ZWIĄZANE Z MOBILIZACJĄ

Były to przede wszystkim karty mobilizacyjne, w czasie pokoju zdeponowane w starostwach i na posterunkach policji, a rozsyłane w momencie mobilizacji. Na ich drugiej stronie podany był rozkaz podróży (kiedy, gdzie i w jakiej formacji oficer ma się zameldować; w jaki sposób – pieszo, koleją – odbyć podróż i co ze sobą zabrać). Kartę mobilizacyjną należało przechowywać w specjalnej zakładce – z odpowiednim nadrukiem – książeczki stanu sł. ofic [służby oficerskiej – przyp. red.]. Karty mobilizacyjne znaleziono przy 81 ekshumowanych oficerach. 18 miało karty powołania (dostawali je ci, którzy nie otrzymali karty mobilizacyjnej), 80 zaś – karty lub zaświadczenia mobilizacyjne i przydziału wojennego, a 38 – rozkaz wyjazdu. Kilku oficerów posiadało zaświadczenia o powołaniu do służby wojskowej (przeważnie z końca sierpnia lub początku września 1939), kilku – o doręczeniu karty powołania i o zameldowaniu się (np. 31 sierpnia). Niektóre karty mobilizacyjne miały daty dużo wcześniejsze (np. jedna – 10 IV 1938, z przydziałem do Instytutu Technicznego Uzbrojenia), inne – z lipca, sierpnia, a nawet początków września 1939 r.

W książeczkach stanu służby oficerskiej i w legitymacjach osobistych M.S.Wojsk. odczytanych w l. 1943-44, znajdowały się czasami niezwykle ciekawe adnotacje z września 1939 r. Na przykład u ppor. rez. Stanisława Dorczyka: „Zgłosił się dnia 31.8.39 na podstawie mobilizacji" i „Oświadczam, że ppor. Dorczyk pozostawał aż do dnia wzięcia do niewoli 18 IX 1939 pod moimi rozkazami. Rutyński kpt." (kpt. rez. Bolesław Rutyński, dr praw, wzięty został do niewoli 18 września w Dubnie i zamordowany w Katyniu). Z kolei u ppor. rez. Hieronima Cichockiego, studenta chemii, był zapisek datowany 23 IX 1939 w Dubnie (z podpisem nieczytelnym), iż należał on do grupy oficerów rezerwy personalnej S.K.I przy Wodzu Naczelnym i pełnił powierzoną mu służbę do wzięcia go do niewoli 18 IX wraz z całą grupą oficerów przez wojska so- >>>

fot. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie

www.odkrywca.pl

>>> wieckie. Ppor. rez. Ludwik Redzimski, nauczyciel z Pelplina, miał zaś wpis: „Stwierdzam, że ppor. rez. L.R. podporządkował się rozkazowi N 4 pułk. Zieleniewskiego z dn. 1 X 1939 r. Nalepy, dn. 1 paźdz. 1939" (podpis nieczytelny). Jak wiadomo, po walkach z Niemcami 33 Dywizji Piechoty Rezerwowej, dowodzonej przez płk. dypl. Tadeusza Zieleniewskiego (w składzie Armii „Modlin"), utworzył on nieformalną grupę (zgrupowanie), usiłując z jej oddziałami dotrzeć do granicy węgierskiej. W sytuacji pełnego okrążenia przez wojska niemieckie i sowieckie, płk Zieleniewski poddał jednostkę sowieckiej 14 DKaw., wydając 1 X rozkaz nr 4 o kapitulacji.

INNE DOKUMENTY WOJSKOWE

Przydatne w warunkach wojennych mogły być też prawa jazdy, zarówno wojskowe (na prowadzenie wojskowych pojazdów mechanicznych), jak i cywilne. Miało je przy sobie 142 oficerów (pamiętajmy, że w 1939 r. w Polsce zarejestrowanych było jedynie około 32 tys. aut osobowych). 20 oficerów posiadało także dowody rejestracji własnych samochodów (fiaty, chevrolety, citroeny). Przy 104 znaleziono pozwolenia na broń (dla osób cywilnych lub oficerów zawodowych). Niektórzy oficerowie mieli przy sobie świadectwa i dyplomy ukończenia różnego rodzaju szkół: podchorążych (7), Szkoły Kadetów we Lwowie, Wyższej Szkoły Wojennej czy Szkoły Morskiej w Gdyni, a także rozmaitych kursów i ćwiczeń wojskowych (nawet z 1919 r.). Kilku – legitymacje instytucji i zakładów wojskowych (m.in. Wojskowego Instytutu Geograficznego, Zakładów „Pocisk"). Także kilku – odcinki rent lub książeczki inwalidzkie. Na listach ekshumacyjnych powtarzają się też ogólne zapisy o posiadaniu pism wojskowych, pism M.S.Wojsk., poza tym stałych i okresowych przepustek wojskowych. Kilku oficerów miało zaświadczenia ewakuacyjne lub rozkaz ewakuacji, ale ich treści nie znamy. Legitymacje Związku Oficerów Rezerwy posiadało 40 jeńców, Związku Oficerów w Stanie Spoczynku – 5.

DOKUMENTY CYWILNE

Oficerowie zabrali ze sobą również rozmaite dokumenty cywilne; znowu – te najważniejsze; te ważne, ale nie w tej

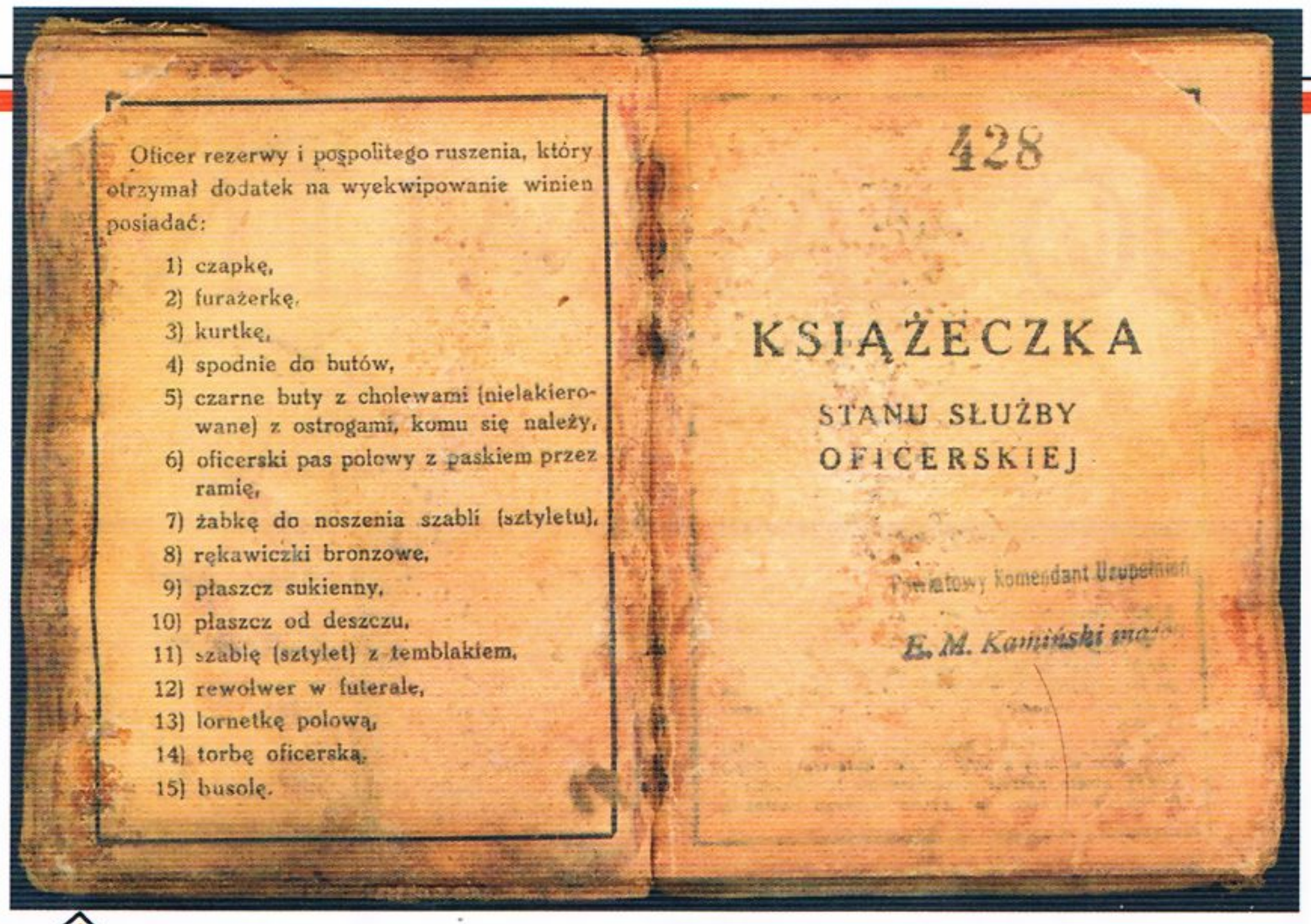

Oficer rezerwy i pospolitego ruszenia, który otrzymał dodatek na wyekwipowanie winien posiadać:

1) czapkę,
2) furażerkę,
3) kurtkę,
4) spodnie do butów,
5) czarne buty z cholewami (nielakierowane) z ostrogami, komu się należy,
6) oficerski pas polowy z paskiem przez ramię,
7) żabkę do noszenia szabli (sztyletu),
8) rękawiczki bronzowe,
9) płaszcz sukienny,
10) płaszcz od deszczu,
11) szablę (sztylet) z temblakiem,
12) rewolwer w futerale,
13) lornetkę polową,
14) torbę oficerską,
15) busolę.

428

KSIĄŻECZKA
STANU SŁUŻBY
OFICERSKIEJ

Powiatowy Komendant Uzupełnień
E. M. Kamiński mp.

Książeczka stanu służby oficerskiej ppor. rez. Józefa Drużbackiego.

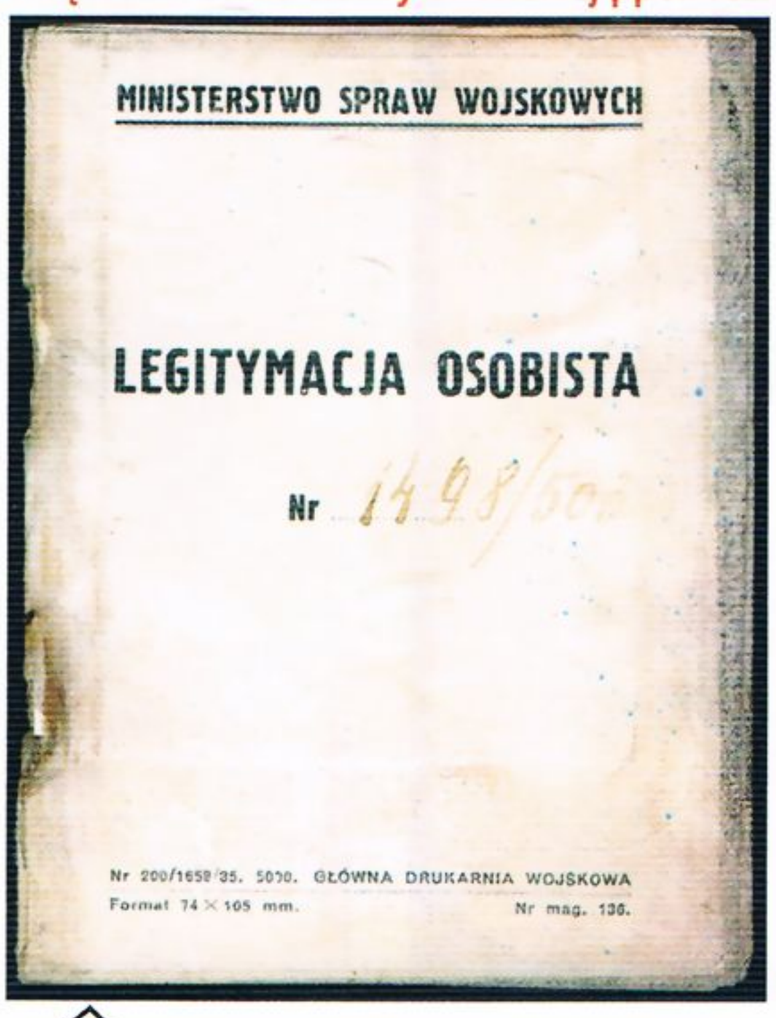

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH

LEGITYMACJA OSOBISTA

Nr 1498/50

Nr 200/1658/35. 5000. GŁÓWNA DRUKARNIA WOJSKOWA
Format 74 × 105 mm. Nr mag. 136.

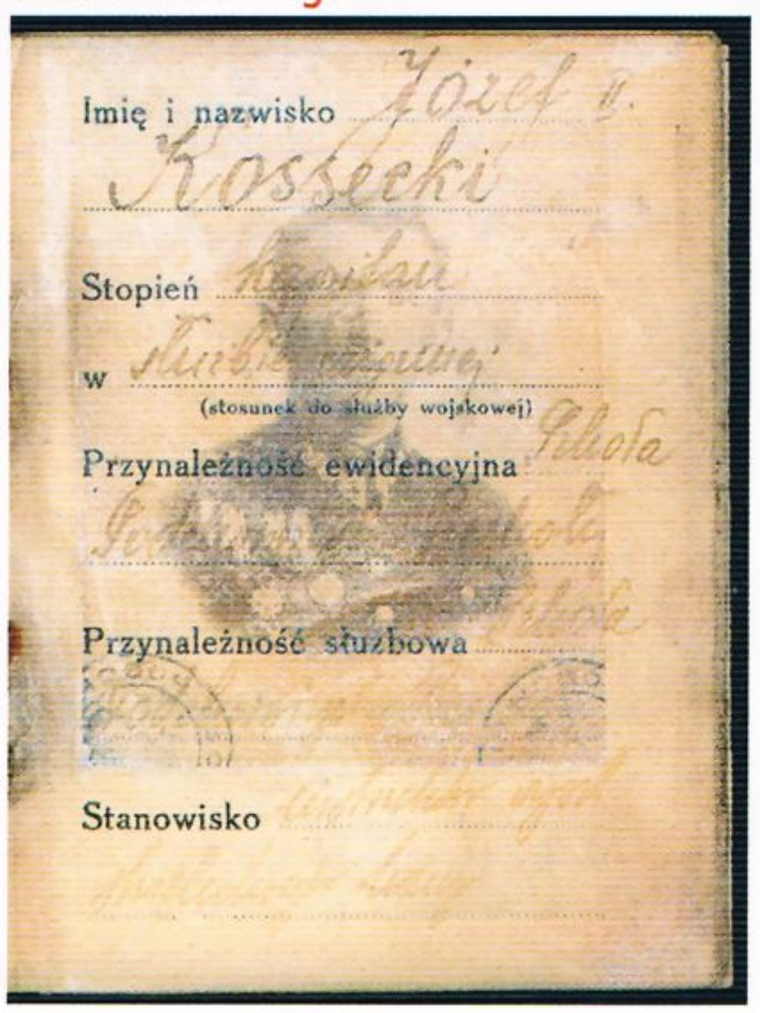

Imię i nazwisko Józef K. Kossecki

Stopień kapitan

w Służbie czynnej
(stosunek do służby wojskowej)

Przynależność ewidencyjna Piłsudskiego

Przynależność służbowa

Stanowisko

Legitymacja osobista M.S.Wojsk. kpt. piech. Józefa Kosseckiego.

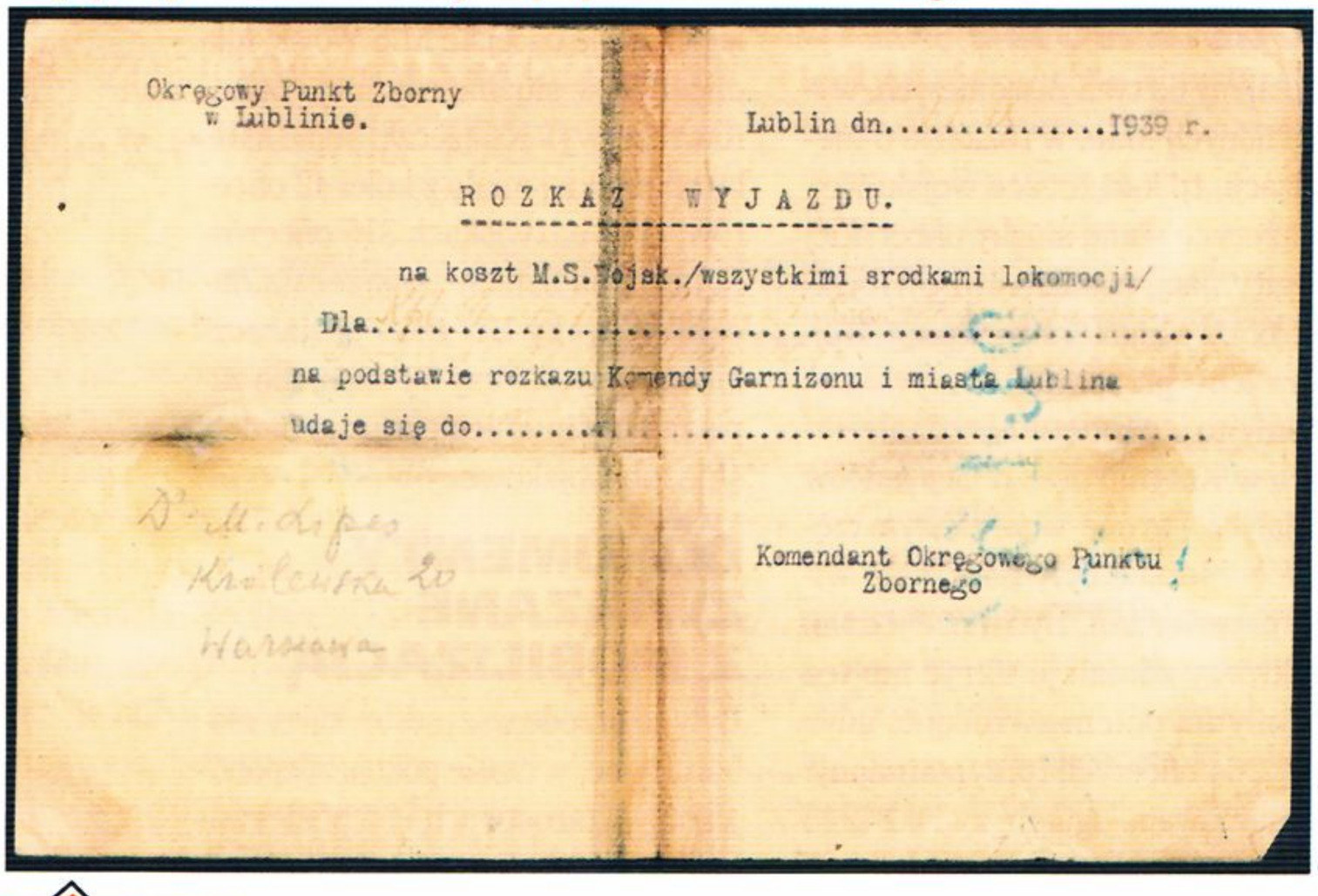

Okręgowy Punkt Zborny
w Lublinie.

Lublin dn.....1939 r.

ROZKAZ WYJAZDU.

na koszt M.S.Wojsk./wszystkimi środkami lokomocji/

Dla.....

na podstawie rozkazu Komendy Garnizonu i miasta Lublina

udaje się do.....

D-ca Okręgu
Królewska 20
Warszawa

Komendant Okręgowego Punktu
Zbornego

Rozkaz wyjazdu dla kpt. rez. Stefana Sienickiego (zginął w Katyniu), kpt. Kosseckiego i ppor. rez. Wincentego Ogrodzińskiego.

fot. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie

sytuacji; i te mało istotne. Także i one były odbierane podczas rewizji (m.in. ocalały z Kozielska ppor. Leon Grzywna podał, że w obozie „odebrano większości jeńców wszelkie dokumenty osobiste").

Dokumenty cywilne to przede wszystkim dowody osobiste – znaleziono je przy 353 oficerach (u jednego – także żony!), i legitymacje służbowe rozmaitych urzędów (w tym – dla urzędników państwowych, m.in. nauczycieli), instytucji (np. Dyrekcji Okręgowych PKP) i zakładów (m.in. Państwowych Zakładów Tele-Radio w Warszawie), dziennikarskie itp. Miało je 396 oficerów. Mjr rez. Jan Ślaski zabrał swoją legitymację senatora. Znowu jednak trzeba zaznaczyć, że – porównując zapisy na listach ekshumacyjnych z protokółami badań Zespołu dr. Robla – można stwierdzić, iż Niemcy stosowali niekiedy określenie „Personalausweis" także na legitymacje osobiste M.S.Wojsk. Paszporty miało tylko 22 oficerów; zapewne także były odbierane.

Pozostałe, wzięte przez oficerów dokumenty, mogą już budzić niejakie zdziwienie (pamiętajmy, że podawane tu liczby są stanem minimalnym!). A więc – u 63 oficerów znaleziono świadectwa (metryki) ślubu (większość – zawartego w lipcu lub sierpniu 1939), a u 41 – metryki urodzenia; 6 miało także metryki żony, a 9 – dzieci, 8 zaś – świadectwa chrztu.

38 oficerów posiadało dyplomy mgr. i dr. wyższych uczelni polskich oraz zagranicznych (głównie lekarza, inżyniera, architekta, praw, ale i z Państwowego Konserwatorium Muzycznego w Warszawie), kilku – dyplomy nauczyciela. Jeden z oficerów miał dyplom mgr. filozofii z 1935 r. i 5 jego odpisów! Przy innym znaleziono indeks, przy 10 – legitymacje studenckie (jedną z 1925 r.), przy 6 – świadectwa maturalne, przy 23 – legitymacje szkolne, przy 7 – świadectwa szkolne (jedno z 1923/24 r.). 8 oficerów miało poświadczenia obywatelstwa, 33 – potwierdzenia i wyciągi meldunkowe. Stosunkowo wielu,

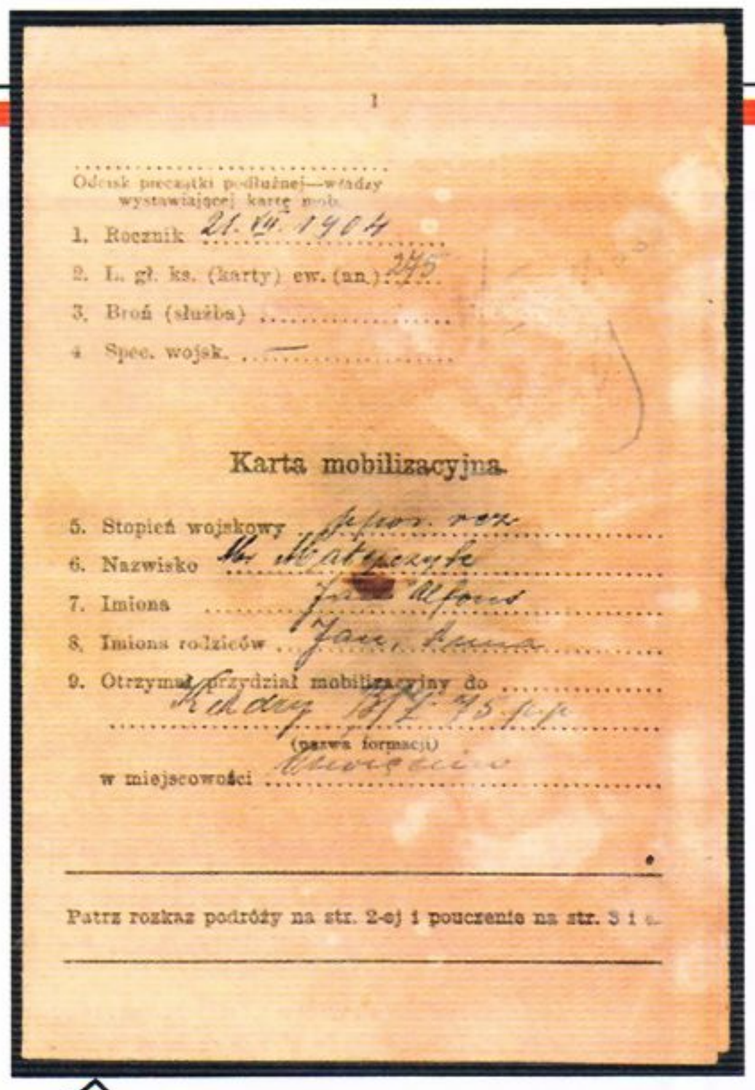

Karta mobilizacyjna ppor. rez. sędziego Jana Matejczyka.

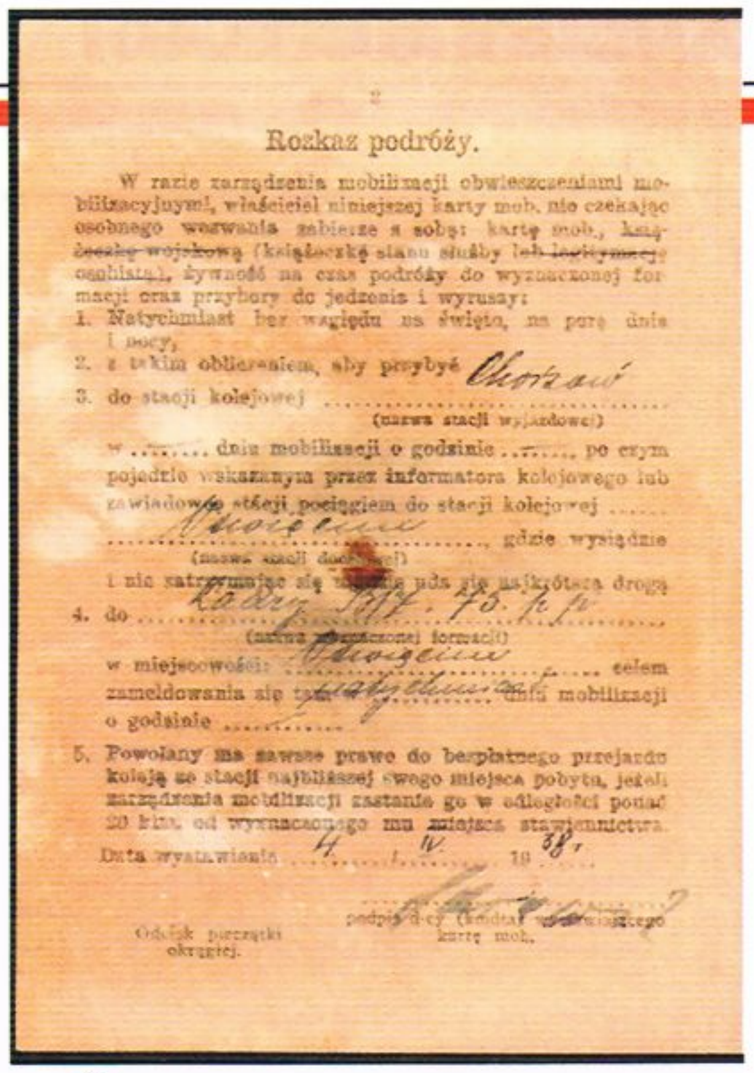

Rozkaz podróży z 4 IV 1938 r. dla ppor. Matejczyka.

Legitymacja służbowa ppor. rez. nauczyciela Edmunda Mutke.

bo 97 wzięło legitymacje członkowskie rozmaitych organizacji, związków i stowarzyszeń – zawodowych, społecznych, sportowych, klubowych (np. Ligi Morskiej i Kolonialnej, PCK, Rady Adwokackiej, Polskiego Związku Zachodniego, Związku Nauczycieli Polskich, Związku Lekarzy, Stowarzyszenia Inżynierów i Mechaników Polskich, ZHP, Automobilklubu Polskiego, Polskiego Związku Jeździeckiego, Polskiego Związku Wędkarskiego, Polskiego Związku Narciarskiego, kół studenckich, itd.). Legitymację Polskiego Związku Piłki Nożnej miał przy sobie ppor. Marian Spojda, gracz reprezentacji Polski. Sporo też znaleziono dokumentów oraz pism służbowych i urzędowych. Były to m.in. umowy o pracę, świadectwa pracy, nominacje i zaświadczenia służbowe, uprawnienia do wykonywania zawodu, czy np. pisma Urzędu Skarbowego.

Wśród innych, zupełnie już przypadkowych „papierków", wymienię: karty przychodni lekarskich, wyniki badań i analiz lekarskich, recepty, >>>

www.odkrywca.pl

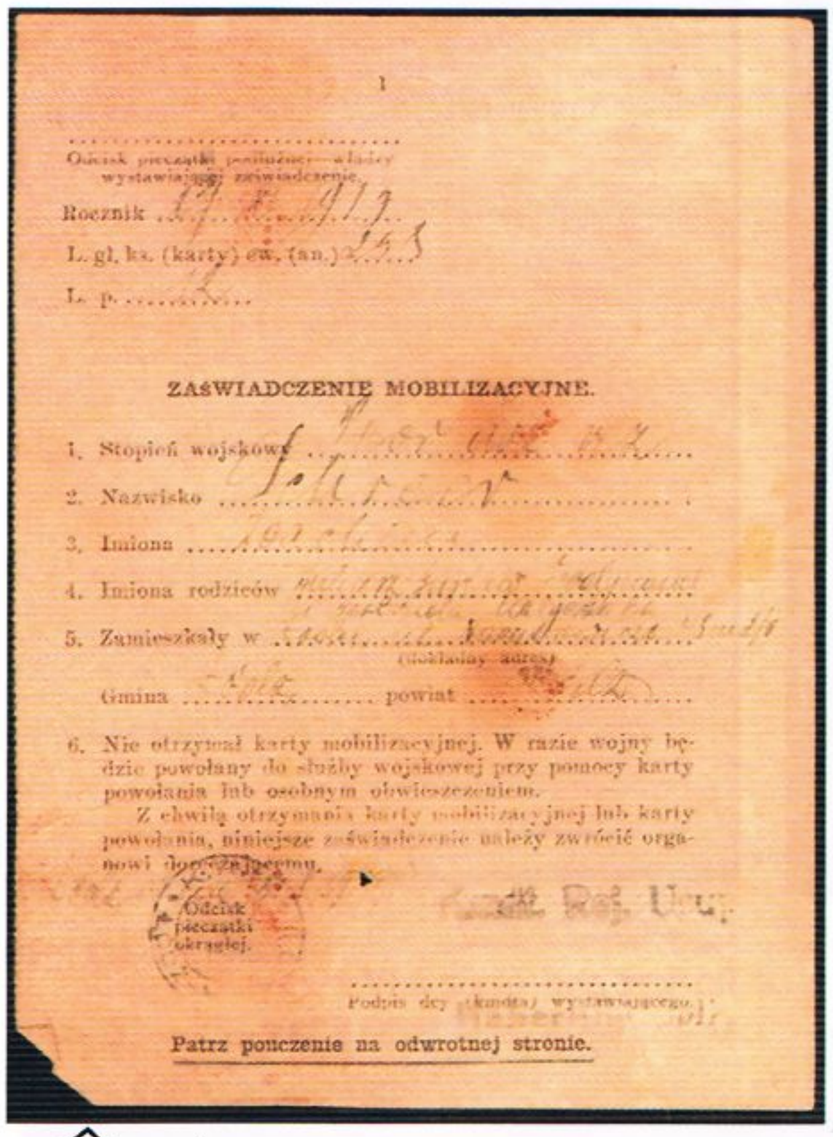

1

.....
Odcisk pieczątki pośredniczej władzy wystawiającej zaświadczenie.

Rocznik .....
L. gł. ks. (karty) ew. (an.) .....
L. p. .....

ZAŚWIADCZENIE MOBILIZACYJNE.

1. Stopień wojskowy .....
2. Nazwisko .....
3. Imiona .....
4. Imiona rodziców .....
5. Zamieszkały w .....
(dokładny adres)
Gmina ..... powiat .....
6. Nie otrzymał karty mobilizacyjnej. W razie wojny będzie powołany do służby wojskowej przy pomocy karty powołania lub osobnym obwieszczeniem.
Z chwilą otrzymania karty mobilizacyjnej lub karty powołania, niniejsze zaświadczenie należy zwrócić organowi doręczającemu.

Odcisk pieczątki okrągłej.

.....
Podpis dcy (kmdta) wystawiającego.

Patrz poniżej na odwrotnej stronie.

Zaświadczenie mobilizacyjne ppor. Joachima Schreera.

Górnośląska Komisja Odznaczeń

P. MATEJCZYK JAN

UPOWAŻNIONY JEST DO NOSZENIA „KRZYŻA NA ŚLĄSKIEJ WSTĘDZE WALECZNOŚCI I ZASŁUGI“ KL II. NADANEGO MU PRZEZ GÓRNOŚLĄSKĄ KOMISJĘ ODZNACZEŃ A ZATWIERDZONEGO PRZEZ MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH PISMEM Z DNIA 10. I. 1927 R. L. DZ. 6304 GM.

SEKRETARZ PRZEWODNICZĄCY

Legitymacja na Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi ppor. Jana Matejczyka.

>>> okresowe i stałe bilety kolejowe i tramwajowe, pojedyncze bilety do teatru lub kina, karty pływackie, wędkarskie lub łowieckie. Jeden z oficerów miał bilet wstępu do kasyna w Monte Carlo, jeden – rachunek z hotelu w Paryżu, inny – kwit na złożenie walizki w słynnym hotelu George we Lwowie; były i kwity lombardowe (pojedyncze!).

Przyglądając się temu „stanowi posiadania" wrześniowych oficerów, nasuwa się przede wszystkim myśl o pośpiechu wyruszania na wojnę. Według instrukcji (w książeczce stanu sł. ofic.), powołanie do służby w terminie „natychmiast" oznaczało dla oficera okres najwyżej dwóch godzin na załatwienie spraw osobistych. Mobilizacja, aczkolwiek latem 1939 r. wielu już jej zapewne się spodziewało, zastała ich „w środku" codziennego życia i codziennych spraw. Druga przyczyna – chodzi tu głównie o różnorodność papierów – leży być może w dużej pojemności męskich portfeli, no i, – raczej rzadkim ich porządkowaniu. Wymienię – przykładowo – co z dokumentów miał przy sobie ppor. rez. farm. Wojciech Skarżyński (ur. 1913): książeczka stanu sł. ofic., dowód osobisty, pozwolenie na broń (1933 r.), pozwolenie na broń dla wojskowych (30 VIII 1939), prawo jazdy, odpis metryki urodzenia (wyd. 20 VIII 1931), odpis metryki urodzenia żony (z 28 VI 1939 – ur. w 1919 r.), przydział do szpitala wojennego nr 504 z 13 IX 1939.

Legitymacja na odznakę Armii gen. Hallera kpt. rez. inż. Stefana Horaka.

ORDERY, MEDALE, ODZNACZENIA

Muszę powiedzieć, że zaskoczona byłam – może niesłusznie – faktem znalezienia u wielu oficerów w Katyniu rozmaitych medali i odznaczeń, przede wszystkim – wojskowych (od razu zastrzegam tu moją dość słabą wiedzę w dziedzinie falerystyki; nie zawsze też były

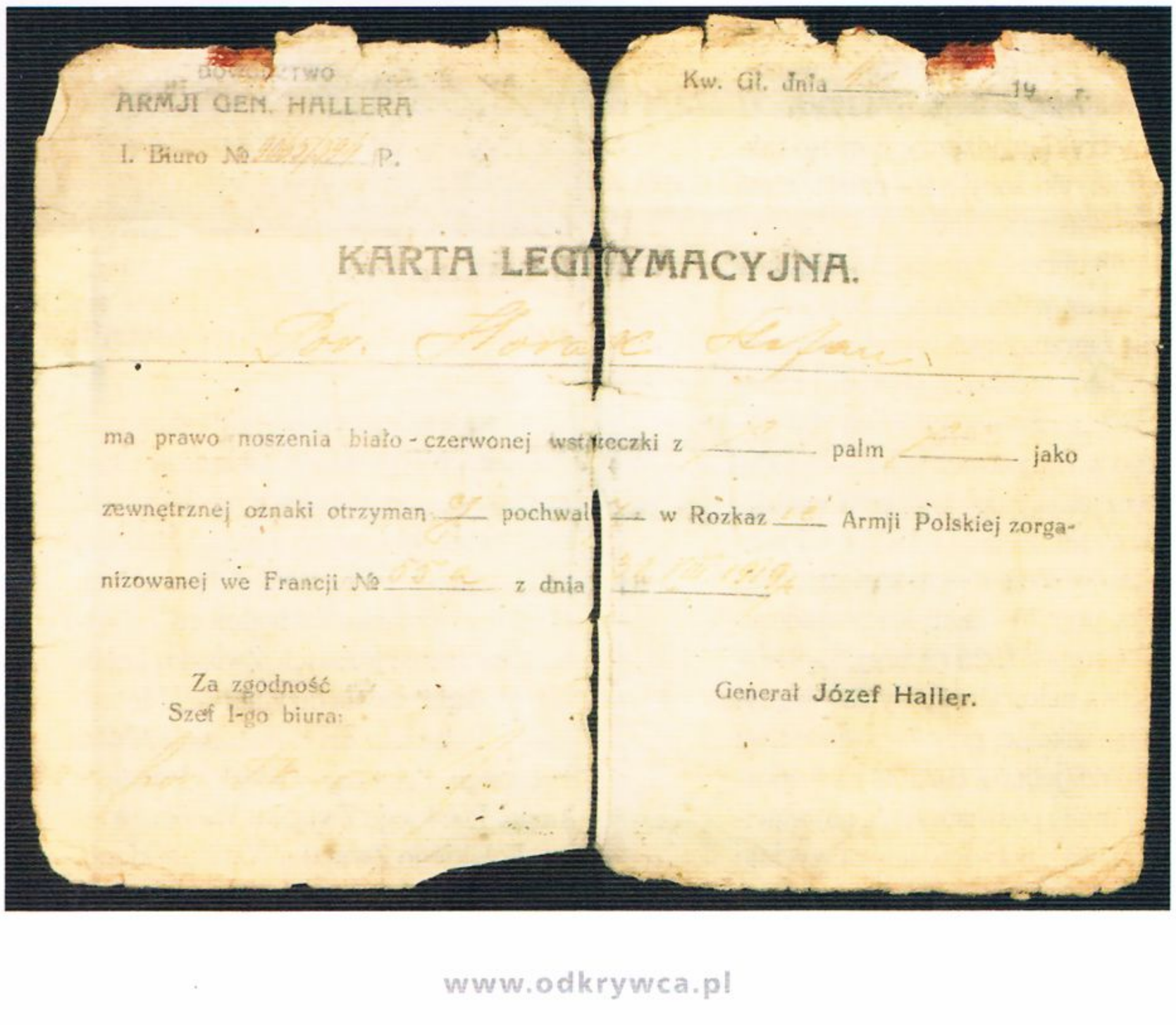

DOWÓDZTWO
ARMJI GEN. HALLERA
I. Biuro № P.

Kw. Gł. dnia 19

KARTA LEGITYMACYJNA.

Ks. Horak Stefan

ma prawo noszenia biało-czerwonej wstążeczki z palm jako zewnętrznej oznaki otrzyman pochwał w Rozkaz Armji Polskiej zorganizowanej we Francji № z dnia

Za zgodność
Szef I-go biura:

Generał Józef Haller.

fot. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie

www.odkrywca.pl

one dokładnie i właściwie określone na listach). Co prawda, odznaki (np. pułkowe) przypinane były do lewej kieszeni kurtki mundurowej, oficerowie mogli więc je zabierać niejako automatycznie.

Zacznijmy od Krzyża Orderu Virtuti Militari. Krzyże z legitymacjami znaleziono przy 16 oficerach, same legitymacje – przy 20, same krzyże – przy 11. Dodatkowo trzy z nich trafiły do Polski w 2002 r., kiedy to, jak napisałam wcześniej, uzyskano szereg przedmiotów należących do oficerów katyńskich, zakopanych po egzekucjach jako nieprzydatne. Wśród nich było m.in. wiele medali i odznak. Order Odrodzenia Polski „Polonia Restituta" miało 2 oficerów. Krzyż Walecznych – 27 oficerów, legitymacje KW – 14. Dalej Krzyż i Medal Niepodległości: wzięło je 23 oficerów, znaleziono też 29 legitymacji. Z innych wymieńmy: Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości (27), srebrne (za XX lat) i brązowe (za X lat) medale za Długoletnią Służbę nadawane przez M.S.Wojsk., w tym jeden z dyplomem (razem 15), Krzyż Legionów (4), poza tym złote, srebrne i brązowe Krzyże Zasługi (16, 4 z legitymacjami), 2 medale Polska Swemu Obrońcy, ponadto legitymację Krzyża na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi. Kilku oficerów miało Krzyż Kaniowski (odznaczenie II Korpusu Polskiego) i Krzyż Harcerski. Kilku też – Medale Pamiątkowe za Wojnę 1918-1921, Medale Pamiątkowe „Poległym Cześć", Medale za Ratowanie Ginących. Na listach odnotowano też m.in. Medal Pamiątkowy X Rocznicy Walk o Wyzwolenie Republiki Łotewskiej, francuski medal za wojnę 1914-1918 (3), medal Franciszka Józefa czy pamiątkowy niemiecki 1870-1871. Znaleziono też odznaczenie „Styr-Horyń-Słucz 1919" i odznaczenia oddziałów Wojsk Wielkopolskich za powstanie wielkopolskie.

Niektórzy oficerowie wzięli ze sobą kilka wysokich odznaczeń i także odznaki. Np. ppłk w st. sp. Andrzej Hałaciński, prawnik, współautor Marszu I Brygady: krzyż srebrny i legitymację VM oraz Order Odrodzenia Polski (Polonia Restituta). Ppłk Hałaciński był też 4-krotnie odznaczany Krzyżem Walecznych, a także Medalem Niepodległości (być może nie trzymał ich przy sobie, lecz oddzielnie, w bagażu). Na marginesie dodam, że ocalały jeniec Kozielska, por. mar. woj. Julian Ginsbert, zeznając w 1943 r. jako świadek przed polskim sądem polowym, powiedział m.in., że spore wzburzenie wśród jeńców wywołało ogłoszenie władz obozowych (chodziło o jego formę, bo kary takie stosowane były niejednokrotnie), o treści: „Były podpułkownik byłej polskiej armii Hałaciński za działalność patriotyczną [w obozie – przyp. autora] na korzyść byłej Polski – [skazany na – przyp. autora] 10 dni aresztu".

Z kolei por. rez. Mieczysław Birnbaum, literat i dziennikarz (m.in. pierwszy polski tłumacz opowiadań Babla) miał przy sobie legitymację i Krzyż VM, Krzyż Walecznych i Złoty Krzyż Zasługi. Tu sięgnę do relacji innego b. jeńca Kozielska, kmdr. por. Stanisława Dzienisiewicza, w której przytoczył słowa por. Birnbauma wygłoszone podczas odczytu w obozie: „Nie martwmy się koledzy, że oddzielono nas od Ojczyzny drutami, na których jeszcze nie wiadomo, kto będzie wisiał". No cóż... Ppor. rez. Witold Stróżewski zabrał na wojnę Krzyż Niepodległości, Srebrny Krzyż Legionów, Srebrny Krzyż Zasługi i odznakę POW.

Na listach ekshumacyjnych znajdujemy również ogólne określenie „odznaczenie wojenne", a także pojedyncze odznaczenia za obronę Śląska 1919, oraz inne.

ODZNAKI

Znaleziono ich przy oficerach podczas ekshumacji w 1943 r. bardzo wiele i to najrozmaitszych rodzajów (około 50 określono tylko ogólnie, jako „odznaka wojskowa"). Były to więc odznaki pamiątkowe pułków wszystkich rodzajów wojsk, szkół (a nawet kursów), instytucji i organizacji wojskowych, jednostek KOP-u, żandarmerii, Straży Granicznej. Wielu oficerów posiadało też przy sobie legitymacje na ich noszenie, lub też same legitymacje (zapewne odznaki znajdowały się w kuferkach czy walizkach; część ich trafiła do Polski w 2002 r.). Niektórzy oficerowie mieli przy sobie po 2, 3, czy nawet więcej odznak różnego rodzaju lub też legitymacji. Nie sposób jest wymienić wszyst- >>>

Dyplom na odznakę 1. p. uł. krechowieckich mjr. sł. st. Józefa Sokołowskiego.

www.odkrywca.pl

>>> kie, omówię więc je ogólnie i w sposób skrótowy.

SZKOŁY WOJSKOWE, JEDNOSTKI WOJSKOWE

Najwięcej – kilkadziesiąt – było odznak szkół podchorążych; rezerwy i zawodowych. Dalej – Oficerskiej Szkoły Wojsk Łączności, Oficerskiej Szkoły Topografów, Szkoły Oficerskiej w Bydgoszczy, Szkoły Morskiej, Korpusu Kadetów, ponadto Centrów Wyszkolenia – Piechoty, Kawalerii, Broni Pancernej, Sanitarnego.

Odznaki pułkowe „reprezentowały" 51 pułków wszystkich rodzajów wojsk; były też odznaki brygad i dywizji (m.in. 5 Dywizji Syberyjskiej), a nawet kilku batalionów. Dalej – 1. i 2. Brygady Legionów „Za wierną służbę" oraz pułków legionów. Pojedynczy oficerowie mieli też przy sobie odznaki Korpusu Dowbora, Litewsko-Białoruskiego Korpusu, Armii Ochotniczej gen. Hallera, „Wojsko Polskie w Rosji Centralnej 1917-1919", a także otrzymane za udział w walkach – Odznaka za Rany i Kontuzje, odznaka Krzyża Obrony Lwowa, odznaka honorowa Obrońcom Kresów Wschodnich „Orlęta" (4), odznaka pamiątkowa V Odcinka Obrony Lwowa, Odznaka „Wilno IV 1919".

Ponadto: odznaki wojsk łączności, artylerii, lotnicze, obserwatora polowego, pilota obserwatora, Straży Granicznej, KOP, żandarmerii („Za wierną służbę"). Znaleziono też odznakę Naczelnego Dowództwa WP Sztab Generalny 1918-1921.

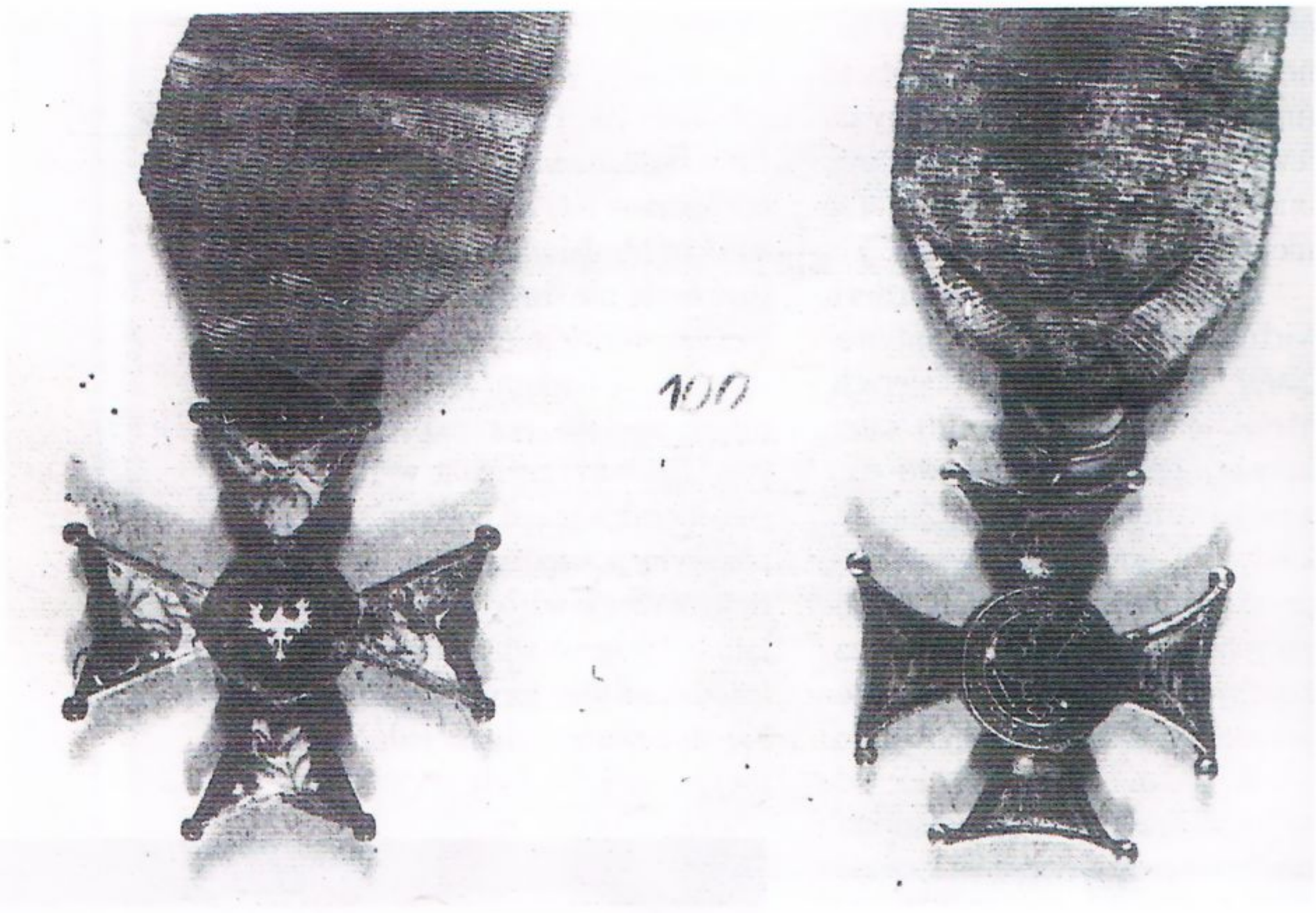

Krzyże Orderów Polonia Restituta i Virtuti Militari znalezione przy zwłokach ppłk. w st. sp. Andrzeja Hałacińskiego.

ODZNAKI ORGANIZACJI WOJSKOWYCH I PARAMILITARNYCH

Chodzi tu przede wszystkim o organizacje takie, jak: Związek Oficerów Rezerwy, Polska Organizacja Wojskowa (POW), Związek Strzelecki, Przysposobienie Wojskowe (odznaki komendanta i instruktorów), Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Junackich Hufców Pracy, Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, strażackie (w tym Związku Floriańskiego). W 1943 r. w Katyniu znaleziono po kilka odznak tych organizacji.

ODZNAKI SPORTOWE i CYWILNE

Kilkunastu oficerów miało odznaki „Za celność", kilkunastu – odznaki strzeleckie, kilku medale wojskowych zawodów sportowych, około 20 – Państwową Odznakę Sportową (POS), około 10 – odznakę Polskiego Związku Narciarskiego, ponadto odznaki WF i PW. Z cywilnych wymienię odznaki FON (Funduszu Obrony Narodowej), odznaki „Za walkę o szkołę polską", „Więzień Ideowy 1914-1921" oraz pojedyncze, jak: „Gwiazda Przemyśla",

Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości wydobyty podczas ekshumacji w Charkowie.

Medal Niepodległości wydobyty podczas ekshumacji w Charkowie.

fot. Andrzej Ciesielski, „Katyń", Warszawa 1943 [propagandowa broszura niem.]., Materiały Ministerstwa Kultury

www.odkrywca.pl

carskiej Rosji (z wizerunkiem św. Jerzego), i inne (w tym jedna komunistyczna).

Skąd tyle odznaczeń?

Dlaczego zabrano na wojnę tak wiele odznaczeń i odznak, do tego z legitymacjami? Trudno odpowiedzieć. Niewątpliwie, oficerowie byli z nich – i słusznie – dumni, na pewno też, do nich przywiązani. Niektórzy zapewne liczyli się z tym, że zginą; poległych na wojnie, o ile były warunki, chowano z honorami wojskowymi. Inni być może spodziewali się zwycięstwa. Niemal wszystkie te ich „skarby" przepadły wiosną 1945 r. pod Dreznem.

Mocno pobieżny ten przegląd rysuje nam też pewien obraz wrześniowych oficerów. Posiadane przez nich dokumenty i odznaczenia świadczą i o wysokim ich statusie w społeczeństwie polskim (wykształcenie i zawody prawników, nauczycieli, lekarzy, inżynierów, architektów, urzędników itd.), i o udziale w toczonych walkach o niepodległość Ojczyzny, i wykazanym wówczas męstwie. Jak się więc stało, że tylu mężczyzn – w pełni sił bojowych i twórczych - z naszych przedwojennych elit znalazło się w hańbiącej niewoli, a potem w leśnych, zamaskowanych dołach śmierci? Na ten temat napisano już bardzo wiele. Nasze dowództwo nie przygotowało się na uderzenie z dwóch stron; cios ze wschodu był szokiem, zawiodły Francja i Anglia. Po lekturze wielu relacji z Września, pamiętników oficerów „katyńskich" oraz świadectw ocalałych z tej zagłady, mogę napisać, że ogół oficerów – szczególnie młodszych – rwał się do walki, a poddawanie się – w tym przypadku Sowietom – przyjmowane było z niedowierzaniem i gniewem. Znane są ostre reakcje na podpisywane kapitulacje, a nawet wypadki samobójstw. Rtm. rez. Józef Czapski, ocalały jeniec Starobielska napisał: „Cały ten tłum [jeńców – przyp. autora] nurtowała rozpacz i dławiło upokorzenie" („Wspomnienia starobielskie"). Szybko jednak okrzepli. Po kilkumiesięcznej, wnikliwej i wszechstronnej obserwacji „specjalistów", uznani zostali za „zawziętych wrogów" radzieckiego ustroju, a we wniosku o ich wymordowanie szef NKWD Beria stwierdził: „Każdy z nich oczekuje oswobodzenia, by uzyskać możliwość aktywnego włączenia się w walkę przeciwko władzy radzieckiej". Polscy oficerowie nade wszystko pragnęli walczyć o wolność Ojczyzny.

Część 3 dotyczyć będzie przedmiotów wykonywanego zawodu i codziennego użytku, zabranych na wojnę książek, pieniędzy i kosztowności, a także przedmiotów kultu religijnego, pamiątek, maskotek i fotografii. <

Odznaka Sztabu Generalnego wydobyta podczas ekshumacji w Charkowie

Jolanta Adamska
Historyk. Wieloletnia współpracownica sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika (zginął w katastrofie smoleńskiej). Wspólnie napisali kilka książek o tematyce katyńskiej.

Odznaka 18 pułku ułanów ppor. rez. Franciszka Przytarskiego.

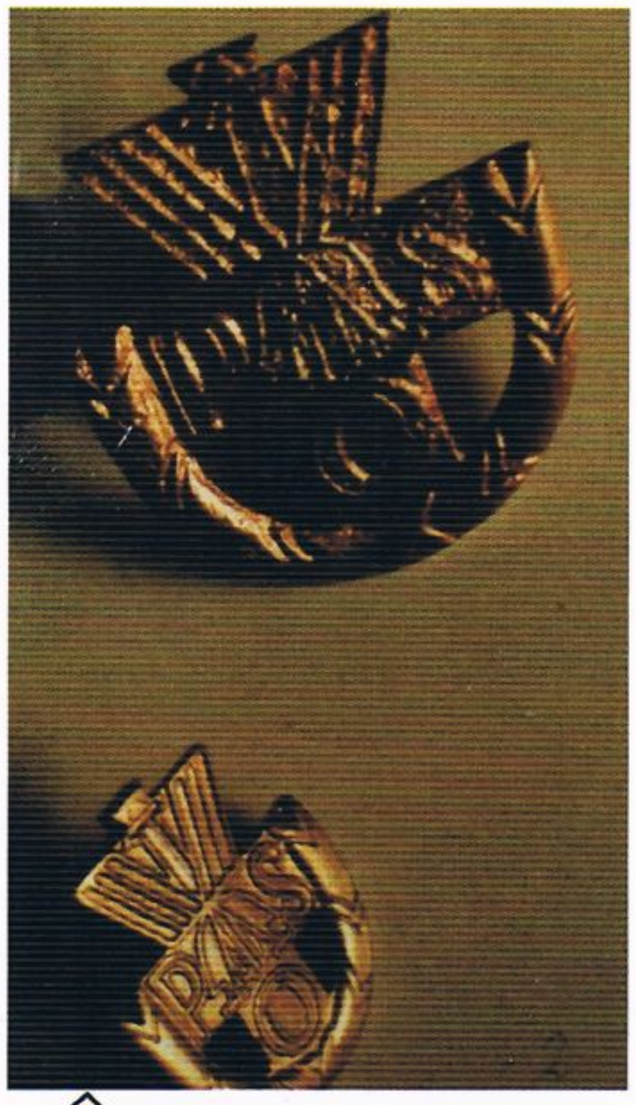

Odznaka POS wydobyta podczas ekshumacji w Charkowie.

PODZIEMIA ZAMKNIĘTE DLA TURYSTÓW

TOMASZ RZECZYCKI

Lista obiektów podziemnych, które planowano przeznaczyć do udostępnienia, jest zdumiewająco obszerna. Co sprawiło, że wycofano się z tych zamiarów?

Na pewno niejeden turysta po zwiedzeniu udostępnionych turystycznie podziemi sowiogórskich, jaskiń jurajskich czy kopalń górnośląskich zadał sobie pytanie: jak dużo jeszcze tego rodzaju obiektów podziemnych znajduje się na terenie Polski? Czy są inne tego typu miejsca kryjące nierozwikłane zagadki? A może wszystko zostało odkryte, przebadane i po prostu nic ciekawego pod ziemią się już więcej nie kryje? Okazuje się, że ciągle jeszcze są takie spowite mrokiem korytarze i komory, które czekają na udostępnienia. Były też takie, po których nie ma już prawie śladu.

Piryt z uranem

Cóż takiego jest w podziemiach, że przyciągają one uwagę tysięcy ludzi, rozpalając ich wyobraźnię? Jednych pociągają domniemane skarby, innych ciągnące się nie wiadomo dokąd przejścia, a jeszcze innych pochłania tajemnicza przeszłość obiektów podziemnych i hipotezy co do ich domniemanego przeznaczenia. Wspólnym mianownikiem jest wielka niewiadoma, kryjąca się pod powierzchnią ziemi. Oto garść przykładów różnego rodzaju podziemi, które nie doczekały się udostępnienia turystycznego. Jak na razie...

Na północny wschód od Gór Świętokrzyskich leży miejscowość Rudki. Funkcjonowała tam kopalnia pirytu „Staszic", uruchomiona po pierwszej wojnie światowej. W czasach Polski Ludowej przez kilkanaście lat strategicznym surowcem ubocznym wydobywanym w Rudkach był uran. Było to właściwie jedyne istotne miejsce pozyskiwania polskiego uranu poza Sudetami. W latach 1956-1967 pozyskano tam ponad 5006 ton rudy uranowej. Kupowały ją Zakłady Przemysłowe R-1 w Kowarach, które następnie sprzedawały ją do Związku Radzieckiego. W 1970 r. kopalnia w Rudkach została zamknięta. Powstał więc pomysł, aby na głębokości dwustu metrów urządzić podziemną trasę turystyczną. Jednak wyrobiska zostały przeznaczone do likwidacji. O planach udostępnienia pirytowych chodników świadczą więc tylko wzmianki w periodykach krajoznawczych z tamtego okresu.

Mimo szczerych chęci nie udało się jak dotąd zaadaptować w sposób profesjonalny do zwiedzania podziemi Miedzianki (nie mylić z Miedzianką na Dolnym Śląsku), położonej na zachód od Kielc. Wydobywano tam rudy miedzi, prace górnicze prowadzili także m.in. Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Pomysł udostępnienia tych podziemi upadł bodajże po raz pierwszy w 1987 r. Na początku XXI wieku zaangażował się w tym kierunku jeden z kieleckich pasjonatów, który nawet był gościem Forum Podziemnych Tras Turystycznych w Zabrzu. Dzisiaj w Miedziance można zwiedzać muzeum górnicze, ale to jeszcze nie to samo co trasa podziemna.

Murowaną frekwencję miałyby bez żadnej wątpliwości podziemia zakopiańskie. W maju 1963 r. katowicka „Trybuna Robotnicza", powołując się na Polską Agencję Prasową, podawała: „Niedługo czeka turystów jeszcze jedna nowa atrakcja. Będzie nią wycieczka do tatrzańskich kopalni, do starych wyrobisk górniczych, w których przed kilkuset laty tatrzańscy górnicy wydobywali rudę żelazną dla hut mieszczących się w dzielnicy zwanej dzisiaj Kuźnice. Trwają już pierwsze prace rozpoznawcze, które mają na celu zorientowanie się, jakie odcinki tatrzańskich kopalń nadają się dla ruchu turystycznego". Zapowiedź okazała się pustą obietnicą. Do dzisiaj, spacerując w głąb Doliny Kościeliskiej, mija się tylko zakratowane wejście do starej sztolni, tuż przy szlaku turystycznym.

„Będziemy zwiedzać olkuskie podziemia!" – informowała triumfalnie małopolska gazeta sportowa „Tempo" w 1967 r. Rzeczywiście, Olkusz obok Bytomia i Tarnowskich Gór był miastem, spod którego w przeszłości wydobyto spore ilości rud srebra. Pozostałością po tym były roznosy sztolni i pogwarkowskie wyrobiska. Członkowie oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Olkuszu przez lata czynili starania, aby udostępnić do zwiedzania część podziemi. Uzyskano nawet zgodę władz centralnych, po czym zabrano się do ustalenia, które konkretnie fragmenty wyrobisk można przeznaczyć na cele turystyczne. Jednak w wyniku trudności >>>

www.odkrywca.pl

W podziemiach Stolca koło Kamieńca Ząbkowickiego.

TYCH PODZIEMI NIE ZOBACZYMY!

1 RUDKI – kopalnia pirytu „Staszic", zamknięta w 1970 r.

2 MIEDZIANKA – kopalnia rudy miedzi, praca górnicze prowadzili tu także m.in. Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Dzisiaj w Miedziance można zwiedzać muzeum górnicze, ale bez trasy turystycznej.

3 ZAKOPANE, KUŹNICE – stare wyrobiska górnicze, w których przed kilkuset laty tatrzańscy górnicy wydobywali rudę żelaza.

4 OLKUSZ – kopalnia rud srebra, w 1969 r. zrezygnowano z jej udostępnienia.

5 TARNOWSKIE GÓRY – trzy ogromne podziemne komory pod szybem Staszic, w których do początku XXI wieku funkcjonowały pompy wodne. Bez specjalnej zgody gospodarza obiektu nie można ich zwiedzać.

6 STOLEC – kopalnia serpentynitu, słynąca z niestworzonych hipotez o tym, czego tu rzekomo Niemcy nie mieli produkować podczas drugiej wojny światowej.

7 WAŁBRZYCH – sztolnia ćwiczebna Gabriel. Przegrała z kolekcjonerami złomu.

8 RADZIONKÓW – sztolnia szkoleniowa kopalni węgla. Udostępniono ją turystom 3 czerwca 1967 r. Trudno powiedzieć, na jak długo. Od kilku lat teren byłej radzionkowskiej kopalni zajmuje baza paliw.

9 BOLKÓW – podziemna fabryka, odkryta w 2008 roku, nieudostępniana.

10 PRABUTY – W 1972 r. prasa podała, że zapadła decyzja udostępnienia części prabuckich lochów pomiędzy głównym wejściem a kościołem. Nigdy do tego nie doszło.

11 BYSTRZYCA KŁODZKA – w 2002 r. odcinek trasy podziemnej wiodącej piwnicami pod śródmieściem. I szybko zamknięto, motywując to względami bezpieczeństwa.

12 ŚWIDNICA – posiada nieudostępniane podziemne korytarze w ceglanej obudowie pod śródmieściem.

13 KOSTRZYN N. ODRĄ – odkryto w 2013 r. podziemny kanał pod ruinami kostrzyńskiego Starego Miasta - nieudostępniany turystom.

14 KŁOBUCK – hipoteza o podziemach pod miastem.

15 JELENIA GÓRA – posiada nieudostępniane schrony podziemne.

>>> technicznych, na jakie napotkano, w 1969 r. zrezygnowano z udostępnienia olkuskich sztolni. Czy słusznie?

A propos wspomnianych przy okazji Tarnowskich Gór. Dobrze znane penetratorom podziemi tarnogórskich są trzy ogromne podziemne komory pod szybem Staszic, w których do początku XXI wieku funkcjonowały pompy wodne. Tutejsza stacja pomp dostarczała wody spożywczej do sieci wodociągowej miast górnośląskich, jednak na skutek podwyższonej ilości substancji szkodliwych została decyzją władz sanitarnych wyłączona z użytku. Przez lata pojawiały się nieśmiałe pomysły, żeby ten podziemny zabytek techniki udostępnić zwiedzającym. Jak na razie bez specjalnej zgody gospodarza obiektu nie jest łatwo obejrzeć to miejsce.

Pierogi w hitlerowskiej sztolni?

Niemałe emocje poszukiwaczom przygód dostarczały pogórnicze podziemia w Stolcu koło Kamieńca Ząbkowickiego, znajdujące się kilkanaście kilometrów na północ od Gór Złotych. Istnienie tego miejsca od dawna nie stanowiło sekretu, gdyż ciekawy opis wędrówki podziemiami tamtejszej kopalni serpentynitu zamieściła w połowie czerwca 1958 r. jedna ze śląskich gazet. Przyrodnikom skałki stoleckie znane były za sprawą tamtejszego rezerwatu przyrody. Aurę tajemniczości miejscu przydawały niestworzone hipotezy o tym, czego tu rzekomo Niemcy nie mieli produkować podczas drugiej wojny światowej. W czerwcu 2000 r. miałem okazję penetrować część tych podziemi wraz z Martą Szumską ze Złotego Stoku i z grupą eksploratorów z Kalisza. Cóż, jak to zwykle bywa, krążące opowieści były o wiele ciekawsze od tego, co ujrzały nasze oczy. Później nie było już tak prosto powtórzyć wizytę. Ze względu na to, że w podziemiach stoleckich zimą hibernują nietoperze, wejście zostało zabezpieczone kratą. I chyba brak już nadziei, by w dającej się przewidzieć przyszłości podziemia te zostały wykorzystane do innych celów...

Rudki, Olkusz czy Stolec to tylko wybrane przykłady kopalń, które nie doczekały się turystów w skali masowej. Warto przy okazji wspomnieć o kopalnianych namiastkach, czyli górniczych sztolniach ćwiczebnych, jakie otwierały podwoje przed laikami. Jedną z najbardziej znanych była sztolnia przy szybie Gabriel w Wałbrzychu. Przegrała z kolekcjonerami złomu, niestety. A czy ktoś pamięta o sztolni szkoleniowej, zbudowanej w głębi pagórka na terenie Kopalni Węgla Kamiennego Radzionków koło Bytomia? Udostępniono ją turystom 3 czerwca 1967 r. Trudno powiedzieć, na jak długo. Od kilku lat teren byłej radzionkowskiej kopalni zajmuje baza paliw.

Jeśli nie dla turystów, to może by tak zaadaptować podziemia dla celów gastronomicznych? Oczami wyobraźni widzę już czytelnika ziewającego ze znudzenia. Bo cóż zajmującego może być w tym, że niektóre piwnice Starego Miasta w Lublinie czy Sandomierzu planowano przekształcić w restauracje i winiarnie? Prawda, ale były i bardziej surrealistyczne pomysły. W 1969 r. rozważano całkiem serio pomysł, aby wykute w skałach wyrobiska koło Świecia w powiecie lubańskim na Pogórzu Izerskim przekształcić w... bar. „Jest to miejsce odwiedzane przez wielu turystów. Grota stanowi fragment zbudowanej przez hitlerowców podziemnej fabryki, która produkowała rakiety. Bar w grocie pomieści 40 osób" – pisała wówczas prasa.

Dzisiaj, kiedy podziemia wykute przez więźniów hitlerowskich w różnych miejscach Sudetów kojarzą się raczej z martyrologią tysięcy istnień ludzkich, takie pomysły wydają się być trudne do zrozumienia. Okazuje się jednak, że tego typu pomysły były po drugiej wojnie światowej realizowane! Wprawdzie nie w podziemiach, lecz na terenie byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W 1946 r. w byłej wartowni tegoż obozu funkcjonowała kasa biletowa, sprzedająca bilety wstępu dla zwiedzających. Jak by tego było mało, to w budynku dawnego działu politycznego w obozie Oświęcim I założono

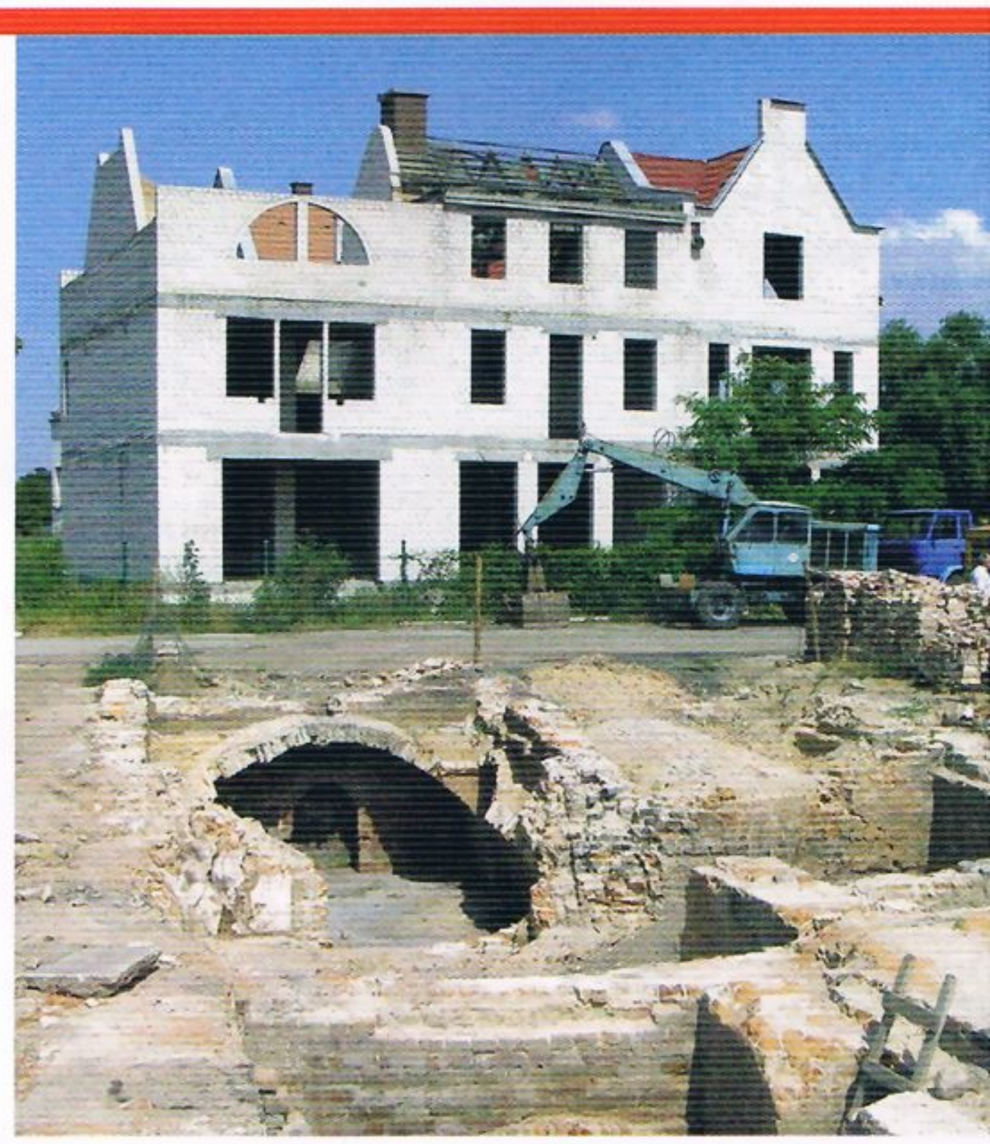

Nieistniejące już piwnice na Starym Mieście w Kostrzynie nad Odrą. W tym miejscu stanął hotel...

bar z wódką, a w oknach umieszczono reklamy zapraszające do wnętrza. Skoro w Auschwitz było można, to czemu nie pod Lubaniem...

Wiosną 1999 r. brałem udział w Forum Podziemnych Tras Turystycznych w Głębokiem koło Międzyrzecza. Na konferencji prasowej jedna z dziennikarek zadała wtedy dosyć naiwne pytanie o to, czy są w Polsce znane jakieś tajemnicze tunele wiodące do zamków, za pomocą których załoga mogłaby się niepostrzeżenie wymknąć podczas oblężenia. Nie wiadomo dlaczego, w masowej wyobraźni funkcjonuje mit o istnieniu tego rodzaju ciągnących się kilometrami tuneli. Jakoś projektanci średniowiecznych zamków nie byli tak nierozsądni, aby planować drążenie tego typu tuneli, dzięki którym nieprzyjaciel miałby ułatwione zadanie podczas oblężenia. Ten absurdalny mit podtrzymał kilka lat temu jeden z polskich reżyserów, umieszczając w pewnym serialu scenę sugerującą, że poprzez studnię na dziedzińcu zamku Czocha w Leśnej można gdzieś tam wyjść hen, poza zamkiem.

Śmierć pod zarwanym stropem

Jak to, czy to znaczy, że nie ma żadnych intrygujących zamkowych podziemi? Oczywiście, jeśli nie liczyć jaskini pod Wawelem w Krakowie. Ano zobaczmy... „Pod ruinami zamku obronnego w Iłży znajdują się tajemnicze lo-

www.odkrywca.pl

chy i podziemia. Podziemny labirynt nie został jeszcze dokładnie zbadany". Taką enigmatyczną wzmiankę zamieścił periodyk krajoznawczy „Ziemia" wydany w 1973 r. Cóż, na legendzie się skończyło. Współcześnie wędrować można tylko po naziemnej części ruin tego byłego zamku biskupów krakowskich.

O podziemnej fabryce pod górą Ryszarda w Bolkowie na Dolnym Śląsku legendy krążyły praktycznie od zakończenia wojny. Do 2008 roku jej istnienie było wielokrotnie kwestionowane. Jednak w ciągu dziesięciu lat intensywnych prac eksploracyjnych prowadzonych z inicjatywy Mieczysława Bojki udało się dotrzeć do wnętrza obiektu. Niestety, późniejsza koncepcja adaptacji obiektu na cele turystyczne do dziś nie została zrealizowana. Przyczyną były i są wysokie koszty.

Swoje pięć minut miały kiedyś Prabuty. W 1972 r. prasa ogólnopolska, w tym i „Kurier Polski", podały, że zapadła decyzja udostępnienia części prabuckich lochów pomiędzy głównym wejściem a kościołem. Słuch potem zaginął o tej inicjatywie. W 2002 r. na krótko za sprawą swoich podziemi na czołówki serwisów informacyjnych przebiła się Bystrzyca Kłodzka. Otwarto tam dosyć uroczyście odcinek trasy podziemnej wiodącej piwnicami pod śródmieściem. I niedługo później bardzo szybko, za to już bez żadnego rozgłosu, trasę zamknięto, motywując to względami bezpieczeństwa.

Niebezpieczne były podziemia Świdnicy, miasta znanego w czasach PRL raczej za sprawą stacjonujących tam oddziałów Armii Radzieckiej. Oto 16 lutego 1967 r. zdarzył się śmiertelny wypadek w świdnickich podziemiach. Zginął trzynastoletni uczeń Szkoły Podstawowej nr 12, Ryszard Tomaszewski. Po prostu zarwał się strop podziemnego korytarza pod parkiem przy ul. Sikorskiego. Zwłoki chłopaka tego samego dnia odkopali żołnierze. Wypadek ten z pewnością uzmysłowił konieczność zabezpieczenia podziemi, a raczej nie ich udostępniania. Wkrótce jednak sprawa ucichła. W późniejszych latach o istnieniu podziemnych korytarzy w ceglanej obudowie pod śródmieściem przypominali niekiedy dziennikarze. W 1997 r. opis spaceru tymi podziemiami zamieścił „Tygodnik Wałbrzyski". Nic to nie dało. Nawet sukces osiągnięty przez gospodarzy tras podziemnych w nieodległych Górach Sowich nie skłonił władz Świdnicy do przygotowania własnej takiej trasy.

„Tajemnica koszalińskich podziemi" – pod takim chwytliwym tytułem ukazał się w 1948 r. w prasie górnośląskiej jeden z artykułów. Pierwsze lata powojenne obfitowały w relacje o znalezionych skarbach, dziwnych przejściach podziemnych, schronach czy bunkrach pozostawionych przez Niemców. Nawet w relacjach prasowych z niemal kompletnie zburzonego Kostrzyna nad Odrą przewijał się wątek wejść do podziemi. Jak na ironię to ostatnie miasto na przełomie XX i XXI wieku zostało przyjęte do Stowarzyszenia Podziemne Trasy Turystyczne Polski, chociaż żadnej trasy podziemnej w tym mieście nie było i dotąd nie ma. Ale cóż, mamy swobodę stowarzyszania się i opłacania składek członkowskich. A odkryty w 2013 r. podziemny kanał pod ruinami kostrzyńskiego Starego Miasta może kiedyś będzie można przemierzać suchą stopą, słuchając opowieści o oblężeniu miasta w 1945 r. Rozmarzyłem się.

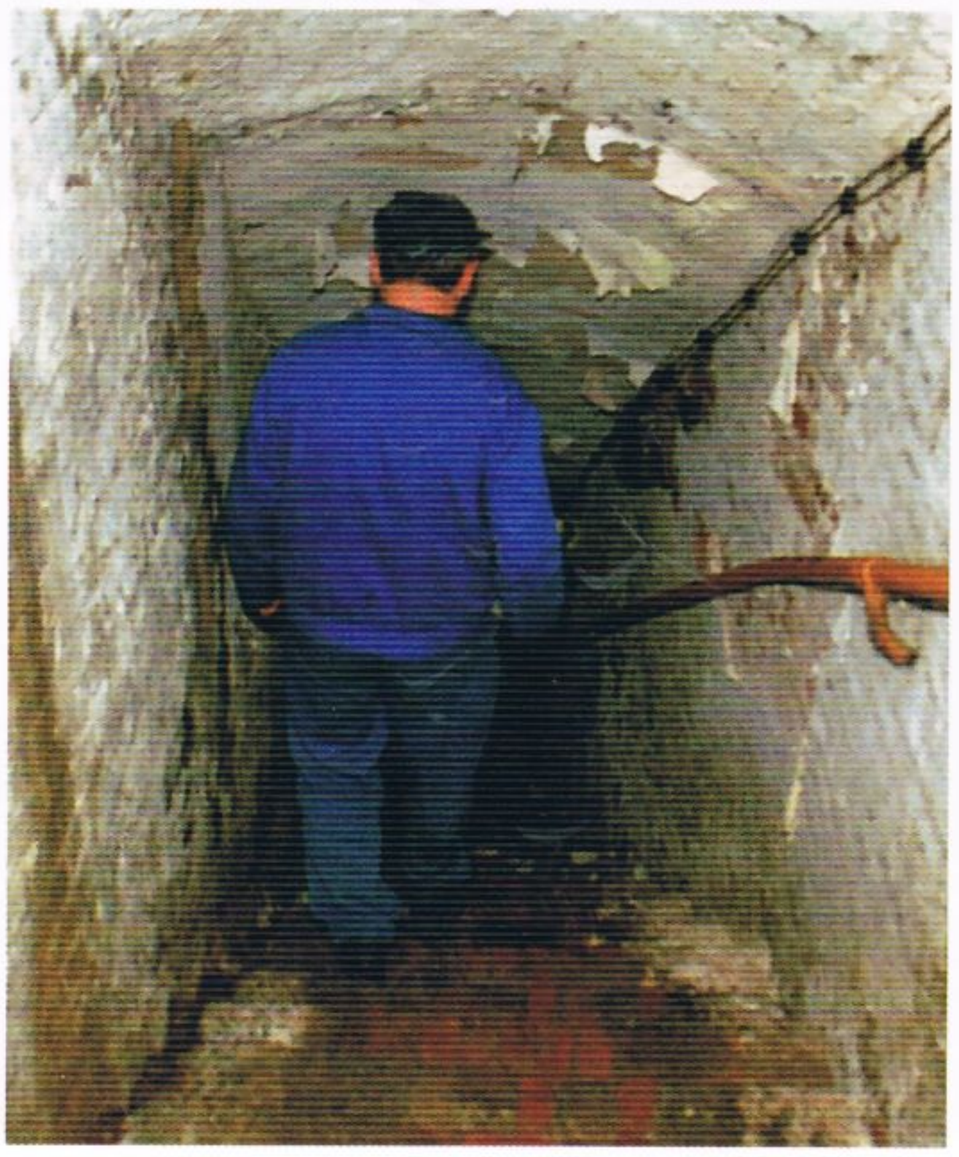

Przejście między komorami pomp pod szybem Staszic w Tarnowskich Górach.

Domniemane nieznane podziemia pod miastem miały się znajdować rzekomo w Kłobucku, niewielkim miasteczku położonym blisko Częstochowy. Rozważania na ten temat ukazały się w jednym z wojewódzkich miesięczników w marcu 1982 r., a więc na początku stanu wojennego. Być może był to celowy zabieg, aby odciągnąć myśli czytelników od ponurej rzeczywistości tamtego okresu. Jednak przy okazji doszło do niezamierzonego chyba paradoksu. Bo oto władza, tępiąca wszelkie oznaki tak zwanej podziemnej działalności politycznej, zezwoliła na druk tekstu „podziemnego".

Efektowne schrony podziemne znajdują się w kilku miejscach w Jeleniej Górze. Pod koniec XX wieku duży opis tychże podziemi wydrukowano w „Nowinach Jeleniogórskich", później w prasie dolnośląskiej i kilku portalach internetowych. I w tym przypadku schrony te nie doczekały się udostępnienia turystycznego i czekają może na lepsze czasy.

Trudno wymieniać wszystkie tajemnicze i nie do końca zbadane podziemia w Polsce, ciągle czekające na to, aż znajdzie się dobrodziej, który sypnie groszem, by tchnąć nowe życie w chłodne, mroczne i wilgotne komory i korytarze. Ale nie traćcie nadziei. W 1946 r. co można było zwiedzać z przewodnikiem i światłem elektrycznym? Jurajską jaskinię Smoczą Jamę i kopalnię soli kamiennej w Wieliczce i... chyba nic więcej. Kto wtedy myślał o bezpiecznym zwiedzaniu Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, sztolni walimskich czy choćby fragmentu podziemi zamku Książ i Twierdzy Kłodzkiej? Mało kto? Ano właśnie... <

Tomasz Rzeczycki
Badacz dziejów podziemnych tras turystycznych Polski, przejść granicznych w Sudetach oraz historii sudeckich schronisk PTTK. Autor książki „Góry Polski".

NÓŻ SZTURMOWY WZ.55, CZYLI PRZEDWOJENNA JAKOŚĆ DLA LWP

PIOTR ORMAN

Jednym z paradoksów pierwszej wojny światowej był fakt, że obok nowoczesnych środków walki pojawiła się także broń całkiem prymitywna, kojarzona z zamierzchłymi nieraz epokami.

fot. Piotr Orman, https://tenksite.blogspot.com/2012/10/polscy-saperzy-w-afganistanie.html#!/2012/10/, dostęp 09.11.2016

„Weteran" ciągle w służbie, Afganistan.

Skrajnymi przykładami takiego oręża jest broń obuchowa – maczugi, którymi kruszono, o ironio – żywcem przeniesione z wieków średnich hełmy stalowe. Walczono kastetami, a co najistotniejsze dla meritum tego artykułu, rozpowszechniły się różnego rodzaju noże i sztylety okopowe. Każdy szanujący się członek kompanii szturmowych, które powszechnie powstawały po obu stronach frontu w schyłkowym okresie wojny, musiał taki posiadać. Podczas walki w zwarciu w ciasnych okopach, ziemiankach i lejach po pociskach nóż lub sztylet był znacznie poręczniejszy niż każdy bagnet. Wówczas powstało kilka konstrukcji, które przeszły do kanonu zagadnienia. Należy tutaj wymienić austro-węgierski Grabendolch M.17, francuski sztylet Mle. 16, patetycznie zwany „Mścicielem 1870" (używany także przez pancerniaków, jako przepisowa broń boczna), brytyjskie i amerykańskie sztylety z kastetową rękojeścią czy niemieckie krótkie sztyletowe bagnety. Po zakończeniu I wojny światowej noże zniknęły z wyposażenia większości armii europejskich (były wyjątki, wspomnianego „Mściciela 1870" Francuzi wytwarzali aż do niemieckiej inwazji w roku 1940). Być może dlatego, że trauma wojny okopowej była tak silna, że nikt na takie coś się nie szykował, a przydatności noża w wojnie manewrowej jeszcze sobie nie uświadomiono.

Renesans noża wojskowego

Druga wojna światowa to renesans noża wojskowego. Od czasów tego konfliktu stał się on istotnym składnikiem arsenału nowoczesnej armii. Wiązało się to z narodzinami nowych rodzajów wojsk, w szczególności jednostek powietrzno-desantowych, zwiadowczych i specjalnych. W trakcie ostatniej wojny światowej powstały prawdziwe legendy, takie jak amerykański Ka-Bar, brytyjski sztylet Fairbairn-Sykes, niemieckie noże grawitacyjne czy wreszcie rosyjski nóż zwiadowcy wz.40, potocznie zwany „ZIK". Rosyjski nóż zwiadowców powstał w 1940 rok. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że był reakcją na traumatyczne doświadczenia, jakie RKKA zebrała w trakcie fińskiej wojny zimowej. Małe oddziały fińskich narciarzy uzbrojone w pistolety maszynowe i tradycyjne noże puukko robiły spory zamęt na rosyjskim zapleczu, nieraz zmuszając o wiele liczniejsze jednostki do bezładnej rejterady. Rosjanie dość szybko się uczyli i postanowili zaadaptować zarówno taki rodzaj wojsk, jak i posiadane przezeń uzbrojenie. Rosyjski nóż istotnie przypominał wspomniane fińskie puukko. Był lekki, głownia typu bowie nie miała zbrocza, od drewnianej rękojeści oddzielał ją esowaty blaszany jelec. Monolityczną, profilowaną do kształtu zaciśniętej dłoni rękojeść osadzano na stalowym trzonie. Pochwa wykonana z drewnianych łubek była okuta stalową blachą, nóż posiadał skórzaną lub parcianą pętlę do zawieszenia na pasie. Rękojeść była dodatkowo spięta z pętlą specjalnym paskiem ze stalowym knopikiem, >>>

www.odkrywca.pl

>>> co czyniło zawieszony na pasie nóż bardziej stabilnym. Początkowo pochwa i rękojeść nie były lakierowane, zachowywały naturalny kolor drewna, później te elementy malowano na czarno. Nóż powstawał w różnych wytwórniach, ale najwięcej produkowano go w słynnej wytwórni broni białej w Złatouście.

„Złatoustkij Instrumentalnyj" Kombinat

W tamtym okresie fabryka nosiła nazwę „Złatoustkij Instrumentalnyj" Kombinat i właśnie od pierwszych liter tej nazwy pochodzi rozpowszechniona wśród kolekcjonerów, ale zupełnie potoczna, nazwa noża „ZIK". Skrót ten będący sygnaturą wytwórczą tłoczono na progu głowni opisywanej broni. Na marginesie warto nadmienić, że wśród polskich kolekcjonerów broni białej od lat pokutuje błędna interpretacja tej sygnatury – „Zawod im. Kirowa" spotykana nawet w kompetentnych publikacjach. Niestety, myślę że już nawet „napalm" tego nie wypleni. Opis noża zwiadowcy jest bardzo istotny dla przedmiotu tego opracowania, warto sobie bowiem uświadomić, że jego koncepcja zdecydowała o postrzeganiu tego rodzaju broni w armiach większości powstałych po 1945 roku demoludów. Noże bojowe używane w sowieckich państwach powielały przyjęte w nożu wz.40 założenie lekkiej broni do walki wręcz, delikatnej, a tym samym zupełnie nieprzydatnej wojsku jako narzędzie służące do jakichkolwiek cięższych prac polowych. Widać to wyraźnie w jugosłowiańskim nożu M51, czeskim VO-7, wreszcie w polskim wz.55. W Polsce, po drugiej wojnie światowej, podjęto decyzję o ponownym uruchomieniu fabryki broni w Radomiu. Podczas okupacji zakłady były filią koncernu Steyer-Daimler-Puch i produkowano tutaj głównie pistolet VIS wz.35.

Zakłady Metalowe im. Generała Waltera

31 grudnia 1951 roku zarządzeniem ministerialnym fabryka w Radomiu otrzymała nazwę Zakłady Metalowe im. Generała Waltera, oraz oznaczenie kodowe „11" wpisane w owal. W nowej rzeczywistości fabryka dość szybko zaczęła produkować licencyjnie broń radziecką – pistolet TT wz.33, karabinek Mosin wz.44, pistolety maszynowe PPS wz.43 i PPSz wz.41. Nóż wz.55 był pierwszą bronią białą (nie licząc zawiasowego bagnetu do kbk Mosin), jaką zaczęto wytwarzać po wojnie. Tutaj o licencji nie było mowy. Bazą do opracowania polskiej konstrukcji był oczywiście radziecki nóż wz.40, jednak w trakcie prac uwzględniono doświadczenia zebrane podczas używania tego noża w LWP i postanowiono wprowadzić istotne modyfikacje. Przede wszystkim zmieniono konstrukcję rękojeści , tworzyły ją dwie okładziny z bukowego drewna (impregnowanego, jak w przedwojennych bagnetach pokostem lnianym) nakryte głęboko toczonym blaszanym kapturkiem i przynitowane do trzonu dwoma nitami o szerokich łbach. Widziałem jednak prawdopodobnie bardzo wczesny egzemplarz, w którym w rękojeści był jeden asymetryczny nit z wąskim łebkiem, głownia noża była jednak okrutnie zużyta, a wszelkie oznaczenia zeszlifowane, w związku z czym trudno precyzyjnie ten egzemplarz sklasyfikować. Kapturek wieńczący rękojeść zakuwano na trzonie głowni. W trakcie produkcji to połączenie wzmacniano, czyniąc trzon nieco szerszym. Tak skonstruowana rękojeść była znacznie solidniejsza niż w rosyjskim pierwowzorze, wykorzystano ją zresztą później z niewielkimi modyfikacjami w nożu spadochronowym wz.65. Pochwa polskiego noża została wykonana ze zwijanej blachy, podobno zastosowano tu technologię opracowaną przy produkcji przedwojennego bagnetu wz.28. Mankiet z dławicami był stalowy i, co istotne, w prosty sposób dał się wymienić, bo w płaszczu utrzymywał go guzikowy sprężynowy zatrzask. Sprężyny dławiące były osobnymi elementami niepołączonymi z mankietem, w związku z czym w przypadku uszkodzenia którejś z nich można było to szybko naprawić, wymieniając cały element bez konieczności nitowania a nawet używania jakichkolwiek narzędzi. Wlot pochwy nie był profilowany.

Pierwszy rok produkcji

W nożach z pierwszego roku produkcji żabka była na stałe połączona z pochwą za pomocą przynitowanej z tyłu blaszki, na której umieszczano numer pochwy. Nie było to zbyt szczęśliwe rozwiązanie, ponieważ do wymiany żabki konieczna była rusznikarska interwencja, w związku z czym rozwiązanie to w nożach z późniejszych serii poprawiono. Do płaszcza pochwy dospawano punktowo blaszkę utrzymującą dwie

Nagrodowa wersja noża wz.55 z dedykacją w specjalnym etui.

www.odkrywca.pl

druciane klamerki służące do przewleczenia paska żabki nowej konstrukcji, numer wybijano teraz po zewnętrznej stronie bezpośrednio na płaszczu pochwy. Dokładnie takie samo rozwiązanie powtórzono w roku 1958 w trakcie produkcji bagnetu do karabinu AK. W przypadku noża wz.55 nie potrafię precyzyjnie określić momentu przejścia starej konstrukcji w nową. Faktycznie wszystkie noże wz.55 z roku 1955 mają stary wzór pochwy, a te z lat 1956 i 1957 – nowy, jednak nie zdziwiłbym się, gdyby istniały niewielkie ilości noży z 1955 roku z nowym sposobem troczenia żaby lub z 1956 ze starym. Pochwy polerowano a następnie oksydowano na kolor czarny. Żabki wykonywano ze skóry w naturalnym kolorze, wszystkie posiadały pasek z knopikiem obejmujący rękojeść, który początkowo był nitowany, a potem doszywany do pętli żabki. Żabka drugiego wzoru konstrukcyjnie była zbliżona do stosowanej potem w bagnecie do karabinu AK, ta druga była nieco dłuższa. Spotykałem jednak noże wz.55 pochodzące z magazynów WP, z założonymi żabkami od bagnetów. Było to dość kłopotliwe, bo pasek stabilizujący z trudem obejmował rękojeść noża, ponieważ z racji większej długości żabki znajdował się na wysokości środkowej, najszerszej jej części. Jelec esowaty wykonany był z oksydowanej na czarno blachy.

fot. Piotr Orman, http://rusknife.com/topic/10267-wz55/, dostęp 09.11.2016.

11 wpisana w owal

Profil głowni polskiego noża był nieco inny od rosyjskiego, pióro było krótsze, a jego grzbiet nieco bardziej „podcięty", całość była starannie polerowana.

Współczesne »uzbrojenie pakietowe« operatora policyjnej jednostki AT.

Zdemontowana pochwa noża, widoczny rozłożony na elementy składowe dławik.

Miejsce noża w specjalnej kieszonce spodni US wz.4643.

Bezpośrednio pod jelcem znajdowała się skórzana podkładka amortyzująca w chwili „domykania" noża w pochwie. Na progu głowni umieszczano kodowe oznaczenie producenta, cyfrę „11" wpisaną w owal oraz rok wytworzenia. Noże produkowano przez trzy lata: od 1955 do 1957. Takie oznaczenie przywołuje na myśl znakowanie przedwojennych bagnetów tzw. mobilizacyjnych, gdzie pod orłem umieszczano datę 1939, miało to najprawdopodobniej racjonalizować zużycie materiału. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że przy produkcji opisywanego noża pracowali jeszcze ci sami ludzie, co przy wspomnianych przedwojennych bagnetach. Należy jednak uczciwie wspomnieć, że na sowieckich nożach też umieszczano rok wytworzenia. >>>

www.odkrywca.pl

>>> 980 tys. sztuk?

Polski system oznaczania chyba jednak nawiązywał do przedwojnia, o czym świadczy powtórzenie go w roku 1958 i jeszcze 1970 przy produkcji bagnetu do karabinu AK 47. Na przeciwnym progu umieszczano numer broni i romboidalny stempel kontroli technicznej lub odbioru wojskowego, taki sam tylko nieco większy umieszczano na jednej z okładek drewnianej rękojeści. Jeżeli chodzi o numeracje, moim zdaniem, prowadzono ją w następujący sposób – literowe oznaczenie serii i numer kolejnego noża od 0 do 9999, potem seria z następną literą alfabetu i tak być może 32 razy, po skończeniu alfabetu zaczynamy od nowa ale po serii literowej dodajemy 0 (np. A 03198), po skończeniu „Z", zaczynamy od nowa ale odpowiednio po A dodajemy 1. Jeżeli moja teoria byłaby prawdziwa w pierwszej partii produkcyjnej bez cyfry 0 po literze powstałoby 320 tys sztuk noży. Bezsprzecznie noży z lat 1955 i 56 na rynku jest wyraźnie więcej niż z 1957. Partia trzecia dotarła do litery „Z" (znam takie noże) i na tym, jak sądzę, zakończono produkcję. W związku z powyższym, zakładając pełną ciągłość alfabetyczną noży łącznie wytworzonoby 980 tys. sztuk. Niestety, mojej teorii nie da się na razie obronić, ponieważ noże z pięciocyfrowym numerem zarówno z zerem, jak jedynką po serii literowej występują tak w roku 55, 56 i 57. Być może było to jednak celowe działanie mające zaciemnić faktyczną wielkość produkcji, która na pewno była znaczna, co potwierdza chociażby fakt posiadania w WP dużych ilości noży jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia. Powyższy system nieco przypominałby numerację stosowaną w przedwojennych radomskich bagnetach wz.28. Serie liczące 10 tysięcy sztuk, też oznaczano alfabetycznie, różnice sprowadzają się jednak do tego, że po skończeniu alfabetu, przed wojną, stosowano najprawdopodobniej zamiast dużych małe litery oznaczające poszczególne serie. Noże opuszczały fabrykę zgodne numerycznie z pochwami, z którymi je zestawiono. Później w jednostkach o to nie dbano i w trakcie konserwacji broni pochwy często zamieniano. Ogólnie na rynku kolekcjonerskim noże „zgodne" występują rzadziej i są nieco droższe. Widziałem także kilka pochew z nowszym systemem mocowania żabki, które w ogóle nie miały numerów, być może były to zamienniki, którymi zastępowano te zniszczone lub zagubione.

Niewielu „nie zabierało" go ze sobą

Obecnie nóż wz.55 kojarzony jest głównie z wojskami desantowymi, jednak należy pamiętać, że w chwili jego powstania istniały one tylko w niewielkim zakresie. 6 Pomorska Dywizja Powietrzno-Desantowa powstała w czerwcu 1957 roku, a niebieskie berety, czyli 7. Łużycka Dywizja Desantowa dopiero w 1963 roku (choć wcześniej, od 1958 roku istniała 23 Dywizja Desantowa, z której utworzono 7.ŁDD). W spodniach mundurowych typu „US" opracowanych specjalnie dla tych formacji przewidziano kieszonkę na prawym udzie właśnie dla noża szturmowego wz.55. Pojawiła się ona już w spodniach szytych z tkaniny w kamuflażu „deszczyk" wz.58, była w obu wzorach spodni „US" w kamuflażu mora wz.68, następnie puma wz.89 i pantera wz.93. Noże znajdowały się także na stanie jednostek specjalnych, takich jak 1. Batalion Szturmowy z Dziwnowa (od 1986 Lubliniec), 62., 56

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

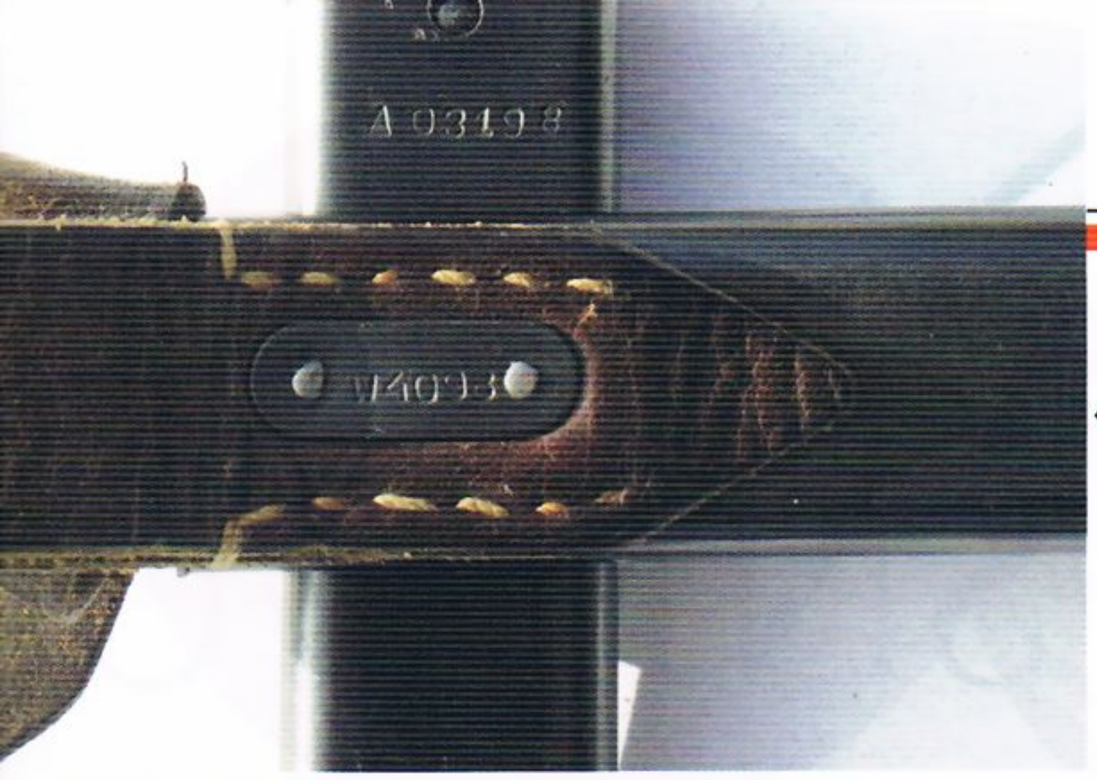

Sposoby numerowania pochew: starszy i nowszy.

Starszy i nowszy sposób mocowania żabki do płaszcza pochwy.

Detale znakowania noży.

Oznaczenia kontrolne na rękojeściach noży.

i 48. Kompanii Specjalnych. Był także na wyposażeniu jednostek specjalnych i pododdziałów antyterrorystycznych milicji. Po transformacji ustrojowej noże wz.55 dalej były użytkowane przez jednostki specjalne i desantowe WP i policji. Później nóż wz.55 był stopniowo zastępowany przez nóż wz.92, jednak można go jeszcze zobaczyć na zdjęciach z misji WP w Iraku i Afganistanie. W latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych duża ilość noży trafiła do Agencji Mienia Wojskowego, a stamtąd na rynek cywilny. Noże wszystkich partii produkcyjnych były bardzo porządnie wykonane i wykończone tak starannie, jak przedwojenne radomskie bagnety. Walory estetyczne noża były w trakcie służby doceniane, często stawał się on cenną pamiątką. Niewielu żołnierzy służby zasadniczej, przechodząc do rezerwy, nie „zabierało" go ze sobą. Powstawały także specjalne odmiany pamiątkowe lub nagrodowe, z przeróżnymi grawerowanymi na pochwach dedykacjami, niklowane, ze zmienianymi rękojeściami wykonywanymi z przeźroczystego plastiku z zatopioną wewnątrz odznaką spadochronową (co moim zdaniem wyglądało nieco tandetnie w zestawieniu z oryginalnym drewnem).

I na wojnę, i do chleba

Praktyka długoletniej służby dowiodła, że nóż wz.55 to dobra konstrukcja, wszakże pod warunkiem, że użytkownicy znali jego ograniczenia. Był lekkim nożem zaprojektowanym przede wszystkim do walki w zwarciu. Zarzucanie mu, że nie nadaje się do rzutów nie ma sensu, bo to znacznie przekraczało jego możliwości, nie został do tego stworzony, tak jak widelec nie służy do spożywania zupy. Poważnym mankamentem, zwłaszcza w praktyce działań specjalnych, była słaba odporność na korozję wszystkich części metalowych. W warunkach służby garnizonowej nie stanowiło to problemu, ale w przypadku kilkudniowego bytowania w wilgotnym środowisku już tak. Wadą był także brak otworu drenażowego w pochwie, zważywszy na sposób noszenia noża w kieszeni na udzie, co w trakcie każdego głębszego brodzenia kończyło się jego zalaniem, a wodę z pochwy należało wylewać. Narzekano także na zbyt delikatny i podatny na odkształcanie blaszany jelec. Nożem można było za to bez problemu kroić chleb, co przekracza możliwości większości wzorów wojskowych. Wspomniane mankamenty zostały usunięte w opracowanym nożu wz.92 przez chorążego sztabowego z 62. Kompanii Specjalnej Grzegorza Wyrwała oraz inżynierów Emila Pasięka i Jacka Grzybowskiego, popularnie zwanym „Kaesem", ale to już zupełnie inna historia. Nóż wz.55 jest już klasykiem, pełnoprawnym eksponatem kolekcjonerskim, który każdy miłośnik polskiej broni białej powinien docenić. <

Piotr Orman
Przewodnik jurajski, współautor książki „Wielka Wojna na Jurze". Miłośnik broni białej i klasycznych aut terenowych.

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 21

KREW NA ŚNIEGU

TOMASZ BIENEK

W najzimniejszych miesiącach roku – styczniu i lutym – bytowanie na froncie wschodnim II wojny światowej stawało się niemal niemożliwe do wytrzymania.

Głód i mróz dziesiątkowały żołnierzy, którzy nie mieli czym się ogrzać ani gdzie ukryć przed zimnem. Dzień 2 lutego to symbol tych wydarzeń i rocznica hekatomby spowodowanej mrozem i głodem – kapitulacji 6. Armii Wehrmachtu odciętej w stalingradzkim kotle i wyniszczonej bezlitosną zimą.

Stalingrad

W okrążonym Stalingradzie racja chleba wynosiła 100 gramów na żołnierza, czyli dwie kromki. Do tego wydawano kilka filiżanek kawy zbożowej i cienką zupę na obiad. Taka dieta byłaby głodowa nawet w pełni lata, można więc sobie wyobrazić, jak osłabieni byli ludzie żywiący się w ten sposób przy ponad trzydziestostopniowym mrozie. Służby kwatermistrzowskie okrążonej 6 armii zgłaszały oficjalnie przypadki śmierci głodowej już od 17 grudnia 1942 roku. Dziesięć dni później, jeden z okrążonych niemieckich żołnierzy, Wilhelm Hofmann zapisał w swoim pamiętniku: „Zjedliśmy już wszystkie konie. Gotów jestem

www.odkrywca.pl

zjeść kota, powiadają, że jego mięso jest również smaczne".

Lecz choć głód dziesiątkował odciętą armię, znacznie wcześniej dał o sobie znać mróz, skutkujący tysiącami przypadków zamarznięć. Niemieckie instrukcje dotyczące prowadzenia wojny w zimie, przytaczane przez historyka Janusza Piekałkiewicza, stanowią raczej dowód bezsilności niemieckiego dowództwa, które przesyłało suche instrukcje zamiast żywności i odpowiednich mundurów dla skazanych na straszny los dywizji. Jedna z odezw pouczała:

„Początek ogólnego odmrożenia przejawia się uczuciem ociężałości członków. Chód staje się niepewny, pojawia się groźba utraty świadomości. Skóra staje się blada, tętno i oddech ulegają zwolnieniu. Wzmaga się senność. Pomoc (wzajemna obserwacja!) musi zostać udzielona natychmiast. Na zapobieżenie ciężkiemu uszczerbkowi, a nawet śmierci, pozostają tylko minuty".

Szkody wyrządzane przez mróz nie zawsze kończyły się śmiercią. Na innych odcinkach frontu, lepiej odżywieni żołnierze, unikali śmierci, cierpieli jednak w skutek lżejszych odmrożeń.

„Mieliśmy czterech poważnie chorych, cierpiących między innymi na zapalenie płuc – wspomina Guy Sajer, weteran wojsk transportowych. – Nieboracy jęczeli na prowizorycznych łóżkach zainstalowanych w jednym z pojazdów. Nasza kompania miała tylko dwóch pielęgniarzy, którzy nie byli w stanie wiele zdziałać. Prócz tego, czterdziestu kolegów miało odmrożenia. Żołnierze mieli odmrożone nosy, powieki, uszy, a szczególnie ręce. (...) Dwukrotnie udawałem się do ciężarówki kantyniarza, gdzie mieściła się również izba chorych, aby przemyć ręce w dziewięćdziesięcioprocentowym spirytusie. Ból był wówczas tak przenikliwy, że krzyczałem. Po tym zabiegu przez przez kilka chwil ręce wydawały się ciepłe".

Jak w prymitywnych warunkach udzielano pomocy żołnierzom, którzy padli ofiarą mrozu, wyjaśniała kolejna z wojskowych instrukcji. Przytoczmy pochodzący z 1942 roku tekst:

„Aby uratować zaatakowaną przez mróz stopę, w której nie ma już czucia, kiedy nie ma możliwości ogrzania przez umieszczenie w domu lub przy piecu, mamy następujące środki: położyć zaatakowaną przez mróz stopę na brzuchu zdrowego człowieka, albo na gołą skórę, albo na koszulę, dobrze przykryć częściami uniformu, kocem itd. i nacierać. Postępowanie takie jest o wiele skuteczniejsze od zalecanego dawniej nacierania śniegiem, które dziś jest przez wielu ekspertów odrzucane. Jeszcze prostsza jest sytuacja, jeśli w pobliżu znajduje się jakieś świeżo zabite zwierzę: koń, krowa. Zaatakowaną przez mróz stopę wkładamy w ciepłe mięso i krew zabitego zwierzęcia do odtajania. W ciele dużego zwierzęcia zmagazynowana jest spora ilość ciepła, które należy wykorzystać."

Kolejny, dość drastyczny sposób walki z lekkimi odmrożeniami przytacza wspomniany już Guy Sajer:

„Pamiętam jeden upiorny dzień, kiedy zerwał się wiatr i mimo rozkazów i gróźb oficerów porzuciliśmy łopaty i ruszyliśmy w kierunku ciężarówek, poszukując schronienia – snuje swoją przejmującą relację weteran. „Tamtego dnia temperatura spadła do minus trzydziestu siedmiu stopni. Myślałem już, że umrę. Nic nie było w stanie nas rozgrzać. Oddawaliśmy mocz w zgrabiałe ręce, aby chociaż w ten sposób ulżyć dłoniom i – jak sądziliśmy – wypalić liczne pęknięcia skóry na palcach".

By zaradzić takim sytuacjom podczas drugiej rosyjskiej zimy do szeregów Wehrmachtu i Waffen-SS trafiły ogromne ilości specjalnej maści przeciw odmrożeniom – Frostschutzsalbe. Zapotrzebowanie na ten specyfik było ogromne, więc produkcję uruchomiono w rozmaitych koncernach chemicznych i firmach farmaceutycznych. Na front trafiała zarówno maść w okrągłych blaszanych pudełkach jak i aluminiowych tubkach różnej wielkości. Lek ten wydawano żołnierzom indywidualnie, w większe ilości zaopatrywano sanitariuszy i lekarzy. Zbawienne działanie Frostschutzsalbe także opisał po wojnie we wspomnieniach Guy Sajer:

„Wyżej przelatywały wolno eskadry Junkersów-52, kierując się na wschód. Ciepłe posiłki już nas nie rozgrzewały. I znów rany na skutek odmrożeń piekły nas okropnie w ręce. Na szczęście tym razem mieliśmy w konwoju lekarza. Za każdym razem, gdy zatrzymywaliśmy się na posiłek, staliśmy w kolejce przy jego samochodzie w oczekiwaniu na pomoc medyczną. Namaścił mi ręce jakąś tłustą i kojącą maścią, którą miałem utrzymać na dłoniach możliwie jak najdłużej. Mikstura ta >>>

Maść Wehrmachtu przeciw odmrożeniom docierała na front w różnego typu opakowaniach. Widoczne na zdjęciach pudełka posiadają sygnatury Wehrmacht Packung, nie pozostawiające wątpliwości co do przeznaczenia tego produktu.

Zdjęcie dokumentalne przedstawiające rzeźnię polową Wehrmachtu podczas zimy. Zwracają uwagę oprawione tusze wiszące obok ciężarówki oraz kanister do transportu wody z prawej strony pod pojazdem.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

www.odkrywca.pl

>>> uśmierzała ból na rękach wywołany odmrożeniami, a równocześnie chroniła od zimna. Kiedy tylko to było możliwe, trzymałem ręce głęboko w ogromnych kieszeniach płaszcza, uważając, aby maść nie przylepiła się do szorstkiego materiału".

Kolejna z wojskowych instrukcji Wehrmachtu pouczała żołnierzy jak z dostępnych pod ręką środków samemu sporządzić kojące smarowidło wobec braku fabrycznej maści: „Doskonałą ochronę przed spierzchnięciami skóry i udarem słonecznym stanowi sadza zmieszana z odrobiną niesolonego tłuszczu lub nafty. Mimo że nie najlepiej to wygląda, to jednak może doskonale ochronić skórę przed uszkodzeniami przy silnym przeciwnym wietrze i trzaskającym mrozie". Także weterani, w tym cytowany już żołnierz wojsk transportowych Guy Sajer, potwierdzają skuteczność tego typu środków do smarowania.

„Już trzeciego dnia stwierdzono dwa wypadki zapalenia płuc – czytamy w książce »Zapomniany żołnierz«. W następnych dniach zanotowano odmrożenia kończyn i tzw. »hergezogener Brand«. Jest to rodzaj gangreny spowodowanej mrozem, a atakującej najpierw twarz, najbardziej narażoną na mróz, a następnie osłonięte części ciała. Nieboracy cierpiący na tę chorobę skóry musieli nasmarować się tłustą, żółtą maścią, co sprawiało komiczny a zarazem żałosny widok".

W Leningradzie

Podczas mrozów nie tylko żołnierze nie mieli możliwości ogrzania się. Cierpiała też ludność cywilna. Podczas gdy Niemcy przysyłali w miarę możliwości specjalne brykiety Troll (produkowane z miału węglowego z różnymi domieszkami), by oddziały walczące na terenach pozbawionych lasów i innej roślinności, a więc naturalnych źródeł opału, miały czym napalić w polowych piecykach, mieszkańcy Leningradu ogrzewali się, paląc meble, książki, kawałki futryn... To właśnie w odciętej sowieckiej metropolii cywile umierali zimą setkami tysięcy, a w tym samym czasie pod Stalingradem zamarzała 6.

O wielkim szczęściu mogli mówić ci niemieccy żołnierze, którzy spędzali rosyjskie zimy w miastach i mieli dostęp do elektryczności, a było ich sporo. Wszelkiego rodzaju służby tyłowe, zaopatrzeniowe, techniczne i medyczne wraz z całą masą formacji policyjnych i pomocniczych tworzyły „drugą armię", która choć nie narażona na kule wroga, też prowadziła swoją walkę z mrozem. Na zdjęciu porcelitowa grzałka firmy AEG z gniazdkiem do przedłużacza. Takim grzejnikiem można było ogrzać dłonie czy stopy lub ocieplić płaszcz czy bluzę przed założeniem. Cylinder nosi dodatkowo sygnaturę D.R.G.M.

Kolejny benzynowy grzejnik – Katalyscher Heizapparat D.R.P., który trafiał na front wschodni.

Niemiecki piecyk na benzynę z 1943 roku.

armia. W Leningradzie już w październiku 1941 roku skończyły się zapasy opału w elektrowniach, odcięto więc dostawy energii elektrycznej. Lichej jakości chleb, wydawany oblężonym w niewielkich porcjach, produkowano ze sporymi dodatkami paszy z wytłoków bawełnianych lub przetworzonej celulozy ze strużyn sosnowych. Obrońcy miasta jedli mydło, papier, klej do tapet. Polowano na psy, koty i szczury, zdarzały się także przypadki kanibalizmu. Bilans obrony Leningradu to półtora miliona ofiar, z których większość pochłonął głód i mróz.

W Generalnej Guberni

W strasznych realiach hitlerowskiej okupacji, przeżycie zimy było trudnym wyczynem dla polskiej ludności w Generalnej Guberni. Na pierwszym miejscu wśród poszukiwanych towarów był opał; dodajmy, iż kilkunastostopniowy mróz w Warszawie był czymś normalnym podczas zimy. Nędza spowodowana wojną oraz wojenne ograniczenia gospodarki III Rzeszy powodowały, iż podczas zdobywania opału – najczęściej w postaci kradzieży z wojskowych składów – warszawiacy ryzykowali życiem. Historyk Tomasz Szarota w swojej genialnej pracy „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" zwraca uwagę, że bardzo często procederem tym zajmowały się kilkunastoletnie dzieci, często jedyni żywiciele rodzin. Wielu młodych warszawiaków zapłaciło życiem za próby pozyskania drewna, węgla czy brykietów ze stojących na bocznicach wagonów i zostało zastrzelonych przez pilnujących składów funkcjonariuszy Bahnschutzu (zbrojnej formacji do ochrony szlaków kolejowych). W książce Tomasza Szaroty czytamy:

„O godz. 8.40 policjant Bojraszewski podczas służby przy transporcie węgla użył broni przeciwko kilku osobom, które usiłowały kraść węgiel, przy czym ciężko zranił dwóch złodziei: Michalskiego Zbigniewa, lat 15, i Świstowskiego Józefa, lat 14, (...). O godz. 13 przy ul. Górczewskiej 49 został zastrzelony przez Bahnschutza Mróz Eugeniusz, lat 12, za kradzież drzewa z wagonu".

„Śmierć dzieci zabijanych przy kradzieży węgla lub drzewa w rejonie dworców warszawskich była zjawiskiem bardzo częstym. Bodajże najgorszą sławę zyskał sobie Bahnschutz Schmaltz, zwany »Panienką« (z posterunku przy Dworcu Zachodnim), zlikwidowany przez oddział dyspozycyjny warszawskiego Kedywu 3 marca 1944 roku – relacjonuje Tomasz Szarota".

W poszukiwaniu opału mieszkańcy Warszawy zaczęli wycinać drzewa w parkach i na ulicach, wyjmowano sztachety z płotów, organizowano nawet nocne wyprawy do podwarszawskich lasów w celu pozyskania opału zarówno na własne potrzeby jak i na sprzedaż. Proceder ten osiągnął taką skalę, iż o zaprzestanie wycinki drzew na Pra- >>>

Reklamowy folder firmy Katalyt. Choć benzynowe grzejniki komercyjnej produkcji przeznaczone były pierwotnie do ogrzewania samochodów, podczas wojny pomagały niemieckim żołnierzom przetrwać zimę w Rosji i nie tylko (sam grzejnik pokazaliśmy w poprzednim odcinku naszego cyklu). Zwracają uwagę różnorodne modele „słońca w zimie" pokazane w folderze.

www.odkrywca.pl

>>> dze, Mokotowie czy Kabatach apelowała nawet konspiracyjna prasa. Katastrofalne położenie mieszkańców Warszawy w zimie pogarszał jeszcze fakt, iż w związku z wojennymi oszczędnościami Niemcy bardzo często wyłączali prąd, nieraz na wiele dni.

Opał w postaci węgla był dla Polaków niemal niedostępny ze względu na cenę. Tona węgla w 1940 roku kosztowała 300 zł, co równało się miesięcznej pensji urzędnika. W składach opału można było kupić nieco mniejsze ilości, jednak po znacznie zawyżonej cenie – np. 100 kg za 50 zł. Sytuację w obrocie materiałami opałowymi ratowali poniekąd chłopi z podwarszawskich wsi, którzy wozami przywozili na sprzedaż drewno sosnowe i brzozowe oraz torf.

Władze okupacyjne ograniczały też zużycie gazu. Przy niskich dostawach płomień w palnikach kuchenek był bardzo nikły, jednak zaradni warszawiacy znaleźli na to sposób. Po wykręceniu „gazomierza" w palniku z dyszy buchał jasny i wysoki płomień, na którym nie tylko można było komfortowo gotować, ale i ogrzać kuchnię. Ogłoszenia monterów, oferujących takie modyfikacje kuchenek gazowych, ukazywały się nawet w oficjalnej, gadzinowej prasie. Nauczono się też podłączać piecyki i grzejniki elektryczne tak, by liczniki prądu nie wykazywały dodatkowego zużycia energii. Zimą z 1942 na 1943 rok Niemcy wydali zakaz stosowania elektrycznych urządzeń grzewczych, zalecenie to pozostało jednak jedynie martwym przepisem, którego nikt nie zamierzał respektować.

Higiena zimą

Tymczasem na froncie kolejną trudnością, wynikającą z dokuczliwej zimy, była niemożliwość przeprowadzenia najprostszych zabiegów higienicznych, o kąpieli nie wspominając. Choć w porównaniu z zamarznięciem na śmierć wydaje się to być błahy problem, jednak ciągłe przebywanie w brudzie i niemoż-

KLOPSY Z KONI

Od samego początku wojen oczy zdesperowanych i wygłodniałych żołnierzy podczas niejednej zimowej batalii kierowały się w stronę równie zabiedzonych koni pociągowych, jednak to Stalingrad sprawił, iż ubój tych zwierząt stał się symbolem desperackich prób wyżywienia odciętych wojsk. W kotle w pierwszej kolejności pod nóż poszły wychudzone konie rumuńskiej 1 Dywizji Kawalerii, potem przyszła kolej na zwierzęta z niemieckich kolumn taborowych i artylerii o ciągu konnym. Należy dodać, iż zwierzęta cierpiały na mrozie tak samo jak ludzie, i tak samo głodowały – na pokrytym lodem stepie nie mogły skubać trawy, a dostawy słomy czy owsa skończyły się wraz z okrążeniem. Jako ciekawostkę z drugiej strony frontu należy wspomnieć, iż Amerykanie, wiedząc o sporej ilości koni w szeregach Armii Czerwonej, w ramach pomocy Lend Lease dostarczali do ZSRR tony prasowanego siana dla radzieckich koni. Tymczasem w okrążonym Stalingradzie konie zarzynano tysiącami. Na potrzeby kuchni polowych 6. Armii zabito łącznie 52 tysiące koni, niemal wszystkie zwierzęta jakimi dysponowało okrążone zgrupowanie. Z ich mięsa przyrządzano tzw. „tradycyjne kłopsiki królewieckie z koniny". Przepis na tę potrawę brzmiał: „mięso pociąć na kawałeczki, doprawić do smaku solą, pieprzem i majerankiem i przepuścić przez maszynkę. Rozetrzeć rękami na deseczce i ugnieść, dodając po trochę zimnego wywaru lub wody. Z masy mięsnej formować kłopsiki, zagotować, a następnie zostawić, żeby dochodziły przez 15 minut. Z wywaru i zasmażki zrobić biały sos, doprawić do smaku octem" (Warme Sonderkost, Weihnachten 1942, Stalingrad). Na makabrycznych zdjęciach, zrobionych przez radzieckich reporterów wojennych w opuszczonym zaraz po kapitulacji mieście, oprócz szeregów unieruchomionych przez zimę motocykli i samochodów oraz stosów zamarzniętych zwłok, widać też pryzmy odrąbanych podkutych końskich kopyt, zalegające w miejscach postoju kuchni polowych.

Wartownicze buty wz. 42, których równie często używano jako obuwia marszowego, nakładano na właściwe buty. Wnętrze tych masywnych buciorów żołnierz mógł dodatkowo ocieplić słomą, szmatami, papierem...
Obok:
Druga wersja butów wartowniczych wz. 42; zapinana z tyłu.

Para długich rękawic przeznaczonych na najcięższe mrozy. Najprawdopodobniej rękawice pokazane na zdjęciu zostały wyprodukowane na potrzeby naziemnych oddziałów Luftwaffe.

ność umycia się było nie tylko męczące, ale sprzyjało chorobom roznoszonym przez wszy, odwiecznego wroga żołnierzy.

„Ponieważ mieliśmy tylko dwa komplety munduru, praliśmy nasze rzeczy, gdy tylko umożliwiała to sytuacja na froncie – wspomina walczący pod Leningradem William Lubbeck. – Nosząc te same ubrania i bieliznę przez dwa lub trzy tygodnie bez przerwy, żołnierze byli niemal zawsze pokryci swędzącymi ugryzieniami wszechobecnych wszy, nawet podczas zimowych mrozów. Czuło się je i widziało, jak łażą po ciele. Zdejmowaliśmy koszulki, by je pozabijać, nigdy jednak nie udawało się pozbyć ich całkowicie.

W czasie najgorszych mrozów brak szans na wykąpanie się i zmianę zabrudzonej do granic możliwości odzieży był tym dotkliwszy, iż żołnierze na pierwszej linii, nawet dysponujący porządnym zimowym umundurowaniem, przebywając przez całą dobę w zamarzniętych okopach z reguły oddawali mocz w spodnie, nie chcąc narażać się na odmrożenie odsłoniętych choćby na chwilę genitaliów. Świadome tych problemów służby kwatermistrzowskie starały się budować na tyłach bazy z łaźniami i pomieszczeniami do odwszawiania, połączone z kuchniami oraz izbami do odpoczynku, gdzie zluzowane z pierwszej linii oddziały mogły zakosztować wymarzonej kąpieli. Idealnymi miejscami na tworzenie takich ośrodków były ocalałe budynki, zdarzało się też, że całe wsie, opuszczone przez ludność cywilną zamieniano na tego rodzaju koszary-noclegownie, lub – o ile dowiezione zostały materiały budowlane, głównie drewno – bazy takie wznoszono od podstaw.

Ulgę i rozkosz, jaką przynosiła gorąca kąpiel po całych tygodniach przebywania na mrozie i w brudzie, opisał w swoich wspomnieniach Guy Sajer:

„Wszystkim, co wpada nam pod rękę, rozpalamy ogniska raźnie płonące w tym odnalezionym raju. Dwie godziny po przyjeździe w każdej kwaterze zdążono już roztopić całe metry sześcienne śniegu, dzięki czemu mamy hektolitry ciepłej wody. Wszyscy rozbierają się na golasa, błogosławioną wodą zmywając na wyścigi przylegające do ciała warstwy brudu. Pierzemy spodnie, cuchnącą bieliznę, koszule, bluzy. Robimy to wszystko z gorączkowym pośpiechem graniczącym z paniką. Raj na ziemi pewno wkrótce się skończy i każdy stara się maksymalnie wykorzystać czas. Jakiś chytrus zgarnia nawet całą kasetkę luksusowych mydełek toaletowych. Radości jest co niemiara. Po kolei, z zegarkiem w ręku, chłopaki zaliczają pachnącą kąpiel w piance. Z naczyń bryzga woda, zalewając dużą izbę. Wszy toną w pachnącym płynie. Nie ma mowy, aby ktoś wystawił nos na zewnątrz. Jest trzydzieści stopni poniżej zera".

CDN. <

Tomasz Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

LITERATURA I ŹRÓDŁA:

ANTHONY BEEVOR **„Stalingrad"**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2015

WILLIAM LUBBECK **„U bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza Grupy Armii Północ"**, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009

JANUSZ PIEKAŁKIEWICZ **„Stalingrad. Anatomia bitwy"**, Agencja Wydawnicza Morex Warszawa 1995

GUY SAJER **„Zapomniany żołnierz"**, Wydawnictwo L&L Gdańsk 2001

TOMASZ SZAROTA **„Okupowanej Warszawy dzień powszedni"**, Czytelnik, Warszawa 1978

Rewelacyjny przedmiot, który stanowił obiekt pożądania niejednego niemieckiego żołnierza na froncie wschodnim – benzynowy ogrzewacz do rąk. Na palnik nakręcano dziurkowaną nasadkę, która chroniła przed poparzeniem dłonie i zabezpieczała płomień przed przypadkowym zgaszeniem. Ogrzewacz sygnowany jest D.R.G.M.

fot. Tomasz Bienek

RADZIECKA

JACEK JAROSZ

Wkrótce po zajęciu Litwy, Łotwy i Estonii w czerwcu 1940 roku, Związek Radziecki rozpoczął na ich obszarze budowę systemu obrony nadbrzeżnej, między innymi stawiając szereg baterii artyleryjskich.

Schron – stanowisko nr 1 działa kalibru 152 mm typu MU-2.

W połowie następnego roku na terenie Łotwy znajdowały się już następujące baterie stałe: nr 23 (4 x I – 130 mm na północ od Lipawy), nr 27 (4 x I – 130 mm na południe od Lipawy), nr 40 (4 x I – 130 mm w Lūžņi) i nr 46 (4 x I – 130 mm na południe od Ventspilsu, czyli Windawy). Ulokowano tam również baterię kolejową[1] nr 18 (4 x I – 180 mm w Lipawie) oraz tak zwaną baterię czasową[2] (4 x I – 130 mm w Olmani). Po ataku wojsk III Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 roku i wobec ich szybkich postępów, część z tych baterii zostało przez Rosjan wysadzonych w powietrze, aby nie dostały się w ręce wroga.

Wejście do schronu – stanowiska działa 152 mm, w tle żelbetowa kopuła bojowa.

Kocioł Kurlandzki

Po zajęciu Kurlandii przez jednostki niemieckie, także przez nie stopniowo zaczęła być rozbudowywana struktura umocnień brzegowych. Szczególnie tereny te umacniane były już pod koniec wojny, wobec spodziewanego od strony morza radzieckiego desantu. Od stycznia do maja 1945 roku w tak zwanym „Kotle Kurlandzkim" znajdowała się duża grupa wojsk niemieckich, po których później pozostało sporo różnego rodzaju schronów, ziemianek, okopów, zasieków itp. Po ponownym zajęciu tego terenu przez Związek Radziecki po raz kolejny rozpoczęto opracowywanie systemu obrony nadbrzeżnej. Po obu stronach Cieśniny Irbeńskiej Rosjanie szybko postanowili odtworzyć baterie artylerii, które miały bronić dostępu do Zatoki Ryskiej. Na łotewskim brzegu, w okolicach przysiółka Olmani (późniejsza Krasnoflotskaja, między miejscowościami Mikeltornis i Lielirbe) zaplanowano ustawienie baterii armat kalibru 152 mm, której przydzielono numer 456.

Ponieważ wkrótce po zakończeniu działań wojennych w tym rejonie brakowało nowych armat tego kalibru, postanowiono sięgnąć do składów uzbrojenia ze starszymi konstrukcjami.

fot. Jacek Jarosz

www.odkrywca.pl

BATERIA NR 456

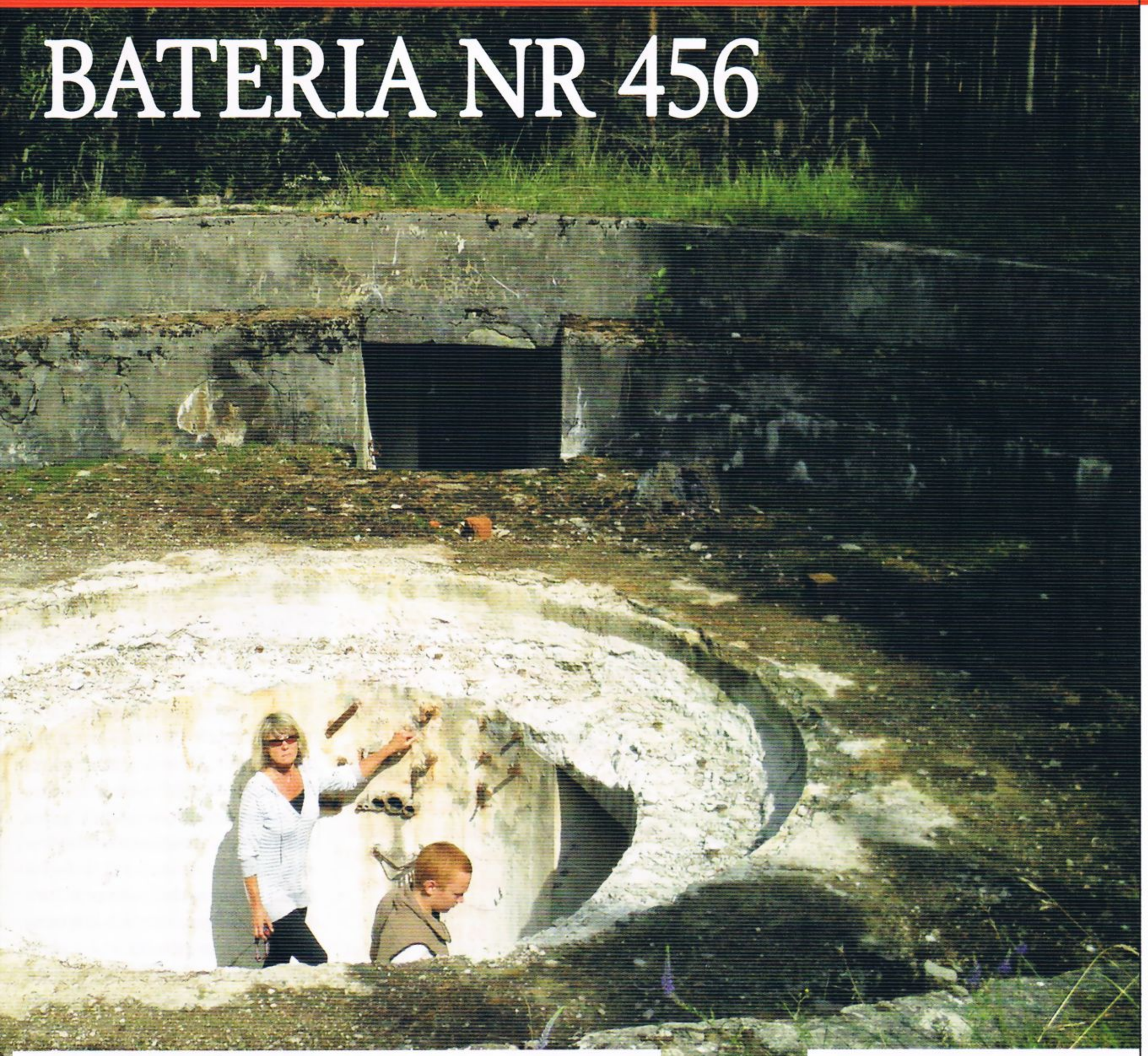

Armaty systemu Canet

Na stanowiskach bojowych baterii ustawiono więc cztery pojedyncze, pochodzące jeszcze z końca XIX wieku armaty francuskiego systemu Canet. Produkowane we Francji od roku 1892 działa te trzy lata później na swoje uzbrojenie przyjęła także carska Rosja. Od 1897 roku rozpoczęto ich licencyjną produkcję w Zakładach Obuchowskich w St.Petersburgu oraz niedługo potem w Permie. W tych pierwszych do roku 1901 wyprodukowanych zostało 135 armat systemu Canet, w tych drugich zaś – do 1900 wytworzono ich 37. Wkrótce armata ta stała się najszerzej stosowanym działem średniego kalibru w rosyjskiej flocie i bateriach artylerii nadbrzeżnej. Używano jej stosunkowo długo, gdyż 22 czerwca 1941 roku we flocie radzieckiej znajdowało się ich jeszcze 196 sztuk (razem z egzemplarzami zakupionymi przed rozpoczęciem produkcji licencyjnej). Armata 152 mm o długości lufy 45 kalibrów (L 45) miała długość 6,8 m i masę 5700 kg, przy czym wraz z podstawą ważyła około 20 000 kg. Pocisk o masie 41,5 kg mógł dolecieć na maksymalną odległość 22 000 m. Ustawione w Krasnofłotskoj armaty zostały wyprodukowane w roku 1898 w Permie. Z pewnością ciekawostką były dwugłowe carskie orły znajdujące się na działach sowieckiej baterii. Do kierowania ogniem armat baterii zastosowano ustawiony na drewnianej wieży dalmierz o bazie 6-metrowej. Już po wejściu do służby, w ciągu każdego kolejnego roku eksploatacji bateria wykonywała od trzech do czterech strzelań bojowych.

Nowe działa

Z oczywistych względów stare armaty systemu Canet nie spełniały już wymagań ówczesnego pola walki, toteż od początku lat 50. XX wieku zaczęto opracowywać plany budowy >>>

www.odkrywca.pl

>>> nowej baterii, także kalibru 152 mm. Tym razem na stanowiskach postanowiono ustawić zdecydowanie nowocześniejsze armaty typu MU-2 o długości luf 57 kalibrów (L 57). Prace nad nowym działem rozpoczęły się jeszcze w marcu 1939 roku. Generalnie miało ono mieć lufę i podstawowe osiągi balistyczne podobne do armaty kalibru 152 mm typu B-38, którą zaplanowano ustawić w trzylufowych wieżach typu MK-5 na nowych lekkich krążownikach typu „Czapajew" (projekt 68)[3]. Próbne strzelania z nowej armaty odbyły się 26 czerwca i od 4 do 11 lipca 1941 roku na poligonie pod Leningradem. Po ataku Wehrmachtu na ZSRR prace wstrzymano, po czym, kiedy sytuacja na froncie stała się korzystniejsza dla wojsk sowieckich, powrócono do nich w 1944 roku. Po otrzymaniu pozytywnej opinii na temat działa rozpoczęła się jego produkcja seryjna, którą prowadzono w latach 1945-1955. W sumie wyprodukowano 82 armaty typu MU-2[4].

Nowa armata mogła oddawać od pięciu do ośmiu wystrzałów na minutę. Jej pocisk mógł dolecieć na maksymalną odległość około 29 000 m, natomiast donośność skuteczna sięgała około 23 000 m. Pociski – przeciwpancerny, półpancerny i odłamkowo-burzący miały masę po 55 kg, natomiast oświetlający – 48,5 kg. Ładunek miotający dochodził do 24 kg. Prędkość początkowa pocisku wynosiła 950 m/s, natomiast żywotność lufy oceniano na 450 wystrzałów. Zakres prowadzenia ognia w płaszczyźnie poziomej sięgał 360°, natomiast w pionowej od -2 do +40°. Całkowita masa armaty wraz z podstawą wynosiła około 50 000 kg, jednak bez pancerza ochronnego i mechanizmów ładowania było to od 28 000 do 30 000 kg. Grubość pancerza w przedniej części maski ochronnej dochodziła do 50 mm, natomiast z boków – do 25 mm. Obsługa działa składała się z 19-20 osób. Armaty były produkowane w leningradzkich Zakładach nr 232 „Bolszewik" (dawne Zakłady Obuchowskie).

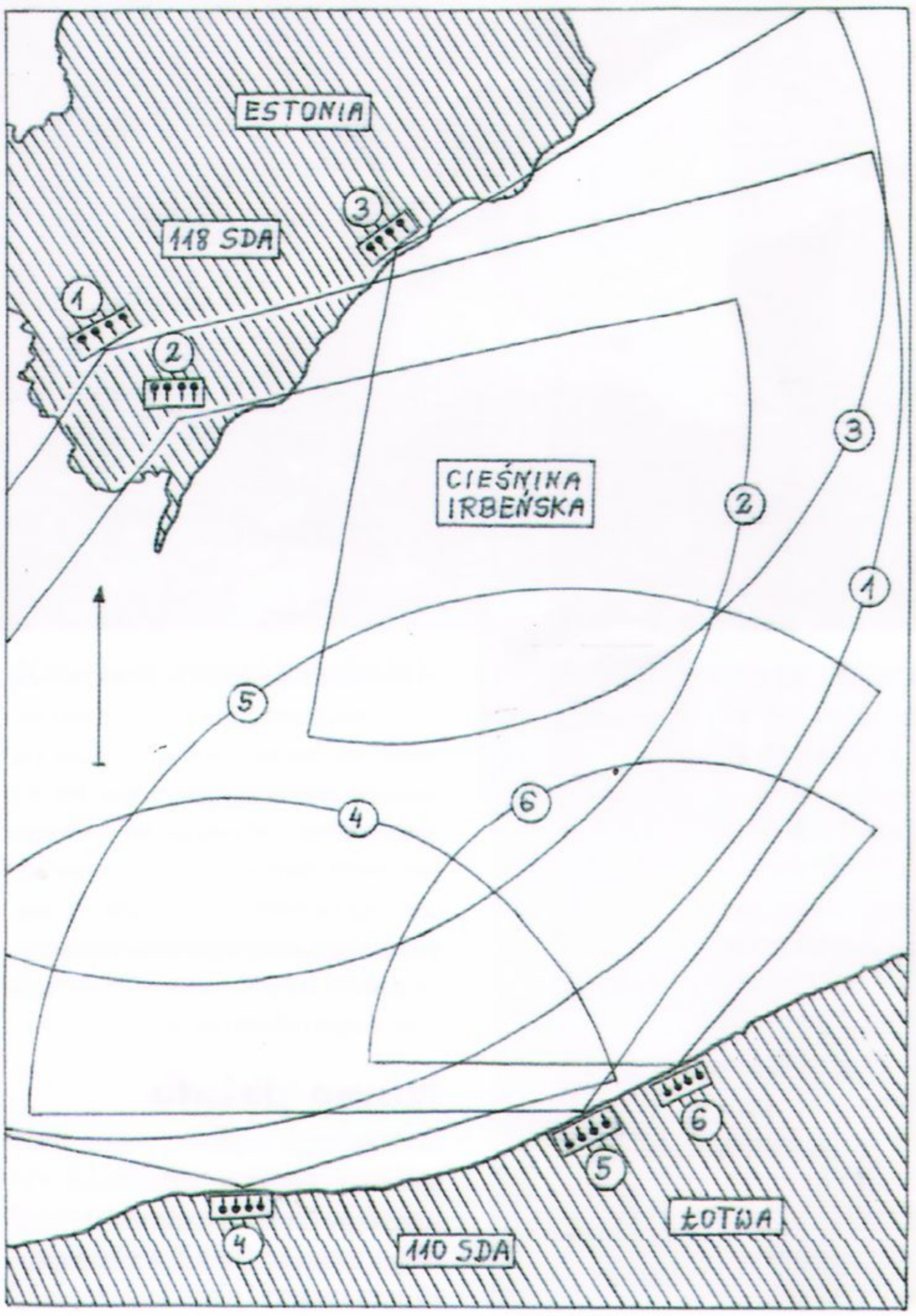

Rozmieszczenie radzieckich baterii artylerii nadbrzeżnej po obu stronach Cieśniny Irbeńskiej – połowa lat 50. Samodzielne Dywizjony Artylerii (SDA) – 110 i 118.
1. bateria nr 470 (4 x I – 180 mm) o donośności 36 000 m
2. bateria nr 87 (4 x I – 152 mm) o donośności 29 000 m
3. bateria nr 343 (4 x I – 130 mm) o donośności 25 500 m
4. bateria nr 133 (4 x I – 130 mm) o donośności 25 500 m
5. bateria nr 456 (4 x I – 152 mm) o donośności 29 000 m
6. bateria nr 306 (4 x I – 100 mm) o donośności 22 400 m.

20 000 000 rubli

Nad Morzem Bałtyckim ustawiono w sumie pięć baterii uzbrojonych w armaty typu MU-2. Dwie z nich usytuowane były w rejonie Leningradu, dwie po obu stronach Cieśniny Irbeńskiej (nr 87 na estońskim półwyspie Sörve i nr 456 na brzegu łotewskim w Kurlandii) oraz jedna w Polsce (3. Bateria Artylerii Stałej[5] na Półwyspie Helskim). Nowe armaty baterii nr 456 miały zostać ustawione w pewnej odległości po prawej stronie od starych stanowisk armat systemu Canet, które przeznaczono do likwidacji. W 1952 roku do Krasnofłotskoj przybył początkowo jeden, wkrótce zaś drugi batalion budowlany[6]. Każdy z nich liczył około 500 ludzi, w tym siedmiu oficerów. Batalion składał się z czterech kompanii, każda po trzy plutony oraz z plutonu gospodarczego, sztabu, sekretariatu i zespołu medycznego. Od stacji kolejowej w Krasnofłotskoj na teren baterii poprowadzono kolejkę wąskotorową o rozstawie szyn wynoszącym 60 cm, którą dowożono materiały budowlane oraz następnie same armaty[7] do montażu na stanowiskach. Później drogą tą dostarczano także amunicję i niezbędne zaopatrzenie[8]. Koszt wybudowania baterii sięgał kwoty około 20 000 000 rubli (według kursu z 1939 roku).

Bateria nr 456

Weszła do służby w roku 1955. Składała się z czterech schronów-stanowisk bojowych (patrząc od tyłu od lewej – nr 1, 2, 3 i 4), schronu dowodzenia wraz z wieżą kierowania ogniem, schronu elektrowni, zbiornika prze-

rys. Jacek Jarosz wg J.Melkonowa, fot. Jacek Jarosz

www.odkrywca.pl

Wieża kierowania ogniem.

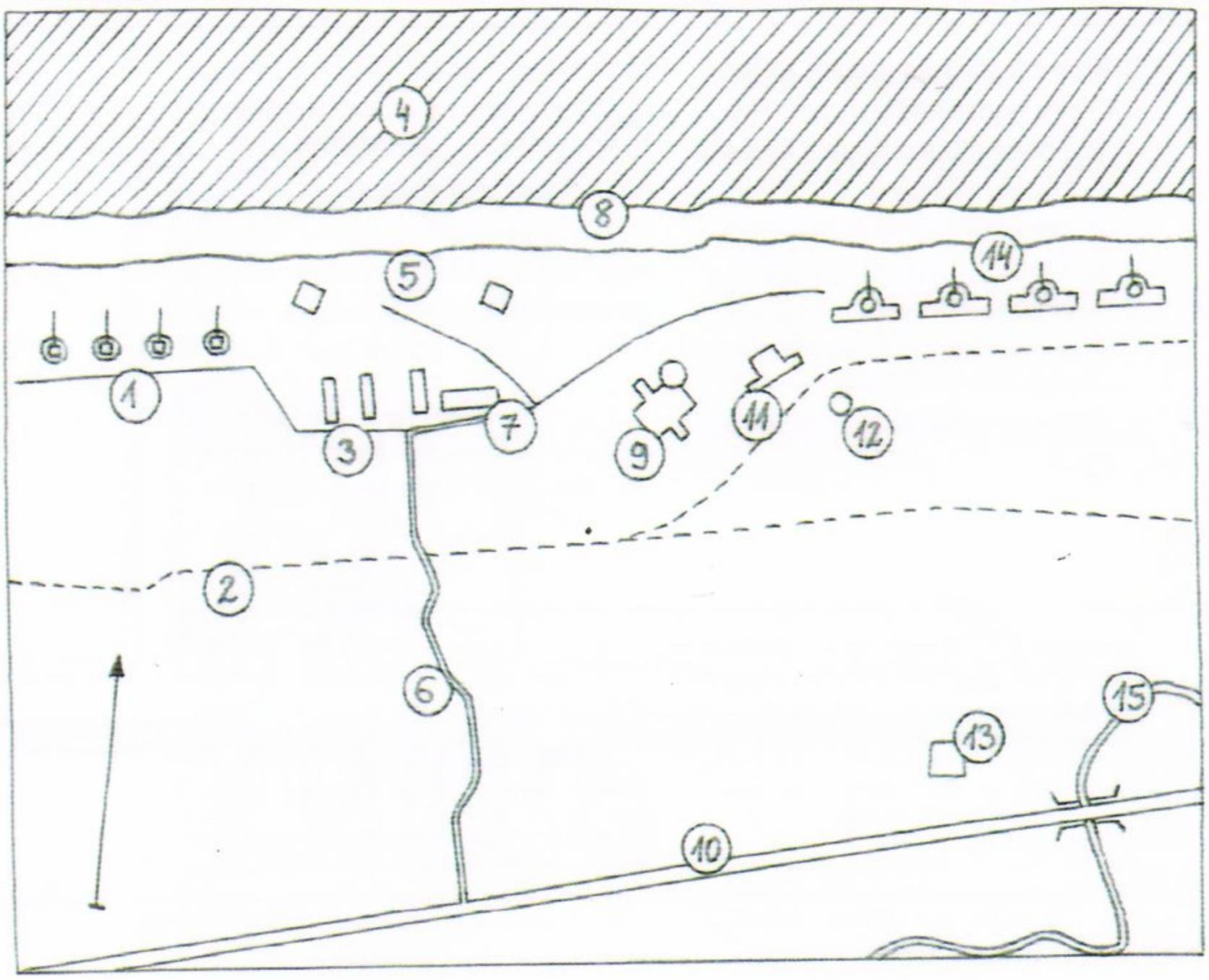

Rozmieszczenie podstawowych obiektów baterii nr 456.

1. bateria armat kalibru 152 mm typu Canet
2. przebieg trasy kolejki wąskotorowej
3. domy rodzin oficerów i lazaret
4. wody Cieśniny Irbeńskiej
5. stanowiska rakiet przeciwlotniczych kompleksu typu S-125
6. droga dojazdowa do baterii
7. koszary
8. linia wydm
9. schron dowodzenia z wieżą kierowania ogniem
10. droga P 124 Ventspils-Kolka
11. schron elektrowni
12. zbiornik przeciwpożarowy
13. placówka straży granicznej
14. bateria armat kalibru 152 mm typu MU-2
15. rzeka Irbe

ciwpożarowego, dwóch budynków dla rodzin oficerów, lazaretu i koszar dla załogi. Do wybudowania każdego ze schronów-stanowisk bojowych zużyto ponad 2000 m³ betonu. Schron dowodzenia, schron elektrowni i zbiornik przeciwpożarowy znajdowały się na lewym skrzydle stanowisk bojowych. Między tymi obiektami, a stanowiskami armat typu Canet usytuowane były budynki zaplecza socjalnego baterii. Schron dowodzenia i schron elektrowni, podobnie jak schrony-stanowiska bojowe dział, posiadały stanowiska obronne w kopułach, toteż określano je także jako stanowiska bojowe baterii, odpowiednio dając im numery 5 i 6. Stanowisko dowodzenia mające własną siłownię, zostało wybudowane na pozostałościach baterii z roku 1940. Na wieży kierowania ogniem znajdowały się urządzenia niezbędne do skutecznego prowadzenia ognia – dalmierz i dalocelownik. Zbiornik przeciwpożarowy mógł pomieścić 50 m³ wody. Każdy ze schronów-stanowisk armat, schron dowodzenia i schron elektrowni posiadały po dwie służące do obrony własnej betonowe 5-strzelnicowe kopuły bojowe, z których można było prowadzić ogień z broni maszynowej i ręcznej.

Strzelania nocne baterii zabezpieczały ustawione na platformach samochodów ciężarowych reflektory. W okolicy baterii znajdował się rozbudowany system obrony przeciwdesantowej – okopy, stanowiska strzeleckie, zasieki itp. Od strony lądu baterię ochraniała także placówka straży granicznej, usytuowana w pobliżu brzegu rzeki Irbe. Po wejściu do służby nowej baterii rozpoczęto demontaż starych armat systemu Canet, które zostały przewiezione do składów uzbrojenia w Ventspilsie. Obsadę baterii stanowiło z reguły od pięciu do siedmiu oficerów oraz około 120 podoficerów i marynarzy. Już pierwsze strzelania baterii dały dobre rezultaty – na dwanaście wystrzelonych salw w rejon celu trafiło jedenaście. Strzelania bojowe bateria odbywała zwykle na jesień, po zakończeniu okresu szkoleniowego. Najczęściej w ich czasie oddawanych było dwanaście pełnych salw, czyli wystrzeliwano 48 pocisków. Podczas ostrych strzelań Cieśnina Irbeńska była całkowicie zamknięta dla żeglugi. Do walki z mniejszymi jednostkami pływającymi, po prawej stronie baterii nr 456 i po zachodniej stronie ujścia rzeki Irbe (między miejscowościami Lielirbe i Sikrags), ulokowano składającą się z czterech pojedynczych armat kalibru 100 mm typu B-34 baterię czasową nr 306.

Te dwie baterie, wraz ze znajdującą się na wschód od miejscowości Lūžņa (na wschód od ujścia rzeki Lūžņa) baterią nr 133[9], mającą na swoim uzbrojeniu cztery poje- >>>

www.odkrywca.pl

Schron-stanowisko armaty kalibru 152 mm typu MU-2.
1. 5-strzelnicowa kopuła bojowa
2. luk wentylacyjny
3. żelbetowe stanowisko działa
4. armata 152 mm typu MU-2
5. wyjście awaryjne
6. podajnik ładunków miotających
7. podajnik pocisków
8. magazyn ładunków miotających
9. magazyn pocisków
10. butle ze sprężonym powietrzem
11. magazyn węgla
12. kotłownia
13. pomieszczenie urządzeń wentylacyjnych
14. pomieszczenie dowódcy armaty
15. pomieszczenie obsługi armaty
16. toalety
17. wejście do obiektu

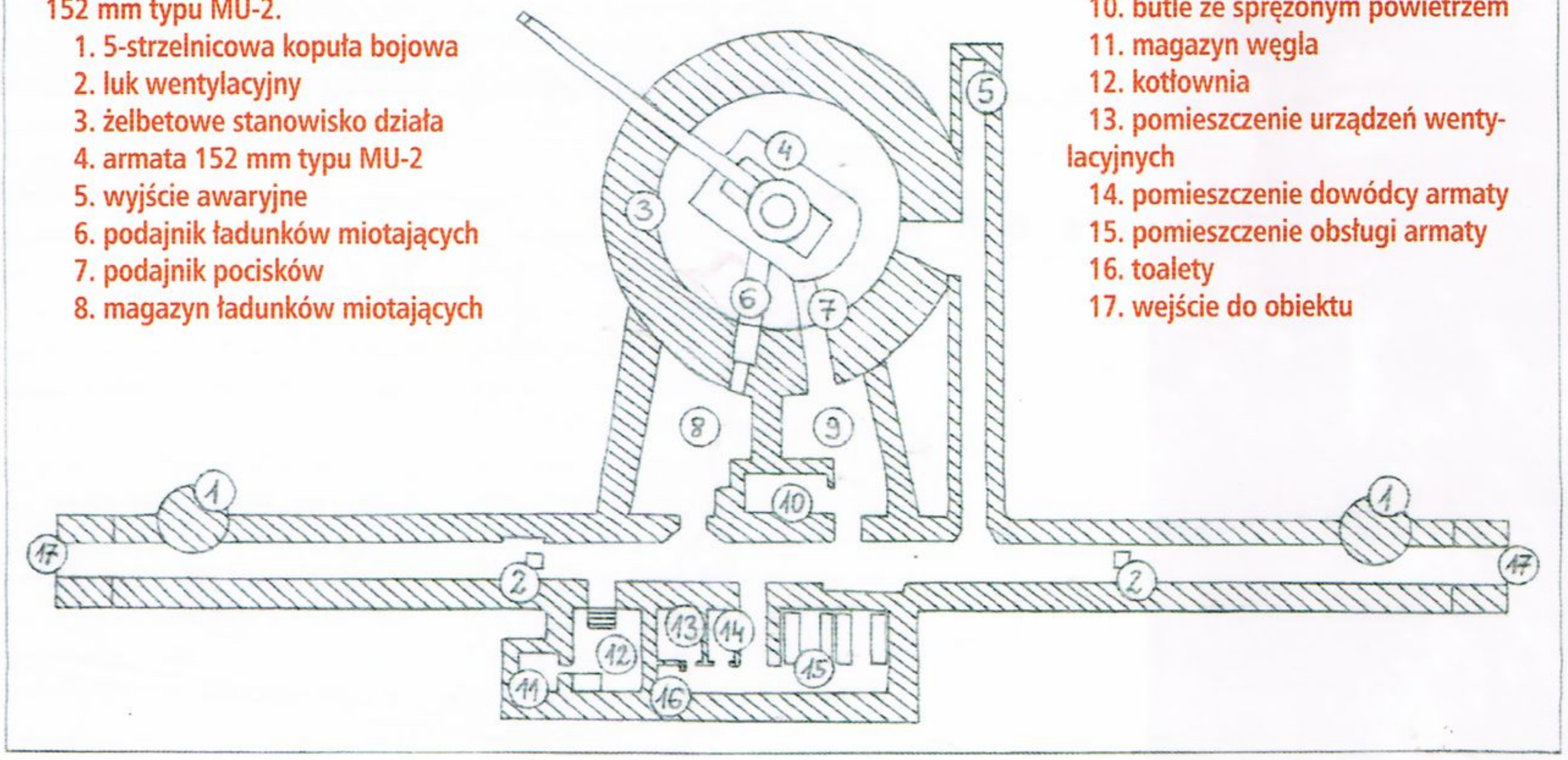

>>> dyncze armaty kalibru 130 mm typu B-13, wchodziły w połowie lat 50. w skład broniącego Cieśniny Irbeńskiej od południa 110 Samodzielnego Dywizjonu Artylerii (SDA)[10]. Od północy natomiast cieśniny tej bronił 118 SDA, w skład którego wchodziły baterie: nr 470 (4 x I – 180 mm typu MB-2), nr 87 (4 x I – 152 mm typu MU-2) i nr 343 (4 x I – 130 mm typu B-13). Generalnie armaty kalibrów 152 mm i 180 mm miały służyć do zwalczania krążowników, kalibru 130 mm – niszczycieli, a kalibru 100 mm – mniejszych okrętów, na przykład kutrów torpedowych czy też trałowców. Do roku 1956 w powyższych bateriach w czynnej służbie znajdowały się po cztery armaty, natomiast później każde czwarte działo było wycofywane z eksploatacji i konserwowane. Jednocześnie odpowiednio zmniejszał się stan załogi każdej z baterii. W roku 1958 rozpoczęto demontaż baterii nr 133. Jej armaty zostały przewiezione do Ventspilsu, a następnie na Daleki Wschód. Po likwidacji baterii w Lūžņi na jej miejsce weszła bateria nr 343 (cztery mobilne pojedyncze armaty kalibru 130 mm typu SM-4-1). Numer ten bateria przejęła po także rozformowanej baterii dział kalibru 130 mm ze 118 SDA z półwyspu Sörve. Armaty typu SM-4-1 pozostawały w służbie do początku lat 60., zaś po rozformowaniu baterii sprzedano je do Egiptu. Po likwidacji baterii nr 306, z całego 110 SDA pozostała tylko bateria nr 456, która znajdowała się w reżimie bojowym do końca roku 1975.

Bunt na Storożewoj

Ostatni raz alarm bojowy w tej ostatniej baterii ogłoszono 9 listopada 1975 roku, podczas buntu załogi na nowej fregacie rakietowej Floty Bałtyckiej „Storożewoj”[11]. Dwa dni wcześniej, dla uświetnienia obchodów 58 rocznicy wybuchu rewolucji październikowej, jednostka ta weszła do Rygi. W nocy 8 listopada załoga pod kierownictwem zastępcy dowódcy okrętu do spraw politycznych – kapitana III rangi Walerego M. Sablina opanowała fregatę i wyszła z ryskiego portu z zamiarem dotarcia do Leningradu. „Storożewoj” skierował się w stronę wyjścia z Zatoki Ryskiej, czyli do Cieśniny Irbeńskiej.

Główne uzbrojenie baterii – armata kalibru 152 mm typu MU-2, ta znajdująca się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Stan gotowości

Według planów buntowników okręt miał zacumować obok stojącego na Newie legendarnego krążownika „Aurora”, a Sablin chciał wygłosić w telewizji apelu do narodu, w którym miał potępić politykę ówczesnych władz Związku Radzieckiego i postulować powrót do idei marksistowsko-leninowskich. Dowództwo Floty Bałtyckiej postanowiło jak najszybciej odzyskać kontrolę nad zbuntowaną jednostką. Z Lipawy wyszły kutry torpedowe, a z lotniska w łotewskiej miejscowości Tukums wystartowały samoloty. W stan pogotowia postawiona została także bateria nr 456. Na fregatę przekazano

rys. Jacek Jarosz wg I Melkonowa, fot. Jacek Jarosz

www.odkrywca.pl

informację ze sztabu floty, że z pewnością nie zostanie ona przepuszczona przez Cieśninę Irbeńską. Bateria nie musiała jednak otwierać ognia, gdyż „Storożewoj" wcześniej został zatrzymany w wyniku ataku lotnictwa i następnie abordażu. Buntownicy zostali aresztowani, a okręt zawrócił do bazy. Cała sprawa była niesłychanie bulwersująca dla kierownictwa radzieckiego, a na Sablinie 3 sierpnia 1976 roku wykonano karę śmierci.

Epizod kubański

Po roku 1975 armaty baterii nr 456 zostały zakonserwowane, a w Krasnofłotskoj usytuowano dywizjon rakiet przeciwlotniczych kompleksu typu S-125 M Newa (pociski kierowane typu W-601 P)[12]. Ich stanowiska bojowe ulokowano po prawej stronie stanowisk armat typu Canet, przed budynkami koszarowymi. Wcześniej na terenie byłej baterii armat 130 mm w Lūžņi zainstalowano rakiety przeciwokrętowe kompleksu typu 4-K-87 Sopka (pociski kierowane typu S-2)[13], które w czasie kryzysu kubańskiego w lecie 1962 roku przewieziono na Kubę. Po dwóch miesiącach powróciły one jednak do Lūžņi. 1 stycznia 1984 roku we Flocie Radzieckiej znajdowało się jeszcze piętnaście armat typu MU-2[14]. Obecnie istnieją już tylko dwa egzemplarze działa tego typu, z których jedno stoi w moskiewskim skansenie militarnym na Pokłonnej Górze, drugie zaś – w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. W roku 1993 wojsko radzieckie opuściło ostatecznie Kransofłotską i Lūžņię, zabierając ze sobą tylko rakiety i pociski, resztę pozostawiając Łotyszom. Ci drudzy zastanawiali się początkowo nad udostępnieniem prawie kompletnej baterii nr 456 do zwiedzania turystom, jednak ostatecznie nic z tych planów nie wyszło. W roku 1996 wszystkie cztery armaty kalibru 152 mm zostały sprzedane na złom. Obecnie porośnięty dość solidnym lasem, opuszczony teren baterii jest stopniowo „rozbierany" z co ciekawszych jej elementów, jednak można jeszcze stosunkowo dużo interesujących rzeczy „odnaleźć". Opuszczony jest także teren baterii w Lūžņi, jednak i tam zachowały się ciekawe obiekty, w tym również związane z dywizjonem wyrzutni rakiet typu Sopka. <

Jacek Jarosz
Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki, badacz historii statków, miłośnik historii i fortyfikacji. •

PODSTAWOWA BIBLIOGRAFIA

JAROSZ J., **Polska Artyleria Nadbrzeżna,** Gliwice 2013.

MELKONOW J., **Baterii Moonsunda**, Ryga 2003.

MELKONOW J., **Puszki kurlandskowo bieriega,** Ryga 2005.

SZIROKORAD A.B., **Encikłopedia otiecziestwiennoj artillerii,** Mińsk 2000.

Zbuntowana fregata/facet.interia.pl/militaria/news.

PRZYPISY

[1]Działa baterii kolejowych ustawione były na poruszających się po torach platformach kolejowych, które obsługiwały specjalne lokomotywy.
[2]Armaty prowizorycznych baterii czasowych były ustawione na drewnianych podstawach, a ich obsługi koszarowano w drewnianych barakach.
[3]Po drugiej wojnie światowej armaty typu B-38 stanowiły także główne uzbrojenie lekkich krążowników typu „Swierdłow" (projekt 68 B).
[4]W roku 1946 wyprodukowano 18 armat, w 1947 – 32, w 1948 – 16 i w 1950 – 16.
[5]Usytuowana w Helu-Borze 3. BAS był najsilniejszą powojenną polską baterią artylerii nadbrzeżnej. Do służby weszła w 1956, natomiast rozformowano ją w 1974 roku. Trzy z jej czterech armat zostały pocięte na złom w 1993 roku, czwarta natomiast trafiła do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie .
[6]W latach 1939-1941 baterie nad Bałtykiem budowały bataliony inżyniersko-budowlane. Podział na bataliony inżynierskie i bataliony budowlane nastąpił już po wojnie, przy czym te pierwsze generalnie były wyposażone w różnego rodzaju pojazdy kołowe i gąsienicowe. Bataliony inżynierskie podlegały Głównemu Zarządowi Wojsk Inżynieryjnych Floty, natomiast bataliony budowlane – Głównemu Zarządowi Wojsk Budowlanych Floty. Na początku lat 50. dowódcą tej drugiej struktury był generał-major Łabajdin.
[7]Elementy armat wcześniej były przewiezione barkami z Leningradu do Ventspilsu, gdzie następnie załadowano je na platformy kolejowe.
[8]Obecnie tory wąskotorówki są zdemontowane.
[9]Wcześniejsza bateria nr 40 z początku lat 40.
[10]Co ciekawe, znajdujące się na uzbrojeniu tych baterii armaty stanowiły także uzbrojenie polskich powojennych Baterii Artylerii Stałej. I tak, armaty kalibru 100 mm typu B-34 znajdowały się w dwóch bateriach (27 BAS na Helu i 28 BAS w Gdyni-Oksywiu), armaty 130 mm typu B-13 w ośmiu (9 BAS w Ustce, 11 BAS w Gdyni-Redłowie, 13 BAS na Helu, 17 BAS w Międzyzdrojach, 19 BAS w Kołobrzegu, 25 BAS w Gdańsku-Stogach, 31 BAS w Ustroniu Morskim i 34 BAS na Rozewiu), a armaty 152 mm typu MU-2 w jednej (3 BAS w Helu-Borze).
[11]Wybudowana w 1972 roku w Kaliningradzie fregata rakietowa należała do typu „Krivak I" (projekt 1135).
[12]Rakiety tego systemu wykorzystywane były również w szeregu polskich dywizjonów Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Kraju (WOPK). Część z nich znajduje się obecnie w kilku muzeach wojskowych w Polsce.
[13]Taki sam system rakietowy wchodził na uzbrojenie jedynej polskiej jednostki tego rodzaju – 9. Dywizjonu Artylerii Nadbrzeżnej. Stacjonujący w Ustce dywizjon składał się z dwóch baterii. Do służby wszedł w 1963, a rozformowano go w 1988 roku. Obecnie wyrzutnie obu baterii znajdują się w muzeach wojskowych – jedna w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, druga natomiast w Muzeum im. Orła Białego w Skarżysku-Kamiennej.
[14]Po jednej czterodziałowej baterii we Flocie Północnej i we Flocie Czarnomorskiej oraz siedem armat w centralnychskładach uzbrojenia.

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl
POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA
JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

POMIĘDZY FIKCJĄ A FAKTEM

Od kilku lat zajmuje się pisaniem książek, systematycznie zyskujących zainteresowanie czytelników. Jej najnowsza powieść „Riese. Tam, gdzie śmierć ma sowie oczy" udanie łączy znane również z naszych łamów historie związane z eksploracją sowiogórskich kompleksów z barwną fabułą i zwrotami akcji. Z autorką popularnych powieści ze skarbami, tajemnicami i sekretnymi podziemiami w tle, Jolantą Marią Kaletą, rozmawia Piotr Maszkowski

Do niedawna było kilka prób beletryzowania historii dolnośląskich tajemnic. Nie były to niestety zbyt udane próby, tymczasem Pani książki zyskały sporą popularność. W czym zatem tkwi zatem Pani sekret?

Utrafić w gusta czytelników nie jest sprawą łatwą ani prostą. Wiadomo przecież nie od dziś, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Dziś się podoba jedno, a jutro coś zupełnie innego. Może akurat trafiłam na swoje pięć minut. Celem moich powieści nigdy nie było wyjaśnienie dolnośląskich tajemnic i zagadek, ale ich wpływ na życie ludzi, którym przyszło się z nimi zetknąć. To ludzie, postaci na ogół fikcyjne, i jak naj-

fot. arch. Jolanty Kalety

bardziej realny Dolny Śląsk, z piękną, wręcz majestatyczną urodą są bohaterami moich powieści. Oprócz zagadek i tajemnic czytelnik znajduje na kartach powieści miłość, seks i pieniądze, nierozerwalnie związane z ludzkim życiem. Świat przedstawiony jest czytelnikom na ogół znany – to Karkonosze, Góry Sowie, popularne miasteczka Dolnego Śląska oraz Wrocław. Rozpoznają miejsca, w których już kiedyś bywali. Być może w tym tkwi sekret pewnej popularności.

Skąd czerpie Pani inspiracje? Czyżby zajmowała się Pani tymi zagadnieniami wcześniej?

Tak mi się w życiu poszczęściło, że przyszłam na świat na Dolnym Śląsku, w tej skarbnicy tajemnic i zagadek. Urodziłam się kilka lat po zakończeniu wojny, kiedy to niektóre zagadki dopiero się rodziły, a na niektóre trzeba było jeszcze poczekać, ale w tamtych czasach dla nikogo nie było tajemnicą, że Niemcy, opuszczając te ziemie, wiele cennych przedmiotów ukryli. Także działania poszukiwawcze ekip rządowych rozpowszechniały wiedzę o ukrytych gdzieś dobrach. Mówiło się wówczas, że wystarczy wbić łopatę w ziemię, aby wykopać skarb, złoty skarb. Więc znałam te sprawy od dziecka, czego efektem było przekopanie naszego ogródka w poszukiwaniu ukrytych kosztowności. Poza potłuczoną filiżanką i pogiętą łyżeczką niczego nie znalazłam, ale zainteresowanie przeszłością zostało i przybrało formę studiów historycznych, a później pracy w muzeum. A inspiracje? No cóż, zainspirować może wszystko – piękny budynek, stary klasztor, zaginiony obraz, opuszczona kopalnia czy zaniedbany anonimowy grób. Trzeba tylko uruchomić wyobraźnię.

Który z tematów zafascynował Panią najbardziej?

Nie jest mi łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Każdy z poruszonych przeze mnie tematów był bliski memu sercu, w jakimś sensie z każdym związałam się emocjonalnie, poznając mechanizm narodzin legendy i usilne, czasami desperackie próby rozwiązania zagadki. Złoto Wrocławia, Bursztynowa Komnata, kompleks Riese, Portret Młodzieńca i inne zaginione obrazy – każdy z tych tematów ma własną, odrębną od innych, niepowtarzalną historię. Łączy je jedno – nierozwiązana do dziś tajemnica. Mam jednak wrażenie, że najbardziej zaintrygowało mnie tajemnicze zaginięcie cennego renesansowego obrazu „Madonna pod Jodłami", o którym wiedziało jedynie środowisko historyków sztuki i opinia publiczna na Zachodzie, bo u nas w Polsce już niekoniecznie. Kościół z wiadomych względów sprawy nie nagłaśniał, a rząd PRL-u z przyczyn nieznanych uznał sprawę za niebyłą. Pisząc powieść, nie miałam zatem żadnej wiedzy na temat losów obrazu i mogłam fantazję spuścić ze smyczy. W obawie, że zawiedzie mnie ona za daleko, w książce zmieniłam tytuł obrazu na „Madonnę pod Palmami". A los spłatał mi figla. Ledwie zdążyłam książkę wydać, a obraz się odnalazł. Czytając powieść, można więc sprawdzić, dokąd zawiodła mnie wyobraźnia.

Skrupulatnie oddaje Pani realia historyczne opisywanych epok. Niezależnie, czy jest to okres II wojny światowej, czas tuż po jej zakończeniu, bądź PRL-u. Skąd czerpie Pani aż tak szczegółowe informacje?

Jest mi o tyle łatwiej, że z wykształcenia jestem historykiem, ale kłamałabym, gdyby powiedziała, że mam tak rozległą wiedzę. Nie mam jej. Ale studia dały mi narzędzia, przy pomocy których umiem potrzebną mi wiedzę znaleźć. Czasy PRL-u przerobiłam, momentami boleśnie, na własnym grzbiecie, i ta wiedza się przydaje, ale to nie znaczy, że nie muszę wielu rzeczy sprawdzić, aby nie bazować jedynie na subiektywnych ocenach. W dzisiejszych czasach mamy ogromną łatwość zdobywania potrzebnych nam informacji – opracowania naukowe, popularno-naukowe, literaturę faktu, prasę, filmy dokumentalne, wywiady i tak dalej. Należy wspomnieć o waszym magazynie „Odkrywca", do którego od lat chętnie zaglądam. Jestem także stałym klientem księgarni „Odkrywcy", gdzie kupuję książki wydawnictwa Technol i inne. O internecie już nawet nie wspominam. Możemy tam znaleźć nawet skany wielu dokumentów i stare fotografie obiektów już dziś nieistniejących. Pisząc powieść, staram się trzymać podstawowych faktów i realiów historycznych, a pomiędzy nie wplatam fikcję literacką. Pamiętam wszak o jednym – fikcja musi być prawdopodobna, bo rzeczywistość już nie. Tak mawiał Mark Twain. Najlepszym tego przykładem jest butelka z dokumentami znaleziona w grobie jednego z bohaterów „Riese". Wielu czytelników mówi z przekąsem – „to trochę odjechane". A to jest fakt historyczny. Taką butelkę w grobie zamordowanego przez UB oficera, przekupiwszy strażnika, umieściła jego żona. Zainteresowanych odsyłam do pracy prof. Szwagrzyka „Kryptonim mordercy".

Przy ostatniej powieści o Riese, współpracowała Pani z Jerzym Cerą – badaczem Gór Sowich. Jak ta współpraca przebiegała?

Było to kilka lat po ukazaniu się mojego debiutu „W cieniu Olbrzyma". Debiut jak debiut, chropawy i kulawy. Toteż nogi się pode mną ugięły, gdy na moją pocztę przyszedł mail od pułkownika Jerzego Cery, którego nazwisko było mi dosko- >>>

Riese. Tam, gdzie śmierć ma sowie oczy. Jolanta Maria Kaleta

Jesień 1946 roku. Do Głuszycy, niewielkiej miejscowości w Górach Sowich, z tajną misją przybywa zagadkowy mężczyzna. Przedmiotem jego zainteresowania są sztolnie wykute we wnętrzu gór. Poczynania mężczyzny bacznie obserwuje UB i NKWD. Wiosna 1992 roku. W ręce sędzi Laury Szeligi wpadają dokumenty, z których wynika, że jej zmarły ojciec nie był tym, za kogo ona go uważała...

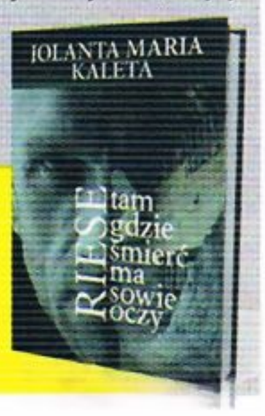

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

>>> nale znane. Pomyślałam sobie, że pan pułkownik natrze mi teraz uszu, że tak sobie pofolgowałam z największą tajemnicą II wojny światowej. Spotkaliśmy się w miejscu do tego stworzonym, a mianowicie podczas Festiwalu Tajemnic na zamku Książ. Pan Jerzy nawet książkę pochwalił, ale zaraz dodał sakramentalne „ale": temat niewyczerpany, właściwie jedynie liźnięty, trzeba napisać jeszcze jedną powieść. Kusił niczym wąż Ewę w raju – że mnie zaprowadzi tam, gdzie turystów nie wpuszczają, że pokaże miejsca, którymi nikt do tej pory się nie interesował, że opowie mi to, o czym w książkach nie przeczytam. Kamień by zmiękł. Tydzień później otrzymałam dużą paczkę, a w niej literaturę do przeczytania, w tym prace autorstwa pana Cery, mapy, skany dokumentów, stare fotografie, filmy na DVD. Wiedzę uzupełniłam o wyszukane w internecie wszystkie wywiady, jakich kiedykolwiek pan pułkownik udzielił, obejrzałam wszystkie z nim rozmowy zamieszczone na YouTube, wszystkie artykuły, gdzie padło jego nazwisko. Podczas pisania powieści dużo rozmawialiśmy, podsyłałam treść do merytorycznej korekty. Grzecznie przyjmowałam wszystkie uwagi. Całość pan Jerzy zrecenzował i dał zgodę na druk. Dzisiaj jesteśmy bliskimi sobie przyjaciółmi. To niezwykła postać, bardzo barwna, z ogromną wiedzą, czarujący gawędziarz, a przy tym jest po prostu sympatyczny.

Czy wcześniej z kimś takim już Pani współpracowała?

Tak bliskiej współpracy nie podjęłam z nikim. Być może dlatego, że nikt mi tego nie zaproponował, a ja nie mam śmiałości, aby zrobić pierwszy krok. Zdarzały się natomiast konsultacje, których udzielali mi na przykład milicjanci, obecnie policjanci, byli oficerowie SB, sędziowie, lekarze, informatycy, ale to są moi prywatni znajomi.

Czy w Pani powieściach są wątki zaczerpnięte z własnych doświadczeń?

Mówi się, że w powieści znajdują się po równo przeżycia autora, jak i to, co chciałby przeżyć. To oczywiście żart, ale jest w tym stwierdzeniu wiele prawdy. W moim przypadku więcej jest tego drugiego, moich marzeń. Stworzeni przeze mnie bohaterowie zanurzają się w mroki tuneli czy jaskiń, strzelają z pistoletu, penetrują stare zamczyska, wodzą za nos ubeków, włamują się do parafialnych archiwów, a nawet porywają samoloty. Ja tego wszystkiego nie potrafię i pewno bałabym się nawet spróbować. Ale jest też ta druga strona medalu, czyli moje autentyczne doświadczenia i przeżycia. Najwięcej ich umieściłam w „Kolekcji Hankego". Bohaterką jest młoda pracownica wrocławskiego muzeum, Matylda. To takie trochę moje alter ego. Byłam świadkiem pożaru kościoła garnizonowego, który daje początek całej opowieści. Kilka dni później do muzeum przyszedł anonim, zapowiadający podpalenie ratusza. Wówczas dyrekcja, pospołu z milicją, zadecydowały o nocnych dyżurach pracowników merytorycznych, którzy mieli pilnować, aby nie doszło do tragedii. Śmiechu warte! Krążyłam co godzinę po ciemnych salach ratusza, bardziej bojąc się nocnych upiorów niż podpalaczy. Moim udziałem także, jako pracownika muzeum, były działania ówczesnej władzy, która poprzez urząd cenzury i odgórne zalecenia płynące z KW PZPR, rzucała kłody pod nogi twórcom i pracownikom kultury. To ja, nie tylko jako muzealniczka, ale także jako wrocławianka, bolałam nad faktem, że dzieła śląskiego mistrza baroku, Michaela Willmanna, „gniły" w piwnicach Muzeum Narodowego w Warszawie, zamiast zdobić nasze wrocławskie muzea, tylko dlatego, aby nie przypominały o niemieckim okresie w dziejach Dolnego Śląska. W imię ideologii, że „byliśmy jesteśmy i będziemy", że „we Wrocławiu nawet kamienie mówią po polsku", władze wolały obrazy skazać na zapomnienie. Jeszcze gorszy los dotknął zamki i pałace Dolnego Śląska. O tym także jest ta powieść, a proces degradacji odbywał się na moich oczach. Niestety, zmiana systemu politycznego nie uratowała od zagłady bogactwa architektury Dolnego Śląska. Czasami zdarza mi się usłyszeć – „przecież to niemieckie, nie polskie zabytki". Także w „Testamencie templariusza", powieści napisanej trochę w stylu realizmu magicznego, a więc nieco odmiennej od pozostałych, umieściłam spory kęs swego życia. Opisana w książce wieś Świątniki, to w rzeczywistości Wilamowice, gdzie mieliśmy przez dwadzieścia lat stary, poniemiecki dom, nieustannie remontowany. Ta chałupa, sąsiedzi ze swoimi zaletami i przywarami, a nawet pies zostały z życia wzięte.

Na ile głęboko wnika Pani w temat, by swobodnie poruszać się po realiach poszczególnych epok?

Na ile głęboko dam radę. Im głębiej, tym lepiej. Aby zachować realia danej epoki, ważne są przełomowe historyczne wydarzenia, ale równie ważne, o ile nie ważniejsze dla oddania klimatu, są tak zwane szczegóły życia codziennego – ubrania bohaterów, marki samochodów, przeboje puszczane w radiu, fryzury, podawane w TV informacje, filmy grane w kinach, a nawet, choć to może wydać się śmieszne, przekleństwa używane przez bohaterów czy slang środowiskowy. Bez tych szczegółów nie posmakujemy i nie powąchamy czasów, w których żyje nasz bohater. Każda epoka ma przecież swoje popularne perfumy, charakterystyczną modę czy powiedzonka. Wbrew pozorom nie jest łatwo ustalić takie szczegóły, im epoka odleglejsza, tym trudniej. Aby napisać kilka rozdziałów „Testamentu templariusza", które umieściłam w średniowieczu, musiałam poznać dokładnie nie tylko dzieje tego zakonu, ale także przeczytać kilka kronik, aby wyłapać słownictwo, którego używali bracia rycerze, poznać potrawy, które jedli, odmawiane modlitwy, a nawet dowiedzieć się, jaką nosili bieliznę.

Czy może Pani zdradzić co będzie tematem kolejnej powieści? Z jaką tajemnicą zapozna Pani czytelnika tym razem?

Mam pewne plany, ale nie wiem, na ile się uda je zrealizować. Wszystko przecież zależy od tak zwanej weny twórczej. Jeśli zabraknie pomysłów, to z planów wyjdą nici. Jedno wiem na pewno – będzie to lekka powieść przygodowa z elementami horroru. Chcę odpocząć od ubeków, esbeków, esesmanów, ludzkich tragedii i bezwzględnych czasów Polski Ludowej. Napisanie „Riese" kosztowało mnie sporo emocji, wylanych łez i nieprzespanych nocy. Tym razem chciałabym zaprosić czytelników na wyprawę w Góry Izerskie *anno domini* 2011, a więc całkiem współcześnie. Wyprawę pełną niespodziewanych zdarzeń, nie zawsze łatwych do zrozumienia i wytłumaczenia. Bohaterem powieści będzie Adam Orlicz, redaktor znanego miesięcznika „Odkrywca".

Koledze Adamowi już teraz w redakcji zazdrościmy i gratulujemy. Czekamy zatem na tę powieść i dziękujemy za rozmowę. <

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE
POSIADAMY RÓWNIEŻ
MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

WWW.ODKRYWCA.PL
/ODKRYWCA

PRENUMERATA:
www.instytut.odkrywca.pl
prenumerata@odkrywca.pl
tel.: 71 329 71 71

PAMIĘTAJ!
Tylko prenumerator
może otrzymać
12 BEZPŁATNYCH
NUMERÓW
archiwalnych

MIESIĘCZNIK
O SKARBACH
EKSPLORACJI
I TAJEMNICACH
HISTORII

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

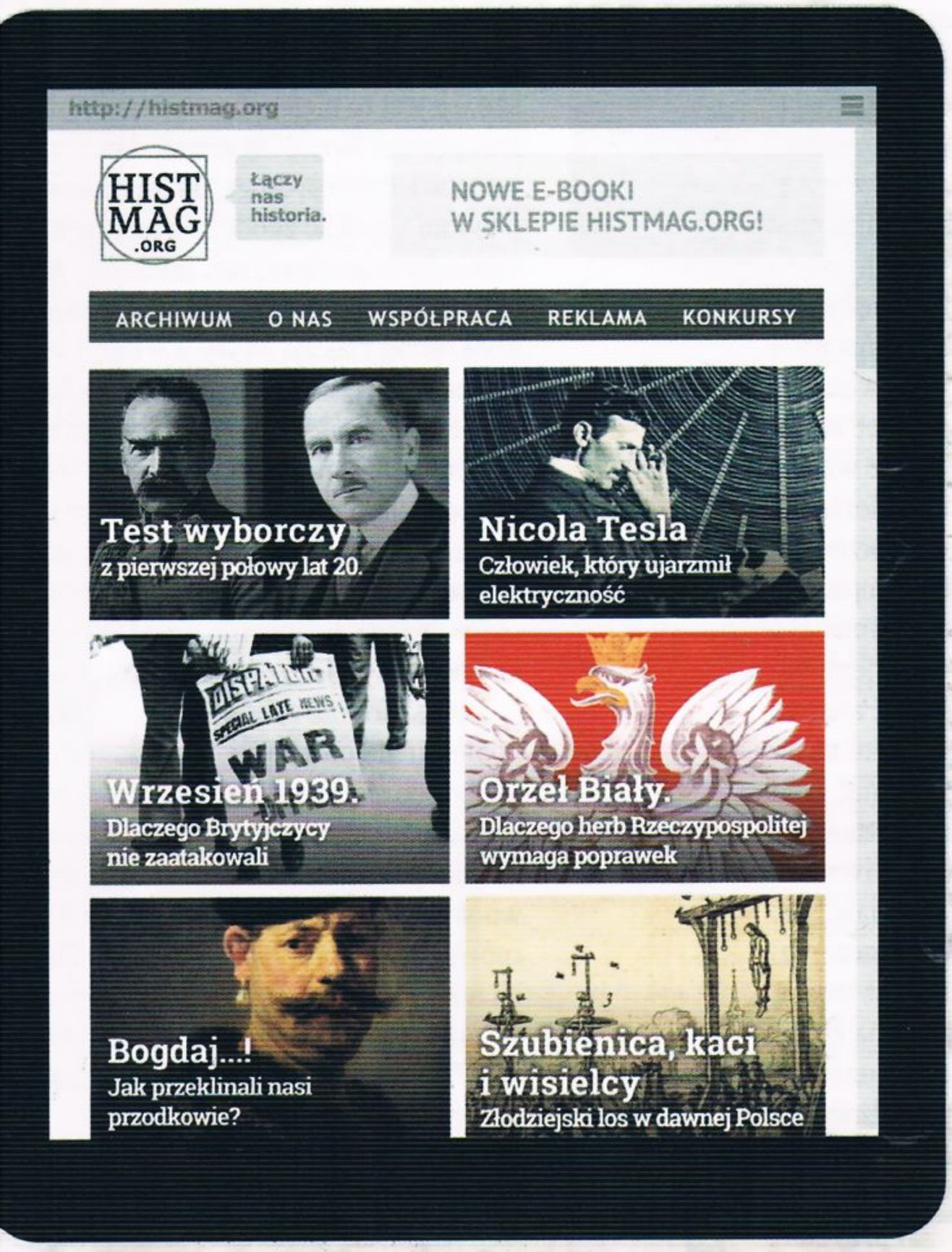

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HISTMAG.ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

SZPADEL NIECH BĘDZIE Z WAMI

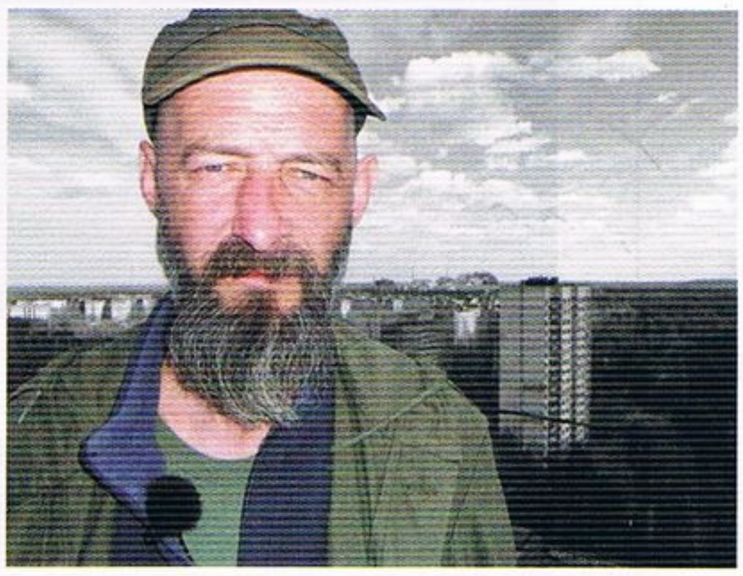

RADEK BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. PROWADZĄCY PROGRAM „POSZUKIWACZE HISTORII". KIM BĘDZIE JUTRO, NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Wydarzenie dość znane, jednak dla przypomnienia. Jesień ubiegłego roku. Lubomierz na Dolnym Śląsku. Przyjeżdża dwóch Niemców po depozyt zakopany przez dziadka. Mają plan z konkretnie wskazanym miejscem pochówku, ale nie mają szpadla. Sprzęt pożyczają w pobliskim domu i ledwie zaczynają kopać, a już przyjeżdża policja i informuje delikwentów, że działają wbrew prawu. Zostaje wystawiony posterunek dozorujący, który trzy dni waruje, żeby ktoś niepowołany nie szarpnął depozytu. W obecności konserwatora zabytków z Jeleniej Góry i archeologa teren zostaje przeszukany, a depozyt wydobyty. Dziadek zakopał w słoiku trochę biżuterii, zegarki, portfel i kilka dokumentów – słowem pamiątki, a nie skarby. Teraz zajmie się tym specjalna komisja. Jeżeli przedmioty są zabytkowe, to przejdą na własność Skarbu Państwa, a dokumenty trafią do IPN-u.

Niemcy mogą być szczęśliwi, że za ich „zbrodniczą" działalność nie trafili do aresztu śledczego, tylko, zapewne postraszeni, mogli się ewakuować. Jest to chyba największa skarbowa farsa z ostatnich lat. Rozmawiałem z kilkoma bystrymi osobami, gdzież tu podstawa prawna i nikt nie jest w stanie na to odpowiedzieć. 8 marca 1946 roku wszedł w Polsce w życie dekret o majątkach opuszczonych i poniemieckich (nieruchomych i ruchomych), które stawały się własnością Skarbu Państwa. Stoi tam jasno, że na rzecz Skarbu Państwa przechodzi cały majątek obywateli Rzeszy Niemieckiej i Wolnego Miasta Gdańska z wyłączeniem niezbędnych przedmiotów osobistego użytku. Zegarki i łańcuszki nie są niezbędne więc stały się własnością Skarbu Państwa – proste i jasne. Diabeł tkwi w szczegółach – ów sławetny dekret został uchylony w 1985 roku. Nie wiadomo kiedy dziadek z Lubomierza zakopał depozyt, możliwe, że przed dekretem, w obawie przed sympatycznymi żołnierzami radzieckimi. Do 1985 roku fanty ukryte w ziemi nie były jego, ale skoro Skarb Państwa ich nie podjął, to w 2016 roku na jakiej podstawie chce przygarnąć je do siebie? Czy nie funkcjonuje abolicja? Nie bronię interesów naiwnych Niemców, tylko zastanawiam się, gdzie złamali prawo? Tłumaczenie, że to mogą być zabytki, jest trochę śmieszne, chyba że specjalna komisja, przez długie lata, za pieniądze podatników, będzie sprawdzać, czy zegarki nie były kiedyś w kolekcji Czartoryskich, łańcuszki Lubomirskich, a dziadek nie miał przypadkiem zasłużonego stażu w SS. Nawet wykrywaczy metalu nie mieli, żeby przyczepić im miano złych detektorystów. Więc odwracając sytuację – wiem, że ktoś spróbuje ukraść mi złoty sygnet, pamiątkę po ojcu, żeby nie kusić licha, zakopię go nieopodal domu, po wielu latach zdecyduje się go odkopać i usłyszę, że jest to nielegalne. Gdzie złamałem prawo? Kopiąc w ziemi? Pożyczając szpadel? Swoją drogą, u kogo Niemcy powinni uzyskać zgodę? U konserwatora zabytków raczej nie, ponieważ nie były to poszukiwania, tylko odkopanie konkretnej rzeczy. Może u właściciela terenu? Pewnie tak, co nie zmienia faktu, że jeżeli ja coś sobie zakopię w przestrzeni publicznej, to dalej jestem tego właścicielem, jeżeli potrafię udowodnić, że to moje. Niemcy potrafili. Absurdalna sytuacja i gdyby Niemcy mieli olej w głowie, to powinni wziąć prawnika i wytoczyć sprawę. Pewnie tego nie zrobią, skoro nie zabrali nawet szpadla i pałętali się po okolicy z kartką informującą co chcą zrobić. Z drugiej strony – może to celowa prowokacja, mająca na celu pokazanie jak funkcjonuje prawo w Polsce i jak w czasach Unii Europejskiej są traktowani Niemcy? Diabli wiedzą, ale aż chciałoby się wgryźć w temat mienia ruchomego obywateli II RP na Kresach Wschodnich i taką akcję przeprowadzić.

Reasumując: nieznajomość prawa szkodzi, znajomość prawa zależy od interpretacji władz, ale najbardziej szkodzi brak szpadla. Dlatego, na wszelki wypadek, swój zawsze wożę w bagażniku samochodu. <

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Janusz Ledwoch „Manewry wołyńskie. Lotnictwo", opr. miękka, str. 50, wyd. Militaria. Cena: 32,30 zł.

Publikacja (434. zeszyt wydawnictwa Militaria) przedstawia nieznany epizod z historii armii II Rzeczpospolitej, jakim są wielkie manewry, które odbyły się na Wołyniu we wrześniu 1938 roku. Manewry wołyńskie (14-18 września 1938 r.) pozostały w cieniu inkorporacji Zaolzia. W prezentowanym opracowaniu przedstawiono manewry z użyciem jednostek lotniczych, które po raz pierwszy działały wówczas w warunkach polowych, w ramach dużych zgrupowań lotnictwa myśliwskiego. Praca zawiera wiele unikatowych fotografii, a także tabele z danymi technicznymi samolotów.

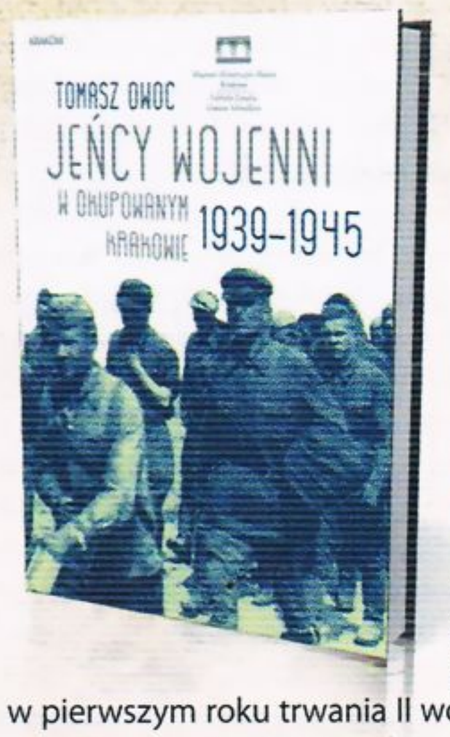

Tomasz Owoc „Jeńcy wojenni w okupowanym Krakowie 1939-1945", opr. miękka, str. 264, wyd. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa. Cena: 42 zł.

Katalog wystawy „Jeńcy wojenni w okupowanym Krakowie 1939-1945" , prezentowanej przez Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, koncentruje się na dziejach obozów jenieckich zorganizowanych w Krakowie przez niemieckiego okupanta. Centralnym jej punktem są losy Stalagu 369 – obozu podoficerskiego, mieszczącego się w dzisiejszych granicach miasta. Wystawa porusza także tematykę Dulagów – obozów przejściowych zlokalizowanych w Krakowie w pierwszym roku trwania II wojny światowej oraz upamiętnia jeńców wojennych więzionych w Krakowie. W głosowaniu internautów na najlepsze książki historyczne drugiego półrocza 2016 r. w plebiscycie „Historia zebrana" książka „Jeńcy wojenni w okupowanym Krakowie 1939-1945" wygrała w kategorii „Okiem badacza".

Sebastian Nowak „Broń krótka", opr. miękka, str. 232, wyd. Wiedza Powszechna. Cena: 34,80 zł.

To bogato ilustrowany poradnik strzelecki skierowany zarówno do początkujących strzelców i pasjonatów strzelectwa, jak i praktyków – żołnierzy, policjantów i pracowników ochrony. W przystępny sposób przekazuje informacje o broni, amunicji i balistyce, ze wskazaniem na pistolet automatyczny. Prezentuje najpopularniejsze w Polsce wzory pistoletów. Jest też próbą odpowiedzi na pytanie, jak dokonać trafnego wyboru pierwszej broni palnej. Uczy techniki strzeleckiej, tak w strzelectwie tarczowym, jak i bojowym. Uzupełnienie poradnika stanowią rysunki, niemal 100 ćwiczeń i blisko 250 fotografii. Prezentowana wiedza jest owocem ponad 30-letnich doświadczeń autora z bronią jako zawodnika, instruktora strzelectwa i praktyka noszącego broń w służbie przez ponad 20 lat.

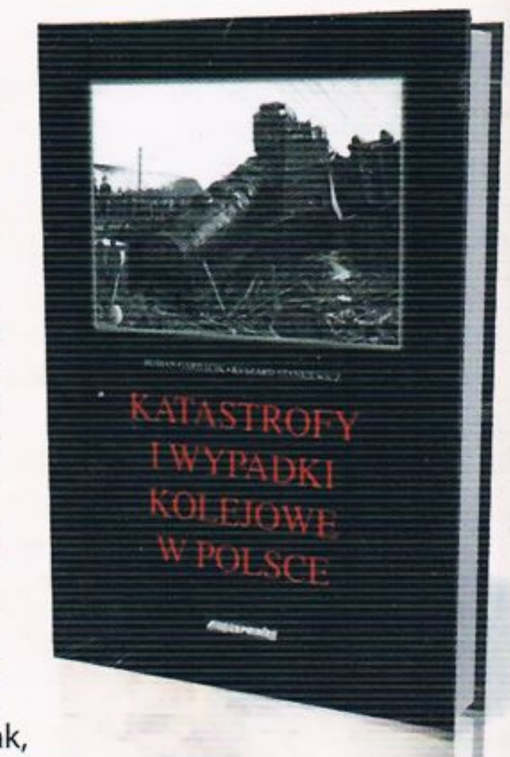

Roman Garbacik, Ryszard Stankiewicz „Katastrofy i wypadki kolejowe w Polsce", opr. miękka, str. 402, wyd. Eurosprinter. Cena: 63 zł.

W przeszłości koleje na ziemiach polskich były areną wielu bardzo tragicznych katastrof, a nierzadko także heroicznych działań zarówno samych kolejarzy, jak i tych, którzy ratowali ofiary owych nieszczęśliwych zdarzeń. Autorom udało się opisać aż 400 wypadków kolejowych, począwszy od 1852 do 2012 roku. Najbardziej spektakularne i tragiczne to oczywiście czołowe zderzenia pociągów, ale poza nimi czytelnicy będą mogli tu znaleźć opisy tak ciekawych zdarzeń jak: próba wykolejenia pociągu z Benito Mussolinim, „pociągi widma", które samowolnie ruszyły na szlak, bandyckie napady na pociągi rodem z westernów, pożary spowodowane przez pasażerów przemycających spirytualia i wiele innych…

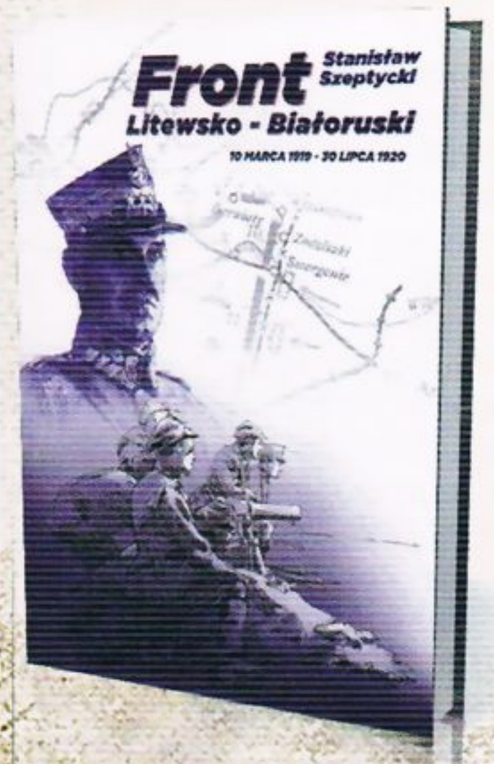

Stanisław Szeptycki „Front Litewsko-Białoruski. 10 marca 1919 - 30 lipca 1920", opr. miękka, str. 206, Wydawnictwo 2 Kolory. Cena: 33,50 zł.

„Front Litewsko-Białoruski" generała Stanisława Szeptyckiego – to czwarta książka w serii „Bitwa Warszawska 1920". Tym razem patrzymy na pierwszą (lipcową) część bitwy oczami dowódcy frontu północnego, na którym bolszewicy skoncentrowali większość swoich sił; jest to więc zapis działań wojennych. Jest też obroną generała przed oskarżeniami wysuwanymi przeciwko niemu po zakończeniu wojny. „...aby cała prawda zarysowała się jak najwyraźniej i aby przede wszystkim poznały ją najszersze warstwy młodego naszego korpusu oficerskiego".

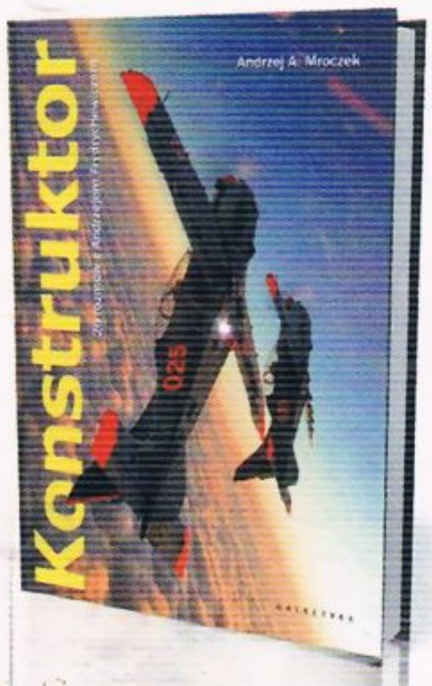

Andrzej A. Mroczek „Konstruktor – 26 rozmów z Andrzejem Frydrychewiczem", opr. twarda, str. 374, wyd. Galaktyka. Cena: 32,50 zł.

Książka jest zbiorem 26 rozmów, które na przestrzeni 2 lat autor przeprowadził z głównym konstruktorem nieistniejących już zakładów PZL-Okęcie. Zostały w niej przedstawione doświadczenia Andrzeja Frydrychewicza oraz jego filozofia projektowania. Ujawnia on wiele przemilczanych spraw ze swojej wieloletniej kariery. Książka została wydana z dużą starannością: twarda oprawa, kredowy papier i liczne, niepublikowane dotąd kolorowe fotografie. To prawdziwa perełka dla wszystkich miłośników polskiego lotnictwa i przemysłu lotniczego.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Marek Gajewski „Najdzielniejszy z dzielnych. Mjr Józef Bronisław Marjański (1892-1920)", opr. twarda, str. 112, wyd. Muzeum Wojska w Białymstoku. Cena: 35 zł.

Wydawnictwo albumowe poświęcone pamięci bohatera bitwy o Białystok z 22 sierpnia 1920 r. Marjański zginął podczas jej trwania, osłaniając wycofujący się sztab dywizji, w okolicy ówczesnego Zarządu Miasta przy ulicy Warszawskiej. Marszałek Piłsudski nazwał Marjańskiego „pierwszym z dzielnych". Publikacja zawiera szereg niepublikowanych dotąd zdjęć i dokumentów z krótkiego życia Marjańskiego i służby wojskowej w Legionach Polskich, a zwłaszcza I Brygady. Całość poprzedzona została krótką biografią oficera, którego imieniem nazwane zostały ulice Białegostoku i rodzinnego Radomia.

Jean Ziegler „Szwajcaria, złoto i ofiary", opr. miękka, str. 416, wyd. Książka i Prasa. Cena: 36,30 zł.

Jean Ziegler w bezpardonowy sposób rozprawia się z rzekomą „neutralnością" Szwajcarii podczas II wojny światowej. Jak pisze: „Szwajcarii udało się uniknąć II wojny światowej dzięki żywemu, zaangażowanemu i zorganizowanemu współdziałaniu z Trzecią Rzeszą. W latach 1940-1945 szwajcarska gospodarka była niemal całkowicie włączona w przestrzeń ekonomiczną Wielkich Niemiec. Gnomy z Zurychu, Bazylei i Berna służyły Hitlerowi jako paserzy i pożyczkodawcy. Gdy w 1943 r. alianckie bombowce rozpoczęły swoje niszczycielskie naloty na niemieckie miasta, ośrodki przemysłowe i regiony górnicze, Szwajcaria pozostała dla Hitlera jedyną bezpieczną strefą przemysłową, gdzie bez zakłóceń trwała produkcja broni, amunicji, urządzeń precyzyjnych i optycznych oraz innych dóbr potrzebnych Trzeciej Rzeszy do prowadzenia wojny".

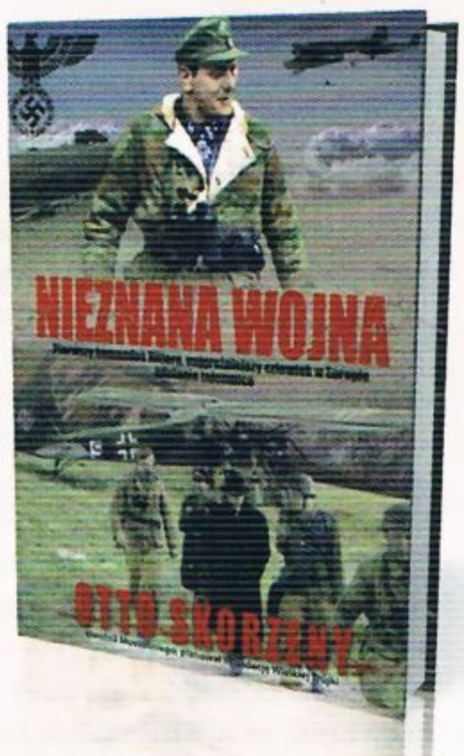

Otto Skorzeny „Nieznana wojna", opr. miękka, str. 466, wyd. Mireki. Cena: 47,60 zł.

Dla Hitlera był człowiekiem do zadań specjalnych, dla aliantów najgroźniejszym człowiekiem w Europie. Uwolnił Mussoliniego. W Budapeszcie porwał syna admirała Horthyego i opanował siedzibę regenta na Zamku Królewskim, uniemożliwiając zawarcie pokoju z aliantami. Planował likwidację Roosevelta, Churchilla i Stalina podczas konferencji w Teheranie, we Francji miał aresztować marszałka Pétaina, w Jugosławii ścigał Tito. Był współtwórcą Organizacji Gehlena, po wojnie współpracował z wieloma wywiadami, z izraelskim włącznie. Do kupienia jest także wydanie książki w twardej oprawie, w cenie 57,30 zł.

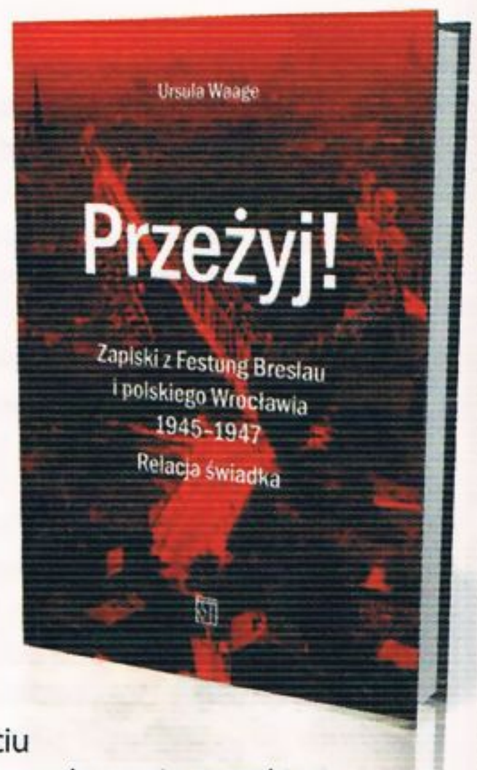

Ursula Waage „Przeżyj! Zapiski z Festung Breslau i polskiego Wrocławia 1945-1947", opr. miękka, str. 106, wyd. Atut. Cena: 23,90 zł.

Ursula Waage urodziła się w 1928 roku w Breslau. W czasie oblężenia miasta, od stycznia 1945 roku, prowadziła zapiski, w których rejestrowała zarówno ważne wydarzenia, jak i scenki z życia codziennego. Początkowo wraz z matką i siostrą mieszkała w pobliżu Wachtplatz (pl. Solidarności), a potem m.in. na Zimpel (Sępolno). Zapiski odzwierciedlają nastroje ludności cywilnej w oblężonym mieście. Po kapitulacji twierdzy i przejęciu władzy przez Polaków autorka kontynuowała swoje notatki aż do deportacji w 1947 roku. Obecnie Ursula Waage mieszka w Lipsku.

Paweł Budziński „Wielka wojna 1914-1917 w regionie opoczyńskim", opr. twarda, str. 288, wyd. Muzeum Regionalne w Opocznie. Cena: 42 zł.

W książce wydanej przez Muzeum Regionalne w Opocznie znajdują się niepublikowane wcześniej dokumenty i fotografie z licznych archiwów. Jest to pierwsza tak szczegółowa publikacja opowiadająca o ziemi opoczyńskiej podczas I wojny światowej. Pierwsza część opisuje działania wojenne 1914-1915 w regionie opoczyńskim – omówiono tu kampanię letnio-jesienną 1914 r., walki grudniowe 1914 r., walki o przyczółek Inowłodzki. W dalszej części publikacji opisane są zagadnienia z zakresu stosunku armii zaborczych do ludności cywilnej, okupację austro-węgierską w regionie opoczyńskim w latach 1915-1917, a także cmentarze żołnierzy pierwszej wojny światowej na ziemi opoczyńskiej.

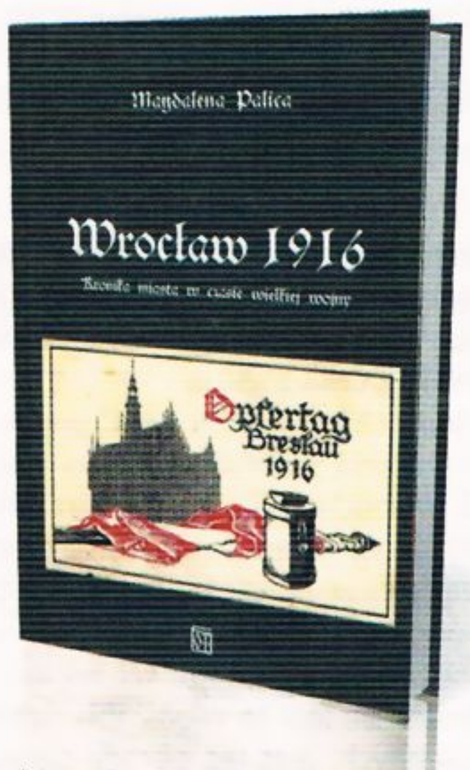

Magdalena Palica „Wrocław 1916. Kronika miasta w czasie wielkiej wojny", opr. miękka, str. 126, wyd. Atut. Cena: 34,90 zł.

Książka jest poświęcona kulturalnemu i obyczajowemu życiu we Wrocławiu w 1916 roku. Mimo uciążliwości i biedy spowodowanej wojną był to rok dużych zmian. W mieście działały takie sławy, jak Hans Poelzig czy William Stern. Do głosu dochodziło młode pokolenie twórców i koneserów. Na front setkami wysyłane były książki Paula Kellera, opisujące swojskie życie na Śląsku, za którym tęsknili żołnierze. Coraz ważniejszą rolę w uszczuplonych przez wojnę kadrach akademickich odgrywały kobiety. Pogarszające się warunki życia i „zima brukwiowa" sprawiły, że we Wrocławiu nie milkły głosy pacyfistów, w tym słynnej sufrażystki Marie Wegner. Odpowiedzią władz miasta była propagandowa wystawa wojenna, mająca wzbudzić patriotyczne nastroje.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Pierwszy na rynku wykrywacz z możliwością płynnego przestrajania częstotliwości
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Jedyny w swoim rodzaju

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

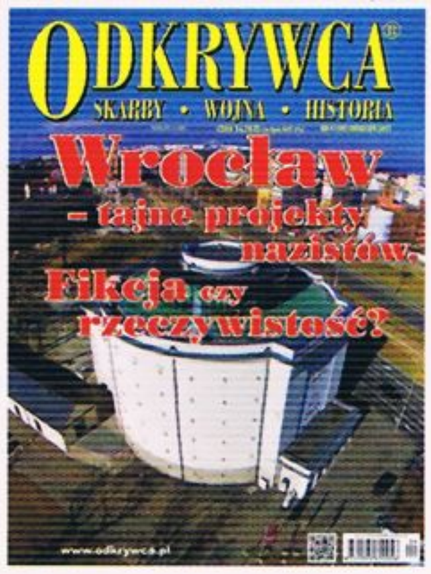

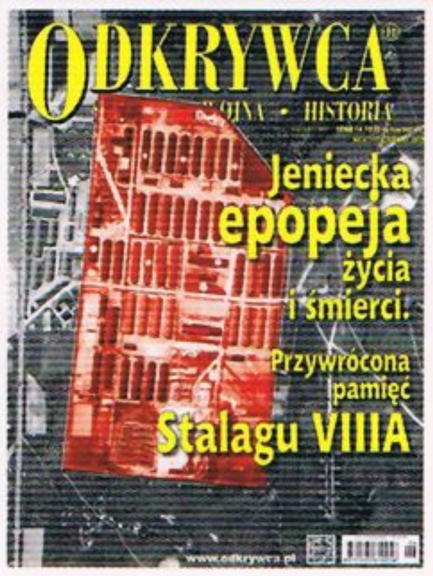

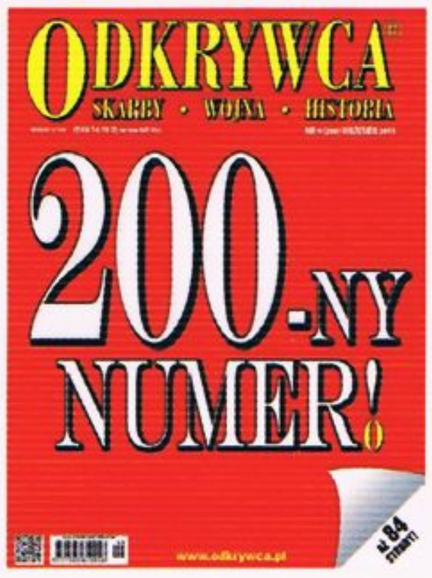

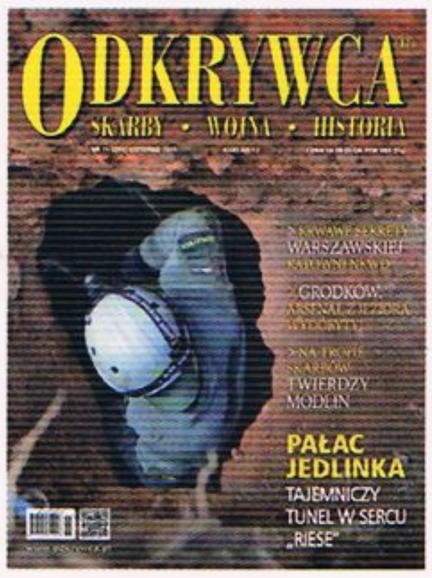

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

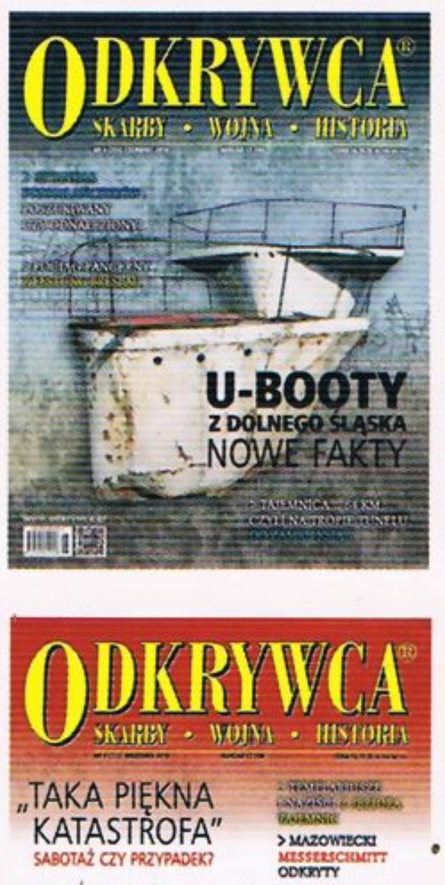

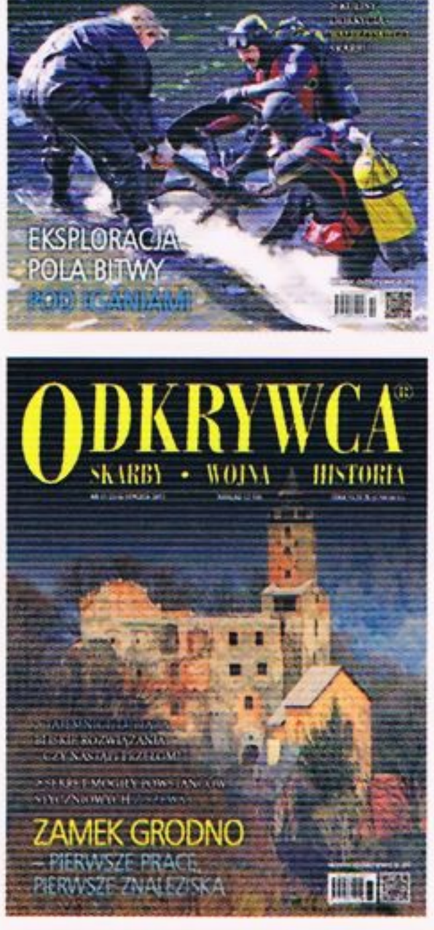

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71